

# Cham

Eliza Orzeszkowa



calibre 0.9.27

# CHAM

Eliza Orzeszkowa

*Walerii Marrené Morzkowskiej*  
Autorka

Miał lat przeszło czterdzieści i widać to było z paru zmarszczek, które cienkimi liniami przerzynały mu czoło wysokie a wydające się jeszcze wyższym od przerzedzonych nad nim włosów ciemnych i u skroni trochę siwiejących. Pomimo jednak tych zmarszczek i tej rozpoczynającej się siwizny, wyglądał czerstwo, silnie i razem poważnie. Rybakiem był, dnie całe, a czasem i część nocy spędzał na wodzie; więc słońce, wiatry i wilgotne oddechy rzeki ciemną i zdrową śniadością okryły mu twarz, zbyt nieco długą i chudą, lecz rozświeconą dwojgiem oczu z bardzo błękitną i czystą źrenicą, z trochę nieruchomym, poważnym wejrzeniem. Powagę też i zamyślenie czuć było w ruchach jego wysokiej, kształtnej, silnej postaci.

Kiedy było mu lat osiemnaście, ojciec ożenił go z dziewczką ze wsi sąsiedniej, dlatego że gospodyni brakowało w chacie. Z tą żoną swoją, łagodną i pracowitą, lecz głupowatą i brzydką, żył spokojnie i zgodnie, ale krótko, bo po latach kilku umarła, dzieci mu nie pozostawiając. Wkrótce też odumarł go stary ojciec, a kiedy jeszcze jedyną siostrę, o dwanaście lat od siebie młodszą, za mąż wydał, sam zupełnie pozostał w chacie u końca wsi niedużej, na wysokim brzegu Niemna pod małym borkiem sosnowym stojącej. Wołów ani koni nie posiadał i pomocników do gospodarskiej pracy nie potrzebował, bo ziemi prawie nie miał. Ojciec jego od dawnego dziedzica wsi otrzymał tę chatę ze sporym kawałkiem warzywnego ogrodu, a przeważnie żył z tkactwa, które przez czas jakiś w tej wsi kwitnęło i przynosiło niejaki zyski. Ale on z tkackimi krośnami, z niskim sufitem i ciemnymi ścianami chaty żyć się nie mógł. Coś go ciągnęło ku okiem niedoścignionemu szlakowi rzeki, ku błękitnej ciszy jej w pogodę i spienionym szumom w czas burzliwy, ku powstającym nad nią co rana różowym wschodom słońca i odbijającym się w niej co wieczora bogactwom zachodów. Lubił powietrze nieskażone, choćby upalne lub mroźne, niebo odkryte, choćby pochmurne i smutne; w dzieciństwie już czołna strugał, wędy wiązał i gdy tylko dorósł, rybakiem został. Dawniej wracając z rzeki znajdował w chacie ojca, żonę, siostrę, czasem sąsiadów i kumów; czasem też i do karczmy zachodził, choć w wódce nie mógł zasmakować nigdy, a w tańcach i gawędach niewielki przyjmował udział. Teraz, od lat już kilku chata jego była zupełnie pusta; wróciwszy do niej, sam doił krowę, którą wspólny wiejski pastuch do obórki z pastwiska mu przypędzał, sam sobie strawę warzył i samotnie ją spożywszy do snu się układał, aby nazajutrz w większym lub mniejszym czołnie płynąć naprzeciw wschodzącej jutrzeńki lub na zachód pomykających mgieł i mroków nocnych. Do karczmy nie chodził już nigdy i z ludźmi przestawał rzadko, oprócz siostry i szwagra, u których w zimie, gdy rzeka znajdowała się pod lodem, milcząc najczęściej, pod ścianą przesiadywał. Nie można było powiedzieć, aby ludzi nie lubił, bo nie tylko nikomu szkodzić nie chciał i kłótni z nikim nie zawodził, ale owszem, temu i owemu przysługę jakąś nieraz oddał, w gospodarskiej pracy dopomógł lub w dzbanku drobnych rybek przyniósł, a każdemu, kto go zaczepił, odpowiadał życzliwie i chętnie. Tylko nie szukał ludzi, nawet unikał ich nieco, jakby mu pierś i usta w długich po rzece wędrówkach przyzwyczyły się do milczenia; ilekroć zaś mówił, głos jego był przyciszony i słowa powoli ciekły z warg łagodnych, ale uśmiechających się bardzo rzadko. Jednak nie można go też było nazwać smutnym; przeciwnie, wydawał się spokojnym i zupełnie ze wszystkiego zadowolonym. Tylko układ ust, wejrzenie, ruchy jego posiadały wyraz ciągłego jakby zamyślenia, co mu nadawało piętno powagi i powolności. O czym myślał? Nie opowiadał nikomu, ale z błyskawiczną szybkością mknąc po zwierciadle spokojnej wody czy zwolna pomiędzy dwoma utkwionymi w dno rzeki tykami kołysząc się na jej fali, na jutrzeńki, chmury, burze, tęcze, staczające się za pas boru tarcze słoneczne patrząc — myślał. Krąg tego myślenia był zapewne ciasnym, lecz może głębokim, skoro zdawać się mogło, że człowiek ten w nim utonął i że mu tam najlepiej.

We wsi uważano go za odmiennego od innych, ale też uczciwego i spokojnego człowieka. Gdy młodo owdowiał, powtórne małżeństwo mu doradzano, tę i ową swatano; ale on, raz i drugi na wskazywaną dziewczkę spojrzawszy, głową przecząco trząsł, ręką machał i co prędzej ku rzece z wysokiego brzegu zstępował. Przez kumę Awdocię, która i jego, i swatostwa bardzo lubiła, pytaniami: dlaczego żenić się nie chce? obłążony, ze wzruszeniem ramion odpowiedział:

— Ot, co tam! Niebo mnie chatą, a rzeka żoną. Każdy po swojemu żyje, a jak grzechu nie ma, to każde życie dobre.

Z żartobliwym uśmiechem dokończył: grążonymi w przezroczystej wodzie, złotawymi stopami leżał stos lekkich, mokrych gałganków. Z niejakim też zadziwieniem na nią patrzył. Jak mogła tak prędko z płaczu przejść w tak wesoły, aż zanoszący się śmiech? Przy tym nie wiedzieć dlaczego, i brała mu z ręki swoją błękitną szmatę, i nie brała, niby to dosięgnąć jej nie mogąc, to znowu z ciemnych, cienkich, giętkich palców wypuszczając. A wciąż mu w twarz patrzyła i teraz nawet wejrzenie swoich pałających oczu w same źrenice ma zatopiła. Spotkawszy się z tym wejrzeniem rybak wstydliwie spojrział w inną stronę. Rzecz była osobliwa: dziewczyna z zalotnością śmiała i ciekawą patrzyła na mężczyznę, a mężczyzna wstydliwie wzrok od niej odwracał. Jednak uśmiech z ust mu nie znikał. Nie na nią, ale na coraz prędkiej pomykające i coraz błękitniejsze fale rzeki patrząc przemówił:

— No, bierzcie już swoją szmatę; mnie płynąć trzeba. Było czego tak lamentować! Myślałby kto, że Bóg wie jakie nieszczęście wam się zdarzyło!

— Aha! czego było lamentować! — ze szczególnym połączeniem nadąsania i filuterności zawołała ona — byłaby mnie bieda, gdyby ten gałganek, broń Boże, zginął. Już trzy dni, jak mnie pani spokojności nie daje z tym praniem dziecinnych rzeczy... Wczoraj w wieczór wyprałam, a dziś dlatego wstałam tak raniutko, aby je w rzece wypłukać. Aż tu masz! jeden wziął i popłynął!

W czólnie na wąskiej ławce siedząc słuchał jej mowy szybkiej, żywej, w której wyrazy zdawały się ścigać i tłoczyć ze sobą. Powiedział, że dalej płynąć musi, jednak nie odpływał. Nie patrzył na nią, ale widać było, że słuchał pilnie jej cienkiego i trochę ostrego głosu.

— A kto wy taka? — zapytał.

— Ja?

Ku szczytowi góry i bielejącej nad nim willi ręką wskazała.

— U tych państwa, które tu na lato przyjechali, w obowiązku jestem, pokojowa... Wzięli mnie zimą i do końca lata jeszcze wybędę u nich... a jak jesienią do miasta wrócę, odprawię się... dłużej jak do jesieni nie chcę...

— A czemuż to? czy bardzo łają? — z uśmiechem przerwał.

Wyprostowała się, rumieńcem nagle oblana i z rozbłyśniętymi oczami.

— Oho! niechby tylko spróbowali! Na łajanie jest odłajanie! Ja nie taka, abym sobie ubliżać pozwalała! Ojciec mój w kancelarii służył, z dobrej familii pochodzę i niechby mię kto złym słowem skrzywdził, tak bym jemu parsknęła, że i dziesięć lat by popamiętał. A choćby potem i do sądu... bywałam ja i w sądach! Nie złękę się!

Teraz ze zdziwieniem i prawie przerażeniem na nią patrzył, ale wnet znowu wzrok odwrócił, bo z rumieńców tej kobiety i błysków jej oczu żar na niego padał.

— To i czegoż odprawiać się? — zapytał.

— Czego? Ot, tak sobie! Już ja nigdzie długo ubyc nie mogę. Żeby nie wiem jaka dobra służba była, na jednym miejscu znudzę się zawsze i a d i e ! Na Berdyczów drobnymi literami do mnie pisujcie! Taka już moja natura! Ale ja bardzo wiedzieć bym chciała, kto wy taki?

— Kto ja taki? Ot, ciekawość! Robak...

Z zamyśleniem uśmiechał się; ona głośno zachichotała.

— Nie ma czego śmiać się — mówił zwolna — człowiek a robak — mała różnica! robaka ryba je, a człowieka ziemia. Czy pan, czy chłop, czy król, czy parobek, każdego ziemia zjeść musi, jak ryba robaka. Ot co!

Słuchała ciekawie z trochę otwartymi usty; gdy umilkł, zauważyła:

— Rozumnie gadacie, ale smutno. Co tam o śmierci myśleć, kiedy i żyć czasem dobrze, nie zawsze, ale czasem., dobrze! A czymże zajmujecie się?

— Ryby łapię.

— A gdzież mieszkacie?

Wymienił nazwę wsi, w której mieszkał.

— Włościanin? — z niejakim wahaniem w głosie zapytała.

Potwierdzająco głową skinął.

— Patrzajcie, moi państwo! Jak żyję, tak długo z żadnym włościaninem nie rozmawiałam! A czemuż gadacie nie po chłopsku?

— A czemuż mnie nie gadać tak samo, jak wy... kiedy umiem?

— Patrzajcie, moi państwo! I taki grzeczny, rozumny! A wiecie, że z bliska wyglądacie daleko starzej niż z daleka? Kiedyście na środku rzeki byli, myślałam, że to jakiś młody chłopiec płynie, a teraz widzę, że wam już pewno i ze czterdzieści lat będzie!

Dziwiła się, chichotała, rękami poruszała, to jedną, to drugą z kolei stopą wyrzucała małe fontanny wody lub na jej powierzchni zakreślała kręgi; jak iskra drgająca, mieniła się przed nim złotawością swego ciała, kruczą czarnością włosów, płomiennością oczu, białością zębów.

— To nic — dodała — choć i czterdzieści lat macie, przystojny z was mężczyzna.

A mówiąc to głosu nie zniżyła ani powiek nie spuściła; owszem, ciemną, giętką, wilgotną rękę o dziób czółna jego oparła, jakby zbliżyć się doń lub je przy sobie zatrzymać pragnęła. Ale i on przestał już wstydliwie wzrok od niej odwracać. Z otwartymi trochę usty zapatrzył się w nią jak w tęczę. Ona także z bliska mniej młodo wyglądała niż z daleka. Twarz jej ze szczupłymi i ładnie zakreślonymi rysami przywiedła była i zmięta, cera niezdrowa, wielkie oczy głęboko zapadłe pod czołem, na którym nici kruczych włosów krzyżowały się z kilku cienkimi też jak włosy rysami zmarszczek. Miała najpewniej lat trzydzieści parę, które też, znać to było, ani po różach jej nie przechodziły, ani kapały się w kryształach. Tylko była w niej żywość, gibkość, ognistość płomyka i w oczach, ruchach, uśmiechach, w zmiętej nawet śniadości cery coś takiego, co wzrok przykuwało i ku niej ciągnęło. Było też w niej szczególnie, ale uderzające połączenie cech, na pozór zupełnie sprzecznych: wezbranej siły ciała i jego niezdrowia, rozhasanej prawie swawoli i dręczącego cierpienia. Gdy zaciskała czasem drobne wargi, a oczy jej ponury przybierały wyraz, można by myśleć, że wewnątrz jej wstrząsa spazm bólu czy złości.

— I nie nudno wam ciągle pływać i ryby łapać? — rękę o dziób czółna opierając zapytała.

— Gdzie tam nudno! dobrze! — odpowiedział.

— Weźcie mię kiedy z sobą na rzekę... ot tak, na godzinę, na dwie... nigdy nie zdarzyło się tak długo pływać, a zawsze jakaś straszna bierze mnie ciekawość tego, co jeszcze nigdy nie zdarzyło się... Żebyście wiedzieli, jak mnie tu nudno... nudno... nudno!

— A czegoż tak nudno? Robotę pewno macie...

— Żeby nie! Robotą tylko tu i żyj! Ja u państwa jedna, a kucharka druga, więcej nikogo nie ma; ani furmana, ani lokaja nie trzymają. Pan stary, ciągle książki czyta; pani ze złości, że pan stary, czepia się tylko do wszystkiego i jak sroka krekcze: wszystko jej źle, niezgrabnie, to za prędko, to za pomału, to za zimno, to za gorąco... Dziecisków aż troje i nieznośne takie, że niech Pan Bóg broni!

Goście prawie nigdy nie bywają. Ot, tylko jak ten koń w deptaku od rana do wieczora kręć się i kręć się, a ciągle to samo... dobrego słowa nawet nie posłyszysz, ludzkiej twarzy nie zobaczysz... żeby tę wieś diabli wzięli! w mieście lepiej!

Słuchał uważnie, potem poważną i powolną swoją mową odpowiedział:

— E! nie ma czego wsi przeklinać! Dobremu wszędzie dobrze, a złemu źle...

Splonęła właściwym sobie, nagłym, krwistym i szybko znikającym rumieńcem.

— Znaczy, że ja zła?

Aż zatrzęsała się cała i w wodę spluwając do siebie wyrzekła:

— Ot, nie byłby cham!

Nie dosłyszał albo też słowa jej wcale go nie obeszły; ręką powoli skinął:

— Ej, nie! A skąd mnie wiedzieć, czy wy zła, czy dobra? Tak sobie powiedziałem... A kiedyż zechcecie, żebym po was przyplynał?

W zaciśniętych jej wargach i ponurym wejrzeniu dostrzegł ów kurcz bólu czy złości, który ją okrywał nie dającym się w słowa ująć wyrazem cierpienia, i żal mu się jej zrobiło. Oprócz powagi i zamyślenia, w przezroczystrych jego oczach bywała też czasem i głębia litości.

— Wszyscy na świecie jedni drugich jedzą, nie dziwno, że i was licho jakieś je... czy ja wiem jakie? Jeżeli chcecie, powożę was trochę dla wesołości po rzece. Czemu nie? Czółna mi od tego nie ubędzie! Którego dnia po was przyplynąć?

— W niedzielę, oj, bądźcie łaskawi, w niedzielą przyplyniecie!... Państwo z dziećmi do miasta pojedą, a ja samiutka w domu, tylko z kucharką zostanę... Oj, taki z was dobry człowiek! Niech wam Pan Bóg nagrodi! Toż będą bawić się! No, nie spodziewałam się, że na tej pustyni taką miłą znajomość zrobię.

Pochwały jej pochlebiali mu widocznie i może dla innej jeszcze przyczyny przyjemność mu sprawiały, bo uśmiechał się coraz szerzej i cały przeradzać się zdawał w jej szybko po smutku i gniewie odrodzonej, gadatliwej, śmiejącej się wesołości.

— W niedzielę przyplyniecie... dziś co? środa! aj, cztery dni jeszcze! No, cóż robić? Na co dobrego i poczekać dobrze. Otóż sobie na Niemnie pohulamy! A teraz, bywajcie zdrowi, do widzenia, bo w nogi już strasznie zimno!

— Ej, woda ciepła! nie kapryście! — zażartował.

— Ej, nie! nogi skostniały! i do domu lecieć trzeba, samowar nastawiać, bo jak obudzą się, a samowara na stole nie będzie, krechtać jak sroki zaczną. Do widzenia! Dziękuję!

Stopy jej jak ryby plusnęły w wodzie, dwa skoki uczyniła i na piaszczystym wybrzeżu schylona, stos lekkich gałganków z wody wyjmowała. On wiosłem z lekka wodę zagarniał i bardzo powoli odpływał. Znacznie już jednak od brzegu odpłynął, kiedy za sobą usłyszał wołanie:

— Poczekajcie, człowieku, hej, poczekajcie!

Obejrzał się; czółno stanęło na fali. Cała w blasku słońca, którego tarcza w pełni już na skłonie nieba jaśniała, stała ona z więcej jeszcze niż wprzód rozrzuconymi włosami, ze zwojem mokrych gałganków w rękach i ku niemu wołała:

— A jak nazywacie się? jak nazywacie się?

— Paweł Kobycycki! — odkrzyknął.

— A ja Franciszka Chomcówna! — zawołała jeszcze i pędem po zroszonej trawie puściła się ku szczytowi góry. Pośrodku góry stanęła, za pomykającym już w dali czółnem spojrzenie rzuciła, zza warg jej bladawych, przywiedłych błysnęły białe zęby.

— Przystojny cham! choć nie tak to już młody, ale przystojny i jakiś taki miły... miły!

Głowę pochyliła, palcami mokre gałganki skubała, zamyśliła się.

W niedzielę ani na chwilę nie opuszczała okna kuchni, z którego Niemen widzieć było można. Przez ubiegłe dni cztery bardziej jeszcze zmizerniała i powieki jej pociemniały nieco. Obuta w cienkie i zgrabne trzewiki, w wykrochmalonej sukni z jasnego perkalu, w jedwabnej żółtawej chusteczce na gładko dziś uczesanych, lecz tak jak i wówczas rozpuszczonych, niedługich włosach, siedziała u okna nieruchoma, w rzekę zapatrzona, z zaciśniętymi wargami, oniemiała. W willi było pusto i cicho. Stara kucharka daremnie dziś, krzątając się po kuchni, towarzyszkę do rozmowy wyzywała, więc obiad zjadłszy i twarz chustką od much osłoniwszy usnęła. Franka nie jadła nic; wypita z rana szklankę herbaty, a gdy do obiadu przyszło, parę razy łyżkę do ust poniósłszy, z brzękiem na talerz ją rzuciła i znowu przy oknie usiadła. Widać było, że jadło dziś jej przez gardło przejść nie mogło. Im więcej upływało godzin, tym większe ogarniało, ją zniecierpliwienie. Stopą o ziemię uderzała; wśród ponurej jej twarzy białe zęby błysnęły parę razy w szyderskim, wzgardliwym uśmiechu.

— Nie przyjedzie, może i nie przyjedzie! głupiec! chamisko!

Nagle zatrzęsa się od stóp do głowy, ze stołka się porwała i krzyknawszy: „Jedzie! dalibóg jedzie!” jak szalona z willi wypadła, jak ptak z zielonej góry zleciała i na piaszczystym wybrzeżu, krwisto zarumieniona, rękami ku nadpływającemu czółnu trzepocząc wołała:

— Dobry wieczór! dobry wieczór! A czemu tak późno? Myślałam, że pan Paweł obietnicy nie dotrzyma i wcale już nie przejedzie! Czy to pięknie, żebym ja na pana tak długo czekała? Czemu tak późno?

Widać było po niej, że za rozrywką i zabawą, za wrażeniem wywieranym na nią przez człowieka, który się jej podobał, na koniec świata polecieć byłaby zdolną, że brak ich o chwilowe przynajmniej szaleństwo mógł ją przyprawiać.

Popłynęli. Z początku lękała się wody, z którą oswojoną nie była, i za każdym zakołysaniem się czółna wydawała piskliwe krzyki, chwytając towarzysza za ramiona i odzież. Jego to rozśmieszało. Nie pomyślał o tym nigdy, aby ktokolwiek mógł na wodzie doświadczać jakiejkolwiek trwogi. Przy tym, gdy ze strachu krzyczała, wyginała się w obie strony, ręce wyciągała, stawała się podobną trochę do elastycznej i miauczącej kotki, a trochę do przelęknietego dziecka. Więc poważnymi upewnieniami o braku wszelkiego niebezpieczeństwa uspokoić ją usiłując zaśmiał się też tak głośno i serdecznie, jak mu się to może kilka razy w życiu zaledwie zdarzyło. Ale i ona widząc, że czółno pomimo kołysania nie wywraca się wcale, uspokoiła się wkrótce i wybornie bawić się zaczęła. Woda była cichą, błękitną, od staczającego się ku zachodowi słońca blade pożąconą, okrytą niezliczonym mnóstwem drobnych zmarszczek, które płynęły wciąż jedna za drugą, jednostajnie, bez szelestu, czasem tylko perląc się białymi kroplami lub drobnymi ognikami pobłyskując. Nad brzegiem czółna schylona Franka swawolnie w ciemną, małą swą rękę łowiła te ukazujące się na wodzie perły i ogniki, a potem, ciekawie i z przyjemnością przypatrywała się wyciekającym z jej palców strugom roztopionego kryształu.

— A jej! — zawołała — żeby to znizać i zrobić z tego paciorki na szyję i kolczyki! Jedna moja pani miała takie paciorki i kolczyki... mówili, że z kryształu i że drogie, a mnie one tak w guście były, że wytrzymać nie mogłam i jak tylko pani z domu wychodziła, a mnie do jakiej kompanii zaproszono, zawsze na siebie je kładłam...

— To źle robiliście — zauważył Paweł.

— Ot! nie ukradłam ich przecież i nawet nie ugryzłam... Przyjdę, bywało, do domu, zdejmę, na miejscu położę i znaku nie ma, że brałam...

— To co? zawsze ruszaliście cudzą własność, a Pan Bóg tego robić zabronił. Ja bym i wstydził się cokolwiek cudzego poruszyć.

Filuternie na niego patrząc pełną garść wody nabrała, w twarz mu ją rzuciła i śmiechem parsknęła.

— Oj, oj! jaki srogi!

Nie mógł wcale przy tej dziewczynie powagi swej utrzymać. Twarz rękawem siermiężnego surduta ocierając zaśmiał się znowu.

— Czyste dziecko! Oj, żeby was! aż mnie dziw bierze, że taka, jak wy, jest na świecie!

Ona zadziwiła się w tej chwili nad ogromną kępą rozłożonych na wodzie liści, nad którymi strzelały żółte i białe kielichy lilii wodnych i kręto, zawrotnie latało nieprzeliczone mnóstwo małych jaskółek. Każdą z tych lotnych postaci podwajało odzwierciedlenie jej w wodzie.

— Oj, co ich jest! co ich tu jest, tych ptaków! Więcej jeszcze wychylając się z czołna zerwała żółtą lilię i mokrą jej łodygę do stanika przymocowała.

— Pachnie! — z przyjemnością zauważyła i wnet palcem jakiś punkt rzeki wskazując zawołała:

— A to co?

Był to zapewne wielki szczupak, może som, który gwałtownie rzuciwszy się nad wodą wnet ukrył się pod nią, na powierzchni jej pozostawiając szerokie, wzburzone kręgi.

— Aha! ty tu! — na wzburzony punkt wody patrząc uśmiechnął się Paweł — niedługie panowanie twoje. Jutro cię złapię.

Pokazywał jej potem z kolei skrzynię do połowy stojącą w wodzie, w której przechowywał drobne, na przynętę złowione ryby, a do której wnętrza przez podziurawione boki napływała woda rybnie do życia potrzebna. Drugą taką skrzynię, tylko daleko większą, do zachowywania w świeżości połowów na sprzedaż przeznaczonych, posiadał w bliskości swojej chaty. Z wielkim zajęciem zapytywać go zaczęła, gdzie towar swój sprzedaje i ile ma zarobku, a gdy chętnie i ze zwyczajnym spokojem wszystko, o czym wiedzieć chciała, powiedział, wargi zacisnęła i głową ponuro zatrzęsała.

— Dobrze wam! — westchnęła — chatę swoją z ogrodem macie i zarobek niezły... jak pan żyć sobie możecie! To wcale co innego niż całe życie włóczyć się ze służby na służbę, cudze kąty wycierać, od ludzkich kaprysów zależeć i ludzkie złości znosić... Bywa czasem, że człowiek zabawi się i przyjemności jakiej doświadczy, ale zawszeż niech takie życie diabli wezmą... podłe!

— Wołoczaszcie życie! kiepskie życie! — patrząc na nią i głową kiwając, po chłopsku przemówił Paweł.

Znowu żal mu się jej zrobiło.

— Może chcecie wysiąść troszkę i po tej wyspie pochodzić? — zapytał.

Zatrzepotała cała z radości.

— Aj, dobrze, dobrze! Przypłyńcie do tej wyspy! jaka śliczna wyspa! jak tu pachnie! Od czego tu tak ślicznie pachnie? Tak pachnie, że aż w głowie zawraca...

Po samym środku szerokiej rzeki, pomiędzy wysoką, gliniastą ścianą z jednej strony a ciemnym borem z drugiej, na pozłoconym błękitcie wody leżał owalny szmat piaszczystej ziemi olbrzymią dziewanną i białymi gwoździkami cały porosły. Olbrzymie dziewanny na sztywnych łodygach kosmatymi liśćmi okrytych podnosiły wysoko ogromne, żółte kity, a spodem rosło takie mnóstwo gwoździków, że z dala wyspa zdawała się śniegiem okrytą. Bił też z niej i daleko po rzece rozlewał się zapach słodki, mocny, leśny, z którym jeszcze mieszały się wonie ziół liliowym i różowym szlakiem ścielących się u stóp przeciwległego boru.

Franka jak oszalała, jak pijana po wyspie biegała, zrywała gwoździki, wachała je, kładła we włosy, z których dawno zsunęła się i na kark opadła żółtawa chustka, pełnymi garściami z głośnym śmiechem rzucała je na Pawła. On powoli nachylając się i prostując porządnie i pilnie układał z nich bukiet. Nieraz z tej wyspy przywoził on takie białe bukiety i stawiał je w małym dzbanku na oknie



swej chaty albo siostrze oddawał, aby nimi święty obraz przystrajała. Nabawiwszy się gwoździkami Franka formalnie przepadła w lesie dziewanny. Rosło jej w jednym miejscu tak wiele, że tylko jasna suknia dziewczyny w taj zielonożółtej gęstwinie pobłyskiwała. Paweł przestał rwać gwoździki, ręce opuścił i zamyślił się. Wkrótce przecież znowu uśmiechać się zaczął. Franka, jak ptak szeleszcząc w gęstwinie, co chwilę głowę z niej ukazywała, a głos jej cienki, ostry rozlegał się bez ustanku:

— Ależ zieleń! no, zieleń! od człowieka wyższe! jak las! Co to za zieleń takie?

— Niedźwiedzie ucho — objaśnił Paweł.

Powoli, powoli na ogorzałe policzki jego wybijał się rumieniec, jakby odbłask krwistego obłoku, który po tarczy słonecznej, za bór już zapadłej, na niebie pozostał.

Swawolnie, chyłkiem Franka wybiegła z gęstwiny łądyg, których parę zakołysało się w powietrzu żółtymi kitami. Z twarzą w ogniu, z włosami pełnymi białych gwoździków, z żółtawą chustką na kark zsuniętą, przy jednej z nich stanęła i wielki, bladozielony liść jej w palce ujmując znowu gadała:

— A! to prawda! zupełnie jak ucho jakiego zwierzątka! Taki kosmaty, mięcieńki, mileńki, jak aksamit! U jednej mojej pani był piesek, co miał takie same mięcieńki, aksamitne uszki!

Lubowała się mięką, puszystą powierzchnią liścia, głaskała go i pieściła, tak zupełnie jakby on był naprawdę miłym jakimś zwierzątkiem. Nagle zwróciła się ku Pawłowi, wprost ku niemu skoczyła i obu rękami na ramionach jego zawisłszy zapadłe swe oczy, w wilgotnej mgle rozmiękłe i przygaszone, ku niemu wzniosła.

— Jak tu dobrze, ładnie, wesoło! — wołała — jaki z was dobry człowiek, że biednej dziewczynie i nieznałomej zrobiliście taką przyjemność! Ja, widzicie, mam taką naturę, że bardzo wdzięczna jestem, kiedy mnie kto co dobrego zrobi.

Ale w tej chwili z tym powolnym, poważnym człowiekiem zrobiło się coś dziwnego. Rumieniec, który wprzód okrył mu policzki, rozpostarł się aż na czoło, tak błękitne i spokojne zwykle oczy ściemniały i strzeliły prawie ponurym błyskiem. W silne ramię wciął kibić jej pochwycił, do piersi swej przycisnął i już nad głową jej schylony usta do ust przybliżał, kiedy dziwnie zwinna, z prawie przeraźliwym krzykiem wysunęła się mu z objęcia i odskoczywszy, znowu pod dziewannami stanęła. Od stóp do głowy drżąc i głośno śmiejąc się zawołała:

— Ot, pięknie! Za to, że raz na spacer powiozł, już i wynagrodzenia żąda!... Taki sam jak i wszyscy!...

Paweł z zakłopotaniem głową ręką dotknął i po chłopsku zaszeptał:

— Ot tobie na! oś szczo prydumała! Podszedł i łagodnie za rękę ją wziął.

— Głupstwo! — ze zmieszaniem zaczął — albo ja co takiego myślał? Niech mnie Pan Bóg od takiego grzechu zachowa, żebym ja was z taką myślą na spacer wiozł! Ot tak, fiksacja jakaś do głowy przyszła. Nie gniewajcie się i bądźcie spokojni. Siadźcie sobie i odpocznijcie, a ja tymczasem czółno tu przyprowadzę i zaraz do domu was odwiozę...

Na gwoździkach usiadła i z całej siły obu rękoma połą surduta jego schwyciła

— Ja nie chcę do domu! — wołała. — Jaki to dom? Piekło nie dom! I nie idźcie ode mnie! zlitujcie się, nie idźcie! Ja bym z wami ani na minuteczkę nie rozstawała się! ja bym za wami do wody skoczyła! Siadźcie przy mnie! siadźcie!

Z ustami trochę od zdziwienia i zmieszania otwartymi, ujęty jednak jej słowy, obok niej usiadł.

— Bliżej — prosiła — bliżej przysuńcie się... ot tak, bliżusieńko!

Ciągnęła go ku sobie dopóty, dopóki ramię jego nie dotknęło jej ramienia, po czym ucichła i oczy wlepiła w rzekę, która tuż pod ich stopami u piaszczystego skraju wyspy toczyła stalowe wody. Nie była już ona błękitną, bo zmrok nadchodził, niebo zbladło, i tylko płynące po nim jasne obłoki w

stalowych jej głębiach przeblyskiwały srebrem.

— Jak ta woda płynie... płynie... płynie! — zaszemrała Franka i upojone prawie rozmarzenie czuć było w osłabłym jej głosie.

— Powiedźcie mnie... — z zamyśleniem zaczął Paweł i wnet umilkłszy palcami w gęstwinie gwoździków grzebał.

— Czego chcecie? — ledwie dosłyszalnie zapytała. Wyrwał nagle z piasku całą garść kwiatów i z niespodzianą u niego gwałtownością zaszeptał:

— Kab ciebie! Kołem język w gębie stanął! Nu! Kto wy taka?

Franka nagłym ruchem wyprostowała się i prędko, żywo przemówiła:

— Jeżeli chcecie, to wszystko wam powiem: kto ja i jaka. Kiedy dobry człowiek pyta się, dlaczego nie powiedzieć! Jednego już nie zawstydzę się pewno, to swojej familii. U dziadunia dwa domy własne były, ojciec w kancelarii służył, cioteczno brata mam bogatego! bogatego! W jednym dużym mieście adwokatem jest, nazywa się Kluczkiewicz, żonkę także z pańskiego domu wziął i jak pan żyje. Ot, z jakiej ja familii! Sroce spod ogona nie wyskoczyłam, a że w służbę poszłam, to już taka dola moja nieszczęśliwa... Rodziców szelmów Pan Bóg mnie dał...

— A o rodzicach grzech tak gadać! — prawie z przestachem upomniał Paweł.

— Ot! — sarknęła — u was wszystko grzech! A u mnie co prawda, to prawda. Ja nigdy nie łgę. Posłuchajcież sami, czy nie prawda.

Poprawiła się na swoim kwiecistym siedzeniu i tak przed siebie wyciągnęła nogi, że stopy jej w prunelowe trzewiki obute sterczały tuż nad wodą. Jak ta woda, tak i jej mowa, żywa, tłumna, z chichotami i westchnieniami zmieszana, płynęła nieustannie, nieustannie.

Dziad jej, ongrodzki mieszczanin, posiadał dwa własne domy — zapewne domki, bo taką wymieniła ulicę, przy której same drewniane klitki stoją — i za życia swego jeszcze syna do kancelarii oddał. Kancelarski urząd jej ojca musiał być najpodrzedniejszym, bo brał on pensyjkę małą i często w podartych butach chodził. Tym więcej w podartych butach chodzić musiał, że był pijakiem. Za młodu jeszcze, w złych kompaniach podobno, pić polubił, a potem coraz mniejszą w tym lubieniu miarę zachowywał. Matka była z dobrego domu, Kluczkiewiczówna; na fortepianie nawet grać umiała i kiedy jeszcze miała fortepian, to jak zacznie, bywało, grać jaką polkę czy mazurę, to aż na dwóch ulicach wszyscy słyszą. Przystojna sobie była, stroje bardzo lubiła i — kawalerów. Czasem też bywało u nich bardzo wesoło. Jak ojca w domu nie ma, schodzą się, grają, śpiewają, tańczą, a potem ojciec przychodzi i pijany albo nawet i niepijany, gości rozpędza, a matkę łaje albo bije. Z początku tylko łajał, a potem i bił. Sześć lat miała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła matkę całującą się z kawalerem, a osiem, kiedy matka do familii swojej od męża uciekła. Wtedy ona i dwaj starsi jej bracia żyć zaczęli jak te wróble, co tylko zjedzą, ile gdzie ziarna skubną, i tyle ogrzeją się, ile im pod strych jaki uda się wlecieć. litowali się ludzie nad nimi, to ten, to ów nakarmił i na czas jakiś przytulił. Chłopcom lepiej było; jeden podrósłszy trochę do wojska wstąpił, a drugi do mularki poszedł, choć ta mularka i przeciwna jego urodzeniu była, ale co robić? z nędzy! Niedługo też w ponizeniu tym pożył. Bładzieńki był i szczupleńki jak robaczek; raz mu widać głowa zakręciła się na rusztowaniu, spadł na bruk, skaleczył się okropnie i choć na razie go wyleczyli, niedługo potem zmarł. Starszy, żołnierz, na koniec świata powędrował i żadnego już słuchu o nim nie było. Chłopcy tedy, jak chłopcy — zawsze im lepiej na świecie! ale ona prawdziwe piekło zносиła i z ojcem, i z głodem, i z chłodem, i z tymi głupcami, którzy, kiedy jeszcze dwanaście lat miała, dawali jej ciastka i orzechy za to, aby] pozwoliła im siebie całować. Mówili, że jest ładną, i jej się to podobało, ale oni sami wcale się jej podówczas nie podobali; bała się ich bardzo i wyrzekając się nawet orzechów i ciastek chowała się od nich jak mogła. Ale zupełnie schować się nie mogła, bo często na ulicy

bywała, to z dziećmi różnymi bawiąc się, to do dobrych ludzi z prośbą o kawałek chleba albo o parę drewek na opał chodząc. Domy ojciec dawno już sprzedał i pieniądze razem z matką jeszcze stracił. A matka kilka lat u rodziny swojej zabawiwszy do męża powróciła. Bo to wujaszek, Kluczkiewicz, wtenczas umarł, a dzieci jego porozjeżdżały się po świecie (jeden syn w dużym mieście adwokatem teraz jest i bogaty! bogaty!). Nie było już więc gdzie siedzieć, do męża powróciła. Ale już ojciec wtedy w kancelarii miejsce stracił, do reszty rozpił się i na tę wariację, co to od wódki pochodzi, z pół roku pochorowawszy, w szpitalu zmarł. Matka jeszcze ze trzy lata żyła, okropnie biedna i mizerna.

Robótki różne robiła i po domach roznosiła. Czasem i bieliznę do szycia brała. O kawalerach już wtedy nie myślała wcale, po całych nocach kaszlała i płakała, ją też przy sobie trzymała, czytać i szyć uczyła, a przed samą już śmiercią wystarała się dla niej o służbę u jednej pani i do tej pani ją przyprowadziwszy u nóg jej pełzała o opiekę dla niej prosząc.

— Ot, nieszczęśliwa — zauważył Paweł.

— Aha! — z zaciętą i nienawistną zapamiętałością krzyknęła Franka — a pieniądze te, co za domy wzięli, razem z ojcem na stroje i kawalerów traciła! a nas troje jak te szczenięta porzuciwszy sama do rodziny na wygodę i rozkosze uciekła! To co, że upamiętała się później i przed śmiercią trzęsła się nade mną jak kura nad kurczęciem? Ja jej nigdy już tego nie darowałam, co ona wprzód na zgubienie moje robiła! Wielka rzecz, że upamiętała się wtenczas, kiedy już z niej tylko skóra i kości zostały, a nikt i spojrzeć w jej stronę nie chciał. I wtedy, żeby kto choć palcem na nią kiwnął, poleciałaby i o mnie by znów zapomniała... aj, aj, jakby poleciała! już ja wiem! już ja ją znałam! Tylko, że Bóg i ludzie opuścili, to ona do mnie przykleiła się... a wprzód co? Żeby takich matek świat nie widział!

— To prawda! Kab hetakich matek świat nie widział! — z przekonaniem mruknął Paweł.

Pani ta, do której na pierwszą służbę poszła, była może i dobrą, obchodziła się z nią łagodnie, szydełkowych robót i prania koronek ją nauczyła, ale pan, ot, przyczepił się do niej, i choć wykręcała się z początku, lękając się i wstydząc, nie wykręciła się jednak. Podobał się jej bardzo; był to pierwszy mężczyzna, w którym się jak wariatka zakochała. Był też to pierwszy jej kochanek, bo tamci ciastka i orzechy tylko za całowanie jej dawali. Ten, kiedy ją Pani dowiedziawszy się o wszystkim odprawiła, dał jej pięćdziesiąt rubli, które ona w miesiąc przeżyła nic nie robiąc, tylko po nim płacząc i dla pociechy w wesołych kompaniach hulając. Potem w drugim domu służbę znalazła i — poszło! Gdyby nie wiedzieć jak długo liczyła, nie potrafiłaby przypomnieć sobie i zliczyć wszystkich służb, które od czasu tego zmieniała. Najdłużej, jeżeli gdzie rok ubędzie, i to się jej zdarzyło tylko dwa razy. A zwykle za pierwsze złe słowo usłyszane odprawia się; i kiedy roboty ma za wiele albo czasu na zabawę za mało, odprawia się; i jak ją jedne twarze, na które co dzień patrzy, znudzą, odprawia się także. I ją też często państwo sami odprawiają; za dwie rzeczy tylko odprawiają: za kawalerów i za złość. U niektórych taka srogość, że nie lubią, aby pokojówka w przyjaźni z kim była, i jak tylko co takiego spostrzegą, zaraz odprawiają. Inni znów prędkiego charakteru znieść nie mogą, a ona prędką, ubliżać sobie nie pozwala, na jedno słowo dziesięć odpowie, a czasem to tak parsknie, że państwu z samego zdziwienia i wstydu pozamykają się gęby. Parę razy jednak za takie parsknięcie proces jej wytoczyli i przed sądem stawiała. Za pierwszym razem bardzo lękała się sądu, ale za drugim była tam już jak u siebie i choć karę pieniężną zapłaciła, tak za to oskarżycieli swych odmalowała, że do śmierci już pewno żadnej służącej procesowi nie wytoczą. Raz gorzej z nią było: przez trzy dni w policyjnym areszcie siedziała, i to — najniewinniej. U jednej jej pani drogi pierścionek zginał, a ta, dobrze go nawet nie poszukawszy, zaraz do niej: „Ty ukradłaś! ty i ty!” Co naprzysięgała się wtedy, co wyplakała! nic nie pomogło. Policjantów zawołali, do aresztu wzięli. I

cóż?

Pierścionek znalazł się, pani sama za komodę go zarzuciła. Co ona wtedy wyplakała! co wyplakała! Potem ta pani za niewinne oskarżenie pieniądze jej dawała, ale ona z rąk jej asygnatę wyrwawszy podarła ją, podarła, podarła, nogami zdeptała i panią wyłajawszy poszła sobie. Nigdy jej nikt tak nie skrzywdził, jak ta pani. Bo co prawda, to prawda, a co nieprawda, to nieprawda. Czasem; rzadko nawet, zdarzało się, że jakąś rzecz do pani należąca na siebie kładła, ale zawsze ją odnosiła i nie tylko nie przywłaszczała sobie, lecz nawet nigdy nie zepsuła. Co jak co, ale trzech rzeczy nie robi nigdy: nie pije, nie kradnie i nie kłamie. Taka już jej natura, że tych trzech rzeczy robić jej się nie chce. Gdyby bardzo się jej chciało, pewnie by robiła, ale pokusy żadnej do tego nie czuje. Owszem, wódki nie cierpi, piękne ubrania choć i lubi, ale nie tak bardzo, aby dla nich na kompromitację się narażać, a kłamać, to by po prostu nie potrafiła, bo gdy raz zacznie gadać, wszystko wygadać musi, wszystko, co tylko ślina da gęby przyniesie, i gdyby nawet chciała język powstrzymać, nie może — ale i nie powstrzymuje, bo co jej tam! Ona o nikogo i o nic nie dba!

I teraz także mówiła, mówiła. Powiedziała, że w życiu swoim kochanków miała kilku, a z tych jeden chciał się z nią ożenić, ale ona odmówiła, bo był brzydki, mazgaj i sprzykrzył się jej prędko. Za paru innych wyszłaby była chętnie, bo i kochała się w nich jak szalona, i byli to ludzie delikatni, z dobrych famalii pochodzący, ale oni znowu o żenieniu się z nią ani myśleli i porzucali ją właśnie wtedy, kiedy do nich najwięcej przywiązania uczuwała. Z początku po każdym takim nie przez nią zerwanym związku desperowała, włosy sobie z głowy wrywała, wszystkie łzy z oczu wypłakiwała. Ale z czasem przywykła do tego, że u ludzi żadnej stałości ani poczciwości znaleźć nie można, i teraz już o nic i o nikogo nie dba. Nie będzie tego, to będzie drugi — mówi sobie i nie zawodzi się nigdy. Nie widziała jeszcze, żeby do jakiej kobiety mężczyźni czepiali się tak jak do niej. Mówią, że tańczy ładnie, strasznie też tańczyć lubi i nigdy żadnej takiej kompanii, w której by potańczyć i pohulać sobie mogła, nie opuszcza, choć ją czasem za to nazajutrz po wesołej zabawie ze służby odprawiają. Ale ona dba o służbę jak pies o piątą nogę. Wie dobrze, że zaraz drugą znajdzie, a zupełnie jej wszystko jedno, gdzie i u kogo służy. Wszędzie ściany cudze i ludzie cudzy, wszędzie jest sierotą, której nikt prawdziwie nie polubi i nie przygarnie.

Teraz płakać zaczęła i z płaczem mówić, że jest sama na świecie, że żadna dusza ludzka nie dba i nie troszczy się o nią, że gdy raz w życiu na gorączkę jakąś zachorowała, była zmuszona pójść do szpitala, że tak samo. jak ojciec, w szpitalu też pewno umrze albo i gorzej jeszcze — pod jakimś cudzym płótem śmierć ją zaskoczy, a kiedy umrze, to i pies po niej nie zapłacze, bo komu ona na świecie potrzebna i kto ją prawdziwie lubi? Opowiadała także o wszystkich krzywdach, jakich od ludzi doświadczyła kiedykolwiek, o ciężkich pracach, które spełniała, o kapryсах, które znosiła.

— Każdy ma kogoś takiego, do kogo w smutku przygarnąć się może, kto w biedzie pocieszy i poratuje... matkę czy siostrę, czy brata, czy męża... Ja nie. Sierotą mię Pan Bóg zrobił i tułać się po tym świecie kazał, a za każdą kropelkę przyjemności cały dzbanek trucizny wypijać...

Łzy, które po twarzy jej ciekły, końcami jedwabnej chustki na kark zsuniętej ocierała; chwilami aż zanosila się od płaczu, a mówić jednak nie przestawała i zdawać się mogło, że nie przestanie nigdy. We wszystkim, co mówiła, czuć było nie cynizm sumienia, ale prawie zupełny jego niebyt, a zarazem popędliwą, szorstką, hardą szczerłość. Czuć w niej było także ogromne, przez długie lata dokonywane się nagromadzenie swawoli instynktów i gorzkiej, złej, zniecierpliwionej urazy do świata i ludzi. W łkaniach, jej odzywały się histeryczne szlochania i jęki; pochwyliła się nagle za głowę i krzyknęła, że w skroniach zabolalo ją strasznie. Był to może wpływ odurzającego zapachu gwoździaków albo też tajemniczego procesu choroby, która mózg jej nurtować zaczynała. Nie od dziś zaczynała. Poskarżyła się jeszcze, że już od lat kilku takie bóle głowy chwytać ją zaczęły i chwytają

coraz częściej, najczęściej wtedy, kiedy martwi się albo rozgniewa, albo też po jakiej bardzo już wesołej zabawie. Powiedziawszy to umilkła na koniec, skurczyła się trochę i z łokciami o kolana opartymi, a głową ściśniętą w dłoniach, wśród zmroku, pod ścianą wysokiej dziewanny, nad wodą coraz ciemniejszą i nieustannie, nieustannie płynącą zwolna, w obie strony kołysała swą wąż, zgrabną, niespokojną postać.

Co słuchając długiej jej mowy myślał i czuł ten obok niej siedzący poważny, spokojny człowiek, którego najdłuższą podróżą bywały wycieczki do pobliskich miasteczek, gdzie sprzedawał swoje połowy, którego ciało i dusza zżyły się z wolnymi przestworami rzeki i nieba, z niepokalanie czystym powietrzem, z głęboką ciszą samotnych dni i nocy, którego źrenice pomimo lat dość długich zachowały niewinność i przezroczyłość dziecięcą? Czy obyczajem chłopskim na bok splunawszy, grubiańsko popchnie on ją ku czółnu i niechętnie, w pogardliwym milczeniu tam, skąd wziął, odwiezie? Czy dowiedziawszy się jej historii zechce wnet zostać jednym z tych wielu, o których mówiła, i do okrywających ją plam błotnistych przyłączyć jedną więcej? Może zabobonnie za opętaną i przekłętą ją poczyta i przeżegnałszy się wielkim krzyżem od szatana w kobiecej postaci co rychlej ucieknie? Kiedy mówiła, w oczach jego malowało się nieraz przerażenie; nieraz też wstydliwie twarz odwracał i palcami w gęstwinie gwoździków grzebać zaczynał. Chwilami wpatrywał się w coraz ciemniejszą wodę i z podziwem, ze zgrozą głową kołysał. Najpewniej widział wtedy zamiast wody przepaść czarną i niezgłębianą, a w niej ogniste deszcze gorejącej smoły.

Kiedy umilkła, chwilę tylko pomilczał, a potem mówić zaczął.

— Biedna ty — zaczął — oj, jaka biedna! ze wszystkich już, zdaje się, ludzi na świecie najbiedniejsza! Słyszałem ja, że gdzieś tam po miastach ludzie tak żyją, ale nie wierzyłem. Teraz widzę, że to prawda. W o ł o c z a s z c z e twoje życie, sieroce życie i takie złe, takie grzeszne, że niech Pan Bóg broni! Porzuć, upamiętaj się, popraw się... bo i na tym świecie dobra tobie żadnego nie będzie, i duszę zgubisz!

W głosie tym, tuż nad jej głową wśród zmroku szemrzącym, nic, nic więcej nie było prócz wielkiej litości. Ją ten brak wszelkiej pogardy, wszelkiego lekceważenia dla jej życia i cierpienia uderzył i zadziwił. Zazwyczaj podobne jej wyznania wprawiały mężczyzn w gniew zazdrosny i grubiański albo w nich budziły śmiech lekceważący, z zuchwałym obejściem się połączony. Gdy jednak o poprawie wspomniał, zadziwiła się jeszcze więcej.

— Głupstwo! — zawołała — ciekawa jestem, z czego mam się poprawiać?

Znowu była szczerą; najłżejszego poczucia ani pojęcia jakiegokolwiek winy swojej nie miała. On na słowa jej uwagi nie zwrócił, w myślach własnych zatopiony.

— I na tym świecie dobra żadnego nie zaznasz, i duszę zgubisz — powtórzył. — Czemu poczciwą nie być? Poczciwym być dobrze. Kiedy człowiek żadnego grzechu na duszy nie czuje, to taki robi się lekki jak ten ptak, co pod same niebo lata. I śmierci wtedy nie straszno. Choćby i dziś umrzeć, wszystko jedno, kiedy dusza czysta...

— Co tam dusza! — sarknęła — głupstwo! Jak człowiek umrze, to go w ziemi robaki zjedzą i koniec.

— Nieprawda! — odpowiedział — jest i niebo, i piekło, i wieczne zbawienie, i wieczne potępienie. Ale żeby już niczego na tym świecie nie było, to zawsze w człowieku jest coś takiego, co w grzechu kąpać się nie chce, tak samo, na przykład, jak ciało w kałuży. Żeby tobie kazali do kałuży wleźć i po uszy tam siedzieć, miło byłoby, a? A toż dusza twoja w kałuży siedzi. Oj, szkoda mnie ciebie, szkoda mnie twojej duszy i na tym, i na tamym świecie. Wiesz co? Porzuć ty swoje wołoczaszcze życie. Jaka tobie ochota coraz to inne kąty wycierać, jak ta ścierka? Aaaa? Mnie dziw

bierze, bo zdaje się, że człowiekowi najlepiej, kiedy długo na jednym miejscu siedzi. Siedź i ty na jednym miejscu, wszystko już lepiej znos, cierp, a na jednym miejscu siedź. Przyzwyczaisz się, polubisz i do ciebie przyzwyczajają się, polubią. I na tych, co ciebie do grzechu prowadzą, pluń! Dobrych ludzi widać między nimi nie ma, bo żeby który był dobry, to by z dziewczyną, co dla niego o poczciwości zapomniała, ożenił się. Zlitowania oni żadnego w sercu nie mają czy co? Pluń ty na nich! I na te wesołe kompanie, co do takich rzeczy prowadzą, pluń! Ustatkuj się, popraw się, a i duszę wyratujesz, i zaraz tobie lepiej na świecie stanie!

Umilkł, a ona w zamian zaszepiała:

— Jak żyję, pierwszy raz takiego człowieka widzę. Czy ty jaki przebrany ksiądz albo pustelnik?

No, dziwy!

Parsknęła śmiechem i ruchem zwinnej kotki na równe nogi się porwała.

— No, dość tego gadania! — zawołała — dobrze mnie z wami, ale do domu trzeba. Już wieczór. Z miasta prędko powrócą, a jak do kolacji wpierw nie nakryję i samowara nie nastawię, krakać i gdakać zaczną! Płyńmy!

Wyspę, która na kształt rzuconej na rzekę płachty śniegu w zmroku bieląca i z której biły mocne gwoździkowe wonie, opuścili i pod niebem gwiazdzistym po ciemnej wodzie mnóstwo gwiazd w sobie odbijającej długo w zupełnym milczeniu płynęli. Rzecz nawet była dziwna, że Franka tak długo milczała. Można było przypuszczać, że zasnęła, tak skurczona i nieruchoma siedziała na dnice czółna, prawie u stóp siedzącego na wąskiej ławeczce Pawła. Jednak błyszczące jej oczy z nieruchomością upartą i osłupiałą tkwiły w rysach jego, zaledwie wśród zmroku widzialnych. On milcząc, z nisko pochyloną głową, powoli wiosłem zagarniał wodę, w której odbicia gwiazd przez wiosło roztrącane rojami złotych wężyków i iskier otaczały pomykające czółno. Otaczał też je szmer ciągły, srebrny, łagodny, niby śpiew ciemnej fali, zranione ciała i skołatane dusze do spokojnego snu albo czystych marzeń kołyszający.

Kiedy na wysokiej nadbrzeżnej górze ukazały się smukłe i nieruchome drzewa willi, głowa Franki nagle na kolana Pawła opadła. Z włosów jej wypadły białe gwoździki, a z ust posypały się ciche słowa:

— Oj, jaki ty dobry i jaki miły... miły... miły! Takiego dobrego i miłego, zdaje się, że jak żyję, nie widziałam! Taki przystojny, dobry, miły!

Żeby ty przyjacielem moim zostałeś, już bym niczego na świecie nie chciała i nie odstała-bym od ciebie nigdy, choćby pomiędzy nami pioruny biły! Choćby pomiędzy nami sto światów stanęło, przez góry i lasy biegłabym do ciebie! Choćby między nami wielkie morze legło, przez morze płynęłabym do ciebie! A za to najwięcej, że ty taki dobry i tak litujesz się nade mną. Nikt nigdy nade mną litości nie miał i wszyscy mną poniewierali, choć czasem i lubili, a najwięcej ci poniewierali, co niby to lubili. A ty mnie nie sponiewierał, niczego ode mnie nie zażądał i jak ojciec do mnie przemówił, jak przyjaciel najlepszy! Oj, niech tobie Bóg wynagrodzi za wszystko, mój ty mileńki, złoty, brylantowy!

Rękę jego porwała i do ust swoich przycisnęła. Jemu się wydało, że na rękę spadł mu gorejący żużel. Nachylił się, w obie szerokie dłonie głowę jej ujął i usta w gęstwinie jej włosów zatopił. Pod tym pocałunkiem, jak wpółżywe ptaszę, zmartwiała zrazu, a potem cała drzeć zaczęła. Ale on zaraz usta od włosów jej oderwał i zaszepiał:

— Uspokój się, dziecino! Oj, biedna ty dziecino, uspokój się, ucisz się! Spójrz, jak na niebie gwiazdy ślicznie świecą! Posłuchaj, jak woda śpiewa! Ja całe życie na te gwiazdy patrzę i tego śpiewania słucham! Popatrz i posłuchaj ty! Może lepiej zrobi się tobie! Może twoja dusza, tak jak moja, te wysokie niebo i tę czystą wodę polubi! Uspokój się, ucisz się! cicho! cicho! cicho!

Głowy jej z dłoni swych nie wypuszczał, a gdy drzeć przestając wzdychała i coraz mocniej tuliła

się mu do kolan, kilka razy jeszcze powtórzył:

— Cicho, cicho, dziecino! uspokój się! ucisz się, cicho już! cicho!

Potem wziął wiosło i ku brzegowi skierował. Gdy czołno o brzeg uderzyło, Franka zerwała się na nogi.

— A kiedy zobaczymy się? Mileńki mój, kiedyż znów się zobaczymy? — zaszepiała.

Chustką, którą zupełnie już z szyi zdjęła, moką od łez twarz ocierała; zarazem białe jej zęby w przelotnych, zalotnych uśmiechach błyskały. On namyślał się chwilę, na koniec rzekł:

— Ot, choćby jutro o takiej samej porze w te same miejsce przy płynę. Przyjdź na brzeg, to pogadamy. Dużo ja z tobą do gadania mam, bo szkoda mnie ciebie, strach, jaka szkoda!

Przy pływał tam o zmroku ze trzy razy, lecz nie na długo. Raz ona czasu nie miała, bo w willi goście byli i jej potrzebowano więcej niż zwykle. Z grubym przekleństwem powiedziała o tym Pawłowi, który za przeklinanie ludzi, u których chleb jadła, surowo ją upomniał, aby co prędzej do domu wracała, zagnął i ani na prośby jej, ani na gniewne tupanie nogami nie zważając odpłynął. Drugiego wieczora ona miała czasu wiele, dłużej więc nieco z sobą rozmawiali, ale wśród tej rozmowy on znowu stawał się takim niespokojnym, jakim nie bywał nigdy; ciągle poruszał się w czołnie, wzdychał, parę razy, jakby go coś zabolalo, syknął i nie pożegnawszy się z nią wcale, zanim spostrzec się i opamiętać mogła, na środku rzeki się znalazł.

Za trzecim razem, kiedy dziewczyna, więcej niż kiedykolwiek rozteskniona i rozswawolona, ręce mu na szyję zarzuciła i ten sam żużel, który już raz czuł na rękę, do twarzy jego przykleiła, odepchnął ją tak silnie, że aż zachwiała się i za dziób czołna pochwycić musiała, aby nie upaść.

— Słuchaj, Franka — posepniej i surowiej niż zwykle zaczął — ty do mnie tak nie czepiaj się, bo jak będziesz, to nie przyjadę nigdy i oczy twoje mnie nie zobaczą. Ja dołę opuszczają. Kiedy dowiedziała się o tym, myślała, że zaraz martwa na ziemię padnie, taki żal jej serce ścisnął. Ona teraz za nic, za nic stąd jechać nie chce! Zginie, a nie pojedzie! jak pies na brzegu rzeki położy się i z głodu zdechnie, a nie pojedzie! Niech tam oni sobie choć do samego piekła jadą, jeszcze by im konie zaprzęgać pomogła, ale dla niej teraz dopiero tu niebo otworzyło się, jak w jakim śnie ukazało się szczęście, i ona go nie porzuci... nie porzuci...

— Nie rozstanę się ja z tobą, gołąbku mój, przyjacielu ty mój najmilszy, ojczulku, nie rozstanę się z tobą!... Odpychaj ty mnie od siebie, bij, zabijaj, a nie rozstanę się... nie pojedę...

Ręce mu pocałunkami i łzami okrywała, głowę do piersi jego tuliła. On z początku słuchał w milczeniu, z głową i zwieszoną, widocznie też usłyszaną wiadomością zgnębiony. Potem namiętym wykrzykiem jej i łkaniem wtórował szeptem:

— To prawda, że bieda! Ja i sam nie spodziewałem się tej biedy i nigdy o niej nie pomyślałem.

A potem gwałtownie, ponuro, tak jak nie mówił nigdy, po chłopsku mówić zaczął:

— Nie chacz! nie puszcz u! daliboh nie p u s z c z u! Znów na niedolę i poniewierkę pójdziesz! Nie puszczę! I ciała, i duszy twojej na zginienie nie dam!

Słowa te usłyszawszy z dzikim prawie krzykiem radości u szyi mu zawisła i całym swym wątłym, gibkim ciałem jak węzowymi skrętami silną jego postać owinęła. Wtedy i on znad ziemi ją podniósł, jak dziecko w ramionach zakotłosał i z jakimś zachwyconym, bezpamiętnym śmiechem twarz jej pocałunkami okrywał. Wkrótce jednak opanował się znowu i z lekka usunawszy ją od siebie, cicho rzekł:

— To i pobierzemy się chyba? a co? przyjacielem tobie będę do śmierci i nigdy nie skrzywdzę. Chatę własną będziesz miała, kawałek chleba i życie pocziwe. Nu, Franka, a co?

Czuć było, że mówił to z trwogą. Czy lękał się jej odmowy? czy strachem przejmowały go własne słowa?

Dziewczyna oniemiała zrazu, zmartwiała i po minucie zaledwie rękami splasnawszy, ze spazmatycznym śmiechem do niego przypadła. O własnym dachu i zapewnionym kawałku chleba przez parę sekund może pomyślała, ale co pewna, to że życie z tym człowiekiem, ciągle i jawne, rajem wydało się jej w tej chwili. On silnie, lecz spokojnie ramieniem ją objąwszy mówił:

— Bo to, widzisz, innej rady i innego ratunku ani dla ciebie, ani już dla mnie nie ma. Widać tak Pan Bóg chciał, żebyśmy spotkali się, żebym ja ciebie od ostatniej zguby wyratował i sam na tym świecie jeszcze troszkę radości miał. Nigdy mnie do żadnej kobiety tak nie ciągnęło jak do ciebie. Żonę ja miałem poczciwą, ale lubienia żadnego pomiędzy nami nie było i żyła ona niedługo. A potem już, co swatali, co dziewcząt pokazywali, do żadnej ochota nie brała... Każda, zdaje się, nie taka i nie taka, a jakiej ja chciał, to i sam by powiedzieć nie umiał... Pierwsza ty... jak zorza pierwsze światło dzienne... Widać już tak Pan Bóg chciał, takie przeznaczenie nasze... A do tego taki mnie żal, taki żal, takie zlitowanie nad tobą bierze. Od razu, tam na wyspie, do głowy mi wlaźło, aby wyratować ciebie; a jakże ja ciebie wyratuję, kiedy ty pojedziesz i znowu swoje nieszczęśliwe i grzeszne życie zaczniesz... To już niech będzie tak! Pobierzem się i żyć będziem, jak Pan Bóg przykazał.

Chciała go znowu obejmować i całować, ale on ją powstrzymał, znowu nieco od siebie usunął.

— Słuchaj, Franka — zaczął — a upamiętasz się ty? poprawisz się? będziesz poczciwa? będziesz żyć, jak Pan Bóg przykazał?

— Będę! będę! — pośpiesznie zaszepiała.

— Przysięgnij! złóż palce na krzyż i przed tym krzyżem przysięgnij, że grzech porzucisz, poczciwą będziesz, diabłu do siebie przystępu nie dasz!

Kiedy to mówił, wysoka jego postać poważnie wyprostowała się w cieniu, głos także nabrał brzmień poważnych i głębokich.

Franka, twarzą zwrócona ku krzyżowi, który cienką, wyniosłą linią odrzynał się od tła zmroku, z palcami skrzyżowanymi, z towarzyszeniem przelotnych szeptów boru, jak zwykle porywczco, śpiesznie, z uganiającymi się i tłoczącymi w ustach jej wyrazami, wymówiła:

— Tak mnie, Boże, dopomóż, żebym ja tak po śmierci oblicze Boga oglądała, żeby tak diabeł duszy mojej nie chciał, jak będę ciebie wiecznie i aż do śmierci kochać i szanować, mój ty gołąbku mileńki, złoty, brylantowy!

Przysięgi tej wysłuchawszy Paweł uspokoił się zupełnie. W szczerą jej bezwarunkowo wierzył; nigdy mu przypuszczenie nawet do głowy nie przyszło, aby ktokolwiek na świecie przysięgać mógł fałszywie. Zresztą, Franka istotnie fałszywie nie przysięgała; czuć to było w jej głosie i widać w postawie. Wydało mu się więc, że od tej chwili już zaślubionym jest z tą kobietą i opuszczać jej nie powinien. Zapewne też i ciężko mu było choć na chwilę ją opuścić. Dlatego wahającym się głosem zapytał:

— A jakże będzie... gdzie ty podziejesz się, nim ślub nasz nastąpi?

— Jak to gdzie? — zawołała — polecę zaraz, za służbę podziękuję, rzeczy zabiorę i za minutkę nazad przylecę...

— Ale! przylecisz! a gdzie podziejesz się?

— A u ciebie! a w twojejże chacie! Uśmiechnął się.

— Dziecina, oj, biedna ty dziecina! Co ty wiesz? Widzę ja, że wiele ty nawet nie wiesz! Jakby w lesie urodziła się! jakby pomiędzy ludźmi nie żyła! Jakże ty w mojej chacie żyć możesz, kiedy my jeszcze przed ludźmi nie jesteśmy mąż i żona? Oczy by tobie w tej samej wiosce ludzie wyjedli, i sprawiedliwie, bo takich rzeczy robić nie trzeba.

Po kilku minutach myślenia powiedział jej, że gdy państwo wyjadą, on ją do siostry swojej zaprowadzi, gdzie też dwa albo trzy tygodnie, nim zapowiedzie w kościele przeczytają, przebędzie.



O tym, że ma on siostrę zamężną, Franka wiedziała już wprzód. Prosić zaczęła, aby dziś, zaraz ją do niej zaprowadził. Jutro poleci za służbę dziękować i po rzeczy, a dziś już w wiosce nocować będzie, blisko niego. Ale on na układ taki nie przystał. Państwo przed wyjazdem pewnie więcej niż zawsze sługi potrzebują. On pańskie zwyczaje zna dobrze, bo za młodu z ojcem-tkaczem kilka lat we dworze mieszkał, a i teraz zdarza ma się często po dworach rybę sprzedawać. Otóż wie on, że gdy panowie wybierają się w drogę, wiele tam jest u nich zachodu i lataniny, a ona, co państwu swemu przyrzekła, to i spełnić powinna. Do ostatniej minuty służyć im powinna, potem zaś, no, skoro za mąż wychodzi, to i oni sami zrozumieją, że odprawić się musi.

— No, idź już, idź! Wszystko im tam, jak należy, zrób, a we czwartek rano ja tam przyślę, czajką przyślę, aby i ciebie, i twoje rzeczy zabrać.

Musiała mu być posłuszną, choć zrazu zatrzęsa się cała od zniecierpliwienia i przykrości. To tylko uprosiła, że przed czwartkiem jutro, koniecznie jutro, zobaczą się z sobą.

— Jakbym ja te trzy dni przeżyła bez ciebie?

O to długo prosić nie potrzebowała. Sam pragnął widzieć ją jak najprędzej. Nazajutrz, przy końcu dnia, na zwykłe miejsce przyplął i z czólnem u samego brzegu stanął. Jej jeszcze na brzegu nie było. Przybiegła niebawem, w krwistych rumieńcach cała, od gniewu tym razem wzburzona.

— Żeby jej dobra na świecie nie było! Żeby ją kolki sparły! Żeby ją diabli porwali!

Przeklinała tak swoją panią za to, że przy układaniu rzeczy do drogi jak konia na deptaku, jak wołu w jarzmie dziś ją pędzała ani na minutkę od roboty nie odpuszczając. I teraz także kazała jej książki pana do kufra składać, ale ona już nie posłuchała, myśląc, że on może czeka na nią, wszystko porzuciła i pobiegła.

Paweł jak zwykle z niezadowoleniem słuchał jej skarg i przekleństw, jednak nie upominając jej tym razem, ręką tylko machnął.

— No, już to ostatnia twoja służba była, już więcej nikomu służyć nie będziesz, to i złość w tobie ustanie. Wiadomo, kiedy wiatr dmie, woda podnosi się i szumi, a kiedy dąć przestanie, opada i cichnie. Uciszysz się i ty... we własnej chacie, na jednym miejscu siedząc, uciszysz się... A powiedziałaś państwu, że za mąż idziesz?

Powiedziała i słyszała potem, jak pani panu śmiejąc się mówiła, że Franka mezalians robi.

— A co to znaczy? — zapytał Paweł.

Wy tłumaczyła, że panowie zawsze tak mówią, jeżeli człowiek wyższego urodzenia żeni się z niższą i na odwrót. Pani wyraźnie panu mówiła: „Franka głupia, że za chłopca idzie. Taka delikatna dziewczyna, do miasta i do wygod przyzwyczajona...” A pan znad książki nos podniósł i odpowiedział: „To prawda, że szkoda jej! nieszpeta!”

Opowiadała to Pawłowi z tryumfującym zrazu chichotem i filuternymi spojrzeniami, a potem nadała się czegoś. Usta wydeła i brodę w palce ujmując dodała:

— I mnie już to samo na myśl przychodziło. Chłopów *ja* nigdy nie znałam i z chłopami nie żyłam. Familia, jak dowie się, wyrzecz się mnie zupełnie, a żeby matka w grobie zobaczyła, jaki ja sobie los obrałam, przewróciłiby się w trumnie... pewno!

Wszystkiego tego Paweł słuchał zdziwiony, niewiele rozumiejący, ale po chwili ręką znowu machnął, zaśmiał się.

— Głupstwo! panowie głupstwa gadają, a ty powtarzasz. Jaka tam twoja wyższość i jaka tam moja niższość? Z chłopami ty nie żyła, a z kim żyła? Z łajdakami. Alboż to lepiej żyć z łajdakami niż z chłopami? Dziecina ty! Z inszym życiem tobie i inszy rozum przybędzie. Zobaczysz!

Mówić zaczął o tym, że siostrze i szwagrowi już przybycie jej zapowiedział, że oni chętnie na ten krótki czas do swojej chaty ją przyjmą, że po papiery do miasta zjeździć trzeba będzie, bo bez

papierów ksiądz ślubu nie da, że dziś na ryby nie jeździł, bo przez dzień cały chatę swoją mył i bielił. Słuchając go, patrząc na niego, prędko nadąsaną minę utraciła i gdy odpływać miał, z taką samą, jak wczoraj, namiętą radością u szyi mu zawisła, dziękowała, że ją za żonę brał, najśliczniejszym, najmilszym, złotym, brylantowym go nazywała.

Paweł, odmłodzony i rozpromieniony, choć i w rozpromienieniu tym nawet cichy i poważny, odpłynął.

To jego odmłodzenie i rozpromienienie zauważyli w nim szwagier i siostra od razu, gdy wczoraj w wieczór do chaty ich wszedł. Była to chata niezbyt dostatnia, ale też i nieuboga, przede wszystkim zaś w porządku utrzymywana. Stała ona na samym skraju wsi, piaszczystą drogą tylko z borkiem i cmentarzem rozdzielona, dziedzińcem do ogrodu Pawła przytykając. Dlatego to może Filip Koźlub, wysoki, przystojny, czarnowłosy chłop, tak skwapliwie, gdy jej tylko szesnaście lat było, pochwycił siostrę Pawła, że tak blisko siebie mieszkali.

Roli miał niewiele i młodszego brata, ale po niedawnej śmierci ojca gospodarzem w chacie został i przewożeniem podróżnych przez Niemen na własnym promie trochę pieniędzy zarabiał. Prom ten przed ożenieniem się jeszcze zrobił sam z mocnych desek do dwóch wielkich łodzi przymocowanych; pomieścić się na nim mogło cztery konie z wozami albo bryczkami, a Filip był tak silny, że z pomocą tylko szesnastoletniego brata kilkunastołokciowymi drągami, noszącymi nazwę szosty, z łatwością po rzece go przeprowadzał. Dawniej nigdy tu promu nie było, ale pomysł zaprowadzenia go był widać trafny, bo sporo ludzi teraz zeń korzystało. Zdobyć się na ten pomysł zdradzało w młodym Koźluku roztropność i przemyślność, które łączył on z zupełną trzeźwością, i dlatego pomimo małej ilości należącego do tej chaty gruntu nie była ona wcale ubogą. Owszem, w wewnętrznym jej urządzeniu znać już było dążenie ku niejakiemu pięknu i budzenie się potrzeb nad zupełnie pierwotne liczniejszych. Na czystych ścianach wisiały tam jaskrawe obrazy świętych, na stole stała naftowa lampka, u okna czarny krzyżyk owinięty wiankiem z nieśmiertelników; śmiecia pod progiem i wieprzaka pod ławami charkającego nie było. Na służących za łóżka tapczanach leżały poduszki nie sianem, lecz pierzem wypchane, blaszany samowarek połyskiwał w kącie na czerwonej szafce. Kury tylko nocowały zawsze pod piecem, w którym pieczono chleb i gotowano strawę, u drzwi stały wiadra z wodą, jedynymi sprzętami, oprócz tapczanów, były grube zydle i stoły.

Kiedy Paweł, zaraz po rozmowie z Franką na cmentarzu, do tej chaty wszedł, siostra jego, Ułana, o kilkanaście lat od niego młodsza, więc niespełna trzydziestoletnia, hoża kobieta, z niemowlęciem na ręku przed ogniem stała; Filip, tylko co z promu wróciwszy, na zydlu leżał i obu rękami trzymał stojącego mu na piersi trzyletniego malca; brat jego, szesnastoletni Daniłko, do rybołówstwa ogromny pociąg mający, przy lampie sieć wiązał.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków! — odpowiedziały trzy głosy. Ułana podeszła i, od zdrowej młodości swej zarówno jak od ognia gorąco rumiana, brata w rękę pocałowała. Filip podniósł się na zydlu, usiadł prosto i z rąk wypuścił malca, który izbę z wielkim krzykiem przebiegł, matczynej spódnicy uczeplił się i ucichł. Wtedy Paweł na zwykłym swym miejscu pod ścianą siedząc, z dłońmi na kolanach i oczami ku ziemi zwróconymi, powoli mówić zaczął:

— Przyszedłem ja dziś do was, moje dziatki, z jenteresem i proszę was bardzo, abyście zrobili tak, jak ja powiem.

Ułana z dziećmi na środku izby stojąc słuchała; Daniłko głowę znad siatki podniósł; Filip odezwał się uprzejmie:

— A czegoż to chcecie?

— Niechaj ja wprzód wszystko, jak potrzeba, wyłuszcę — ciągnął Paweł i na Ulanę wzrok

podniósł.

— Czy ja tobie, Ulanka, kiedy nasze b a ć k i pomarli i ciebie maleńką na moich rękach zostawili, złym bratem byłem?

— O Jezu! a któż to mówi? — krzyknęła młoda kobieta.

— Nikt nie mówi, a ja tylko sam chcę przypomnieć i sobie, i wam, moje dziatki, że wszystko, co mogłem dla was zrobić, zrobiłem. Nie krzywdziłem ja ciebie nigdy, moja gołąbko, nie opuszczałem, złego nie nauczałem, przeciwnie, lubiłem, głaskałem i dobra, rozumu uczyłem. Kiedy za mąż wychodziłaś, połowę ogrodu swego wam oddałem, dwie krowy i dziesięć owieczek kupiłem i kilka groszy dałem... Czy prawdę ja mówię?

Ulanka znowu, tym razem już z dwojgiem dzieci, podeszła i w rękę go pocałowała, a Filip odpowiedział:

— Prawda! a któż to mówi, że nieprawda? Ale i my, zdaje się, źli dla was nie byli i, zdaje się, nigdy nie będziemy.

— A któż mówi, że wy źli? — powtórzył Paweł. — Dlategoż to, że wy mnie zawsze dobre serce i życzliwość okazywali, ja teraz do was z tym jenteresem przyszedł.

I powoli, z rozwąga, bez najlżejszego wahania się, to, z czym przyszedł do nich, wypowiedział. Kiedy umilkł. przez dobre dwie minuty panowało w izbie milczenie, skwierczeniem niemowlęcia tylko przerywane. Ulana tym, co usłyszała, była tak zadziwiona, że nawet na upominające się o pokarm dziecko uwagi nie zwracała. Czarne oczy Filipa pod gęstymi brwiami słupem stanęły; Daniłko aż krzyknął i zaraz twarz swawolną i roześmianą w zwoje sieci schował. Jakkolwiek Paweł miał tylko czterdzieści dwa lata, z powodu powagi i odludności jego wszyscy przywykli poczytywać go prawie za starca i nikomu zrazu w głowie pomieścić się nie mogło, aby mógł się on jeszcze ożenić. Po ochłonięciu przecież ze zdziwienia Ulana pierwsza zawołała:

— Przyjmiam! czemu nie przyjmiam? ojej! albo to chata ciasna? Wielka rzecz, że sobie ze trzy tygodnie posiedzi! Jeszcze i weselej będzie!

Filip słowa żony potwierdził:

— My dla was i nie to, ale choćby i co więcej zrobić gotowi... Czemu nie? Mało to my dobra od was mieli? Tylko...

Zawahał się, z zydła wstał, do szwagra podszedł i jedną rękę na kłębie opierając, a drugą ku głowie podnosząc z wahaniem przemówił;

— Dziewier! Czy wy tylko dobrze robicie, że z taką żenicie się? Z miasta pochodząca, nieznajoma, niewiadomą... Kto wie jaka? Żebyście tylko, broń Boże, nie nabrali sobie jakiej biedy!

— Otóż to — blisko do brata i męża przysuwając się powtórzyła Ulana — otóż to, żebyście czasem, Pauluczku, jakiej biedy nie nabrali!

Paweł wstał, przyjaźnie na dwoje młodych popatrzył i stanowczo rzekł:

— Nie lękajcie się. Biedy nijakiej nie będzie. Przysięgła mnie jednego szanować i lubić aż do śmierci. Przysięgła. A co do tego, jaka była, to nic! Żeby inna była, może bym ja z nią i nie ożenił się, choćbym i polubił. Ale ja ją i lubię, i wyratować żądam. Ot co. Już inaczej nie będzie. A za dobroć waszą dziękuję wam, dziatki, i da Bóg, może czym jeszcze i odsłużę. We czwartek ją przyprowadzę. Dobranoc.

Kiedy do drzwi szedł, głową trzymał wyżej niż zwykle, ani jednej zmarszczki na czole nie miał i tak jakoś młodo a gibko wyglądał, jakby mu dziesięć lat wieku ubyło.

Ulana i Filip w milczeniu naprzód na siebie spojrzeli. Filip końcem palca czoła swego dotknął.

— Sfiksował Pauluk czy co? — z cicha wymówił. Kobieta z niezadowoleniem oczy odwróciła.

— Jego wola! — szepnęła.

— A czyjaż? Jego! ale żeby tylko jemu z tej woli ciężka niewola nie wyniknęła? Wywłokę jakąś z miasta za żonkę brać, i to na starość! Pfuj!

Splunął. Ulana ku ogniowi znowu odeszła. Szanowała i lubiła brata. Słowa męża o nim trwożyły ją i trochę gniewały. Jednak po kilku minutach odezwała się pierwsza:

— Pilip!

— A co?

— A Pauluk jakiś inny jak zawsze... zdaje się młodszy zrobił się i weselszy...

— Ale! — piskliwym głosem i parszcząc śmiechem zawołał Daniłko — jak z chaty wychodził, zdaje się, że głową aż do sufitu dostawał!

Dziwili się długo. Nie wiedzieli, że we krwi tego człowieka, z pozoru jak Niemen w pogodę spokojnej, zawrzała pierwsza w życiu namiętność, że w sercu jego, jak Niemen głębokim i cichym, rozlała się litość niezmierna; że przed wzrokiem jego, przywykłym do ścigania nieścignionego szlaku Niemna i do wpatrywania się w widnokreśli wysokie, dalekie — powstało zadanie ludzkie, dobre, święte i blask swój rzuciło mu na oblicze.

Wydatnie postać Franki uwypuklała się i jaskrawo odbijała na tle wiejskiej ludności kobiecej. Kiedy po raz pierwszy do chaty Koźluków przybywała, Ulana, z jednym dzieckiem na ręku, a drugim do spódnicy jej uczeponym, oczekiwała na nią wśród zielonego i przez światło słońca zalanego podwórka. Obok tej młodej matki, w bogatym rozwinięciu kształtów i siły nieco ciężkiej a krasą rumieńców i spokojnym blaskiem oczu jaśniejącej, zmalowała ona i przygasła jak drobny, przywiedły gwoździak obok pysznie rozkwitłej piwonii. I potem zawsze, na ulicy, w izbach, aa stoku góry, z której po wodę schodzono, miała ona wśród wiejskich niewiast i dziewcząt pozór szczupłej, zwinnej, ruchliwej pliszki wypadkiem pomiędzy nieśmałe gołębice i ciężkie kokosze wmieszanej. Najwątlesza z mieszkanek wsi, młodziutka żona Aleksego Mikuły, była jeszcze w ramionach i pasie dwa razy szerszą i grubszą od niej; sześćdziesięcioletnia Awdocja, z pomarszczoną, lecz jak jesienne jabłko rumianą twarzą i czarnymi, błyszczącymi oczkami, wyglądała przy niej jak upostaciowanie zdrowia i siły; nawet bardzo już stara kątnica Marcela, o kiju często po zebraniu chodząca, przedstawiała uwiędłość i słabość natury wcale innej, bo w kwadratowych kształtach jej ciężki 3-go ciała i grubym brzmieniu ochrypłego głosu widać było niegdyś wielką i tylko przez długie lata i trudy zniszczoną siłę. Ze swą cienką i gibką kibicią, z elastycznymi, zmijkę lub wiewiórką przypominającymi ruchami, ze zmiętą, niezdrową cerą, śród której ogniem uczuć i pożądań od dawna w stan nieustannego podniecenia wprawionych gorzały zapadłe oczy, w miejskiej sukience, cienkiej i lichymi ozdóbkami okrytej, Franka na tle nowego otoczenia swego wyglądała jak dziecię całkiem innego rodzaju.

Ubranie zresztą wkrótce zmienić musiała na takie, jakie we wsi noszono. Wraz z nią Paweł na łódź zabrał i da chaty siostry przywiózł skrzynkę niedużą, z której Ulani, ciekawie rzeczy miejskiej dziewczyny rozpatrująca, wyjęła małą poduszkę, podartą kołdrę, dwie suknie i trzy koszule. Było to wszystko, co posiadała Franka. Przez szesnaście lat służby taki tylko zgromadziła sobie majątek; reszta poszła na częstowanie przyjaciół i przyjaciółek i na to jeszcze, co napelniało na dnie skrzyni znajdującą się szkatułkę. Napelniały ją świecące szpilki, kolczyki, grzebuszki, różnokolorowe wstążki i chusteczki, zbrudzone rękawiczki, pachnące mydełka; a wszystko to było zgniecione, połamane, podarte i przy pierwszym dotknięciu grubych rąk Ulany z niezamkniętej szkatułki wysypało się na jej kolana. Wśród powszechnego zachwycenia Franka znaczną część tych skarbów obecnym rozdarowała i pasową chustkę zawiązawszy na głowie Ulany, starej Awdoci nawet wstążką szyję przyozdobiła. Dzieciom, których zgromadziło się wiele, rzuciła garść paciorek i połamanych szpilek; do Filipa uczepiła się, aby sobie koszulę błyszczącym szkiełkiem zapiął. Wszystko to czyniła chichocząc i szczebiocząc, Ulaną, Awdocię i dzieci całując. Wspiąwszy się na palce Filipa nawet w policzek pocałowała i ku Pawłowi poskoczywszy, z ramieniem dokoła szyi jego zarzuconym, na kolanach mu usiadła. On przy tylu świadkach przedślubnej tej poufałości zawstydził się, wzrok odwrócił i przy sobie na ławie ją posadził. Wszyscy patrzyli na nią z ciekawością i zdziwieniem. Nikt tu, jak żył, nie widział kobiety tak ruchliwej, głośnej i hojnej. W hojności tej czuć było naprzód, że przywykła o nic nie dbać, nic nie zgromadzać i o jutrze nie myśleć, a potem, że czuła się niezmiernie szczęśliwą. Uszczęśliwienie to wybuchało na zewnątrz śmiechem, skokami i gwałtownym rozczuleniem dla ludzi, pośród których się znalazła. Zdawać się mogło, że gdyby teraz ktokolwiek z otaczających był bardzo głodnym, samą siebie do zjedzenia by mu oddała. Ulana, bardzo z darów otrzymanych zadowolona, skrzynki przetrząsać jednak nie przestawała i coś białego rozwijając od zadzwienia aż krzyknęła. Zadziwiły ją koszule Franki, cienkie, ale bardzo podarte. Pełną szkatułkę kosztownych szkiełek i wstążek miała, a koszuli całej nie miała. Suknie też jej z

mnóstwem falban i kokardek poplamione były i u dołu obłocone.

— Aaa! — zadziwiła się Ulana — jakże wy w tym chodzić będziecie? To już innego odzienia nie macie?

Franka sięgnęła do kieszeni i z rogu chustki w węzełek związanego kilkurublową asygnatkę wyjęła. Była to zapłata, którą za ostatni miesiąc służby otrzymała i której na wsi stracić nie mogła. Prosić zaczęła Ulany, aby jej za te pieniądze takich samodziiałowych spódnic, fartuchów, grubych, lecz całych koszul, jak te, które na sobie miała, kupiła.

— Moja mileńka, złocieńka, brylantowa, kupcie! — prosiła.

Ulane zawahała się, zmieszała, na męża spojrzała, a widząc, że potakująco powiekami mrugnął, uprzejmie rzekła:

— Na co kupować? u mnie, chwała Bogu, wszystkiego dosyć jest. Ja wam i tak, bez nijakiej zapłaty, parę spódnic i płótna na koszulę dam. I śmiejąc się dodała:

— A potem, kiedy zechcecie, tkąć was nauczę, to i sami naczecie sobie wszystkiego, co potrzeba.

Paweł malutkiego siostrzeńca z ziemi podniósł i na kolanach huścić zaczął. Obecni ledwie uszom swoim wierzyć mogli słysząc, że wesoło zagwizdał, tak to ze zwykłym jego znajdowaniem się sprzecznym było.

— Dobrze, Ulanka! — przyjaźnie na siostrę patrząc przemówił — daj jej tymczasem, co trzeba, a później policzmy się. Jak nie krzywdziłem ja ciebie do tego czasu, tak i teraz krzywdzić nie będę. A tkąć i co tam więcej w stanie naszym potrzebne, ją naucz. Ona biedną sierotą od urodzenia swego była i nikt jej nigdy dobra, rozumu nie uczył. Uczyć teraz będę ja. Ucz i ty. Pan Bóg tobie wynagrodzi.

Ulane, Filip, Awdocia, nawet swawolny Daniłko głowami po kilka razy kiwnęli. Wyraz sierota do serc im trafił. A Paweł narzeczoną ramieniem objął i w czarne, lśniące włosy pocałował.

Ubranie, od Ulany otrzymane i za które Paweł z miasteczka dla siostry ładne, ryże cięły przyprowadził, włożyła jednak nieprędzej, jak w parę tygodni po ślubie. Dotąd z przebraniem się tym ciągle zwlekała, często po grudzie lub błocie ulicy wiejskiej paradując w prunelowych bucikach i falbanach miejskiej sukni. Ale teraz nie było już rady. Buciki podarły się, koszule prawie spadały z ciała, sukni do reszty niszczyć nie chciała. Wszak już, jak dawniej, pensji, za którą gałganki sobie kupowała, otrzymywać nie będzie; to zaś, aby Paweł je dla niej kupował, wprost na myśl jej nie przyszło, tak bardzo nieprzyzwyczajoną była, aby w potrzebach życia ktokolwiek jej dopomagał i aby do stosunków swych z ludźmi jakąkolwiek rachubą przywiązywać. Przeciwnie, sama w formie poczęstunków lub pożyczek oddawała zwykle ludziom, którzy się jej podobali, wszystko, co miała. I teraz także, choć wiedziała o tym, że Paweł zarabia sporo, a stara Marcela dawno już wyszeptala przed nią, że podobno w jego chacie pod piecem znajduje się przez ojca-tkacza jeszcze zakopany garnek ze srebrnymi rublami, wcale o tych dostatkach męża nie myślała i miejską sukienkę starannie w skrzynce złożywszy, aby w niej choć do kościoła móc jeździć, ubrała się na koniec po chłopsku. Kiedy już płytkie trzewiki skórzane i samodziiałową spódnicę w równokolorowe paski na siebie włożyła, a na grubą koszulę zarzuciła perkalową, kwiecistą chustkę, splasnęła rękoma, po ubraniu tym wzrokiem rzuciła i żałośnie zawiodła:

— Otóż i chłopinka ze mnie! otóż i przemieniłam się w chłopinkę! Już by mnie teraz rodzony ojciec nie poznał, a matka, żeby z grobu na mnie spojrzała, na drugi bok przewróciłaby się w trumnie! Ot, już i po mnie! Pochowana ja i zakopana na wieki i nie będzie już dla mnie innego życia na świecie jak te chłopskie, którego ja nigdy nie znała i znać nie chciała!

Twarz rękoma zakryła i rozplakała się na całą chatę. Tym wybuchem rozpacz, który po bardzo wesołym ranku nastąpił, Paweł zrazu był tak zdumiony, że z otwartymi ustami przez chwilę na ławie

siedział. Ale potem uśmiechnął się i ręką machnął.

— Czysta dziecina! — rzekł — nie wiadomo czasem, czego śmieje się, i nie wiadomo, czego płacze! Ot, głupstw tobie w głowę nakładli, a ty wierzysz i powtarzasz. Rozumu nikt nie uczył, a głupstw powyuczali. Niech im Pan

Bóg tego nie pamięta. A ty, jak pochodzisz troszkę w tym odzieniu, to i przywykniesz, i poznasz, że między panami czy między chłopami lepsza koszula cała niż dziurawa.

Wstał, kilka kroków uczyniwszy obok niej usiadł i objąwszy do piersi swej przygarnął.

— Cichoż, Franka — mówił — no, cichoż już, cicho, uspokój się, ucisz się... nie ma czego lamentować!

Nagle płakać przestała, całym swym ciałem gibkim i drgającym przykleiła się do niego i na szyję ramiona mu zarzuciwszy okryła go pieszczotami. W podobny zapewne sposób człowiek dręczony palącym pragnieniem pije wodę strumienia i ust od niej oderwać nie może. On schwycił ją na ręce, jak piórko aż pod niski sufit podniósł. Błękitne jego oczy, tak dawniej przezroczyście i spokojne, gorzały; ona zanoszącym się śmiechem i odgłosami pocałunków napełniła izbę. W godzinę potem razem zeszli ku rzece, do czółna wsiedli i popłynęli, a niebawem widać było, jak na przeciwnym brzegu rzeki oboje wędą na wodę zarzucali.

We wsi zauważono, że Paweł po ożenieniu się nie tak ciągle na rzece przebywa niż przedtem i daleko mniej często do miasteczek i dworów rybę na sprzedaż wozi. Nikt się jednak temu bardzo nie dziwił, bo wszyscy się domyślali, że w samotnym i skromnym życiu, przy niezłym zarobku, trochę grosza mógł on wprzódę uzbierać, a i ten ojcowski garnek ze srebrnymi rublami pod piecem zakopany dla nikogo tajemnicą nie był. Dlaczego Paweł dotąd go nie odkopał? Ot, potrzeby widać nie było. Siostrę i bez tego po ludzku i po ojcowsku z chaty wyprawił, a później jak wilk samotnie żyjąc, byle czym się obchodził. Garnek ten może na czarną godzinę czy na zbudowanie kiedykolwiek nowej chaty chował, albo po śmierci na kościół oddać umyślił.

Dość, że biednym nie był, zapas posiadał; czemuż by więc, przez całe życie pracując i horując, a pod starość młodą żonkę wzięwszy, odpocząć trochę nie miał? Słuchający rozmów tych parobcy z młodości Franki śmiali się trochę.

— E! — mówili — jaka ona tam młoda? Już nawet on młodszym od niej wygląda.

Istotnie, znać było po Pawle, że z biernego zadowolenia przeszedł on w stan nieustannej, gorącej radości. W ruchach i sposobie mówienia powagi nie utracił, ale z ludźmi chętniej i dłużej rozmawiał, a w oczach i uśmiechu miał cichą, lecz ciągłą wesołość. Sprawiało to, że wyglądał młodziej niż wprzódę. Można go było teraz wziąć za człowieka, któremu niedawno trzydziestka minęła. Raz stara Awdocia spotkawszy go samego u brzegu rzeki, z której wodę do wiader czerpał, brodę na rękę podparłszy zagadała:

— A co, kumku, dobrze tobie teraz? Kontent, że ożenił się? a?

Rumianą, choć starą Awdocię o czarnych, błyszczących oczkach wszyscy we wsi lubili i poważali. Była ona ciekawą, gadatliwą, w cudze sprawy wtrącać się lubiącą, ale wesołą, usłużną, doświadczoną i w wielu wypadkach użyteczną. Nie potrzebowała przy tym niczyjej łaski, mieszkając przy synu, porządnym i statecznym gospodarzu. Pawłowi sprzyjała zawsze i kiedyś swatostwami swymi mu dokuczała, ale on ją lubił i kilka razy u sąsiadów dzieci z nią do chrztu trzymał. "Wyprostował się też zaraz znad wiader i z uśmiechem odpowiedział:

— A dobrze! ojej, jak dobrze! Czego chciałem, to i dostałem, czemuż nie ma być dobrze?

— To ty dlatego nie żenił się, że chciał takiej jak ta? — zapytała Awdocia.

— Ale, widać dlatego..

— To czemuż nie gadał... może by prędzej znalazła się! — zachichotała baba.

— Albo ja wiedział?... ja sam nie wiedział, i czego ja chcę, i jakiej ja chcę... a teraz, jak znalazł, to i dowiedział się...

— Nu, dobre, daj Boże, żeby zawsze tak było — życzliwie mówiła kobieta, ale teraz on jej przerwał. Dawniej nigdy nie zdarzało mu się, aby komu mowę przerywał, bo słowa miał leniwe i niechętne; teraz z pełnego widać serca wyrывały się mu one na usta.

— Bo to widzicie, kumo, wszystko dobrze... mieć do kogo w chacie zagadać i z kim poweselić się dobrze... i przyjaciela do śmierci mieć... dobrze... ale za co już ja najwięcej Panu Bogu najwyższemu dziękuję, to że duszę ludzką wyratowałem...

Tak jak i Awdocia brodę na ręku oparłszy, z zamyśleniem kończył:

— Duszę ludzką od męki na tym świecie i od potępiania na tamtym wyratować... czy to mała rzecz! O Jezus! jaka wielka!

— A toż — potwierdziła Awdocia, ale widać było po niej, że o co właściwie chodziło, nie rozumiała.

— Dobre, dobre! Kab tylko Pan Bóg dał, żeby zawsze tak było! — wieszowała, ale tej sprawy z duszą nic a nic nie rozumiała. Jedno tylko swymi żywymi, okrągłymi oczami dostrzegła, że na twarzy Pawła jakby łuna od pożaru czy też od księżycowego światła zajaśniała.

— Nu, nu! — dziwiła się — jakby ciebie, Pawluku, matka drugi raz na ten świat narodziła!

I chichocząc przez cały wieczór roznosiła po wsi, jaki ten Pawłuk szczęśliwy, jak z żonki kontent, jak odmłodził!

Zresztą, wszyscy mieszkańcy wsi, zjawieniem się wśród nich obcej i całkiem odmiennej kobiety zrazu bardzo zaciekawieni, przekonali się wkrótce, że w chacie Pawła nie dzieje się nic niezwykłego. Cicho tam było jak i dawniej, a tylko na podwórku Koźluków albo w ogrodzie dwie chaty rozdzielającym rozlegał się często cienki głos i donośny śmiech Franki rozmawiającej z Ulaną lub głośnie swawole wyprawiającej z Daniłkiem. Na ulicy wiejskiej widywano ją rzadko, do sąsiadów nie chodziła wcale, wiele czasu z mężem na rzece spędzała. Już teraz najmniejszego nie doświadczała strachu znajdując się na wodzie; owszem, pływanie i łowienie ryb z właściwą sobie popędliwością gustów i chęci polubiła. Ilekroć Paweł z udaniem się na rzekę ociągał się nieco, chwyciła go za rękę i wyciągała z chaty, po czym żądała, aby z nią na wyścigi biegł ku rzece, i zawsze, zdyszana strasznie, ale prędzej od niego u brzegu jej stawała. On był silnym i krok miał szeroki, ale ona, jak piórko lekka, tak szybko biegła, że zdawało się, iż ziemi nie dotykając powietrzem leci. Ramiona przy tym jak skrzydła rozpościerała i wydawała ostre, piskliwe, prawdziwie ptasie krzyki. Wiosłem robić nauczyła się prędko, ale długo nie mogła, bo sił jej nie stawało; jednak często dwoma członkami, przywiązana do nich siecią złączonymi, na rzekę wypływali. Czółna, jak bliźnięta ku sobie przybliżone i nierozłączne, równo i niezbyt prędko po szlaku pogodnej wody mknęły, sieć pomiędzy nimi w wodę opuszczona ciężarem wpadających w nią ryb nabrzmiwała, a Franka powoli wiosłem wodę zagarniając i wzrokiem ciekawym po wodzie i brzegach wodząc znajdowała, że to zajęcie, które z niedawno jeszcze posiadany człowiekiem dzieliła, daleko lżejszym jest i przyjemniejszym od dmuchania w samowary, sprzątnięcia pokojów i prasowania cudzych sukien w ciasnych i dusznych kuchniach. Że zaś wszystko, co czuła, czymkolwiek było, prawie bez woli jej i wiedzy wylewało się z niej na zewnątrz, o doznawanych miłych wrażeniach bezprzestannie prawie Pawłowi mówiła.

— Ot, odpoczywam sobie! — mówiła — ot, jak królowa panuję i o nic głowa mię nie zaboli! Jakby mnie matka drugi raz na świat ten narodziła! Jakby mię Pan Bóg na jakimś drugim świecie posadził!

Był to dla niej istotnie świat zupełnie nowy. Parę razy w życiu zaledwie opuszczała miasto i za



każdym razem przez kilka tygodni kręciła się tylko dokoła letnich mieszkań swoich państwa, nic prócz ich dziedzińców i drzew najbliższych nie widząc. Teraz, gdy przed jej oczami otworzyły się widnokreśli swobodne i krajobrazy pełne szczegółów nigdy dotąd nie widzianych, wszystko, na co spozjrzała, budziło ciekawość jej i zdziwienie.

Ciekawość i zdziwienie, nie zachwycenie. Piekący głód wrażeń, który ze wszystkich nędz i rozkoszy przeszłości swej wyniosła, czynił ją namiętnie ciekawą każdej nowości, bez względu czy był nią świeżo poznany a ponętny człowiek, czy po raz pierwszy widziana fala, chmura, barwa, błyskotka. Była zaś tak ciemną, tak początku i natury żadnej rzeczy nie znającą, że wszystkiemu, co wzrok jej pociągnęło i ciekawość obudziło, dziwiła się głośno, namiętnie, bez granic, jak człowiek dziki, jak dziecko. Istotą dziką każdemu wydać by się mogła ta kobieta, wśród wiejskiego spokoju ruchliwa i krzykliwa, ta wychowanica wysokich murów miejskich, nie znająca nic z tego, co powstawało, kwitło, świeciło, śpiewało pod niebem od kranca do krańca odkrytym. Ale dzieckiem wesołość i pobłażliwość budzącym ciągle i coraz bardziej wydała się towarzyszowi swemu, który w rzeczach dla niej nie znanych i dziwnych tak był biegłym, że na parę dni wpierwej przepowiedzieć mógł stany, w jakich znajdować się miały powietrze, niebo i woda. Czasem rano z chaty wyszedłszy po niebie wzrokiem wodził, na słońce spod dłoni spoglądał, w nozdrza powiewy wiatru wciągał, a potem ludziom spotkanym swoim poważnym, przyciszonym głosem mówił, aby ze zbieraniem zboża, siana czy warzywa pośpieszali, bo już tylko dni dwa, trzy pogoda potrwa, po czym rozpoczną się deszcze. W porze dżdżystej, kiedy jeszcze ciężkie obłoki rozpościerały się u góry, a u dołu przez wiatr chłostany Niemen toczył ciemne i spienione fale, do chaty z podwórza wracając Frankę na ławie skurczoną, poziewającą pocieszał wieścią, że za dni dwa, trzy rozpogodzi się i pociepleje. A gdy zawsze stawało się tak, jak przepowiedział, Franka z trwożnym prawie spojrzeniem pytała:

— Czy ty prorok, czy co, że wszystko zawsze wyprorokujesz?

On śmiał się z zadowoleniem.

— Ja nie prorok — odpowiadał — ale rybak. A jakież to rybak byłby ze mnie, żebym nie wiedział, kiedy trzeba na rzekę wypływać, a kiedy nie trzeba, kiedy przeszkody w robocie będą, a kiedy ich nie będzie.

Wiedział wybornie, z jakiej chmury deszcz spadnie; a z jakiej pioruny bić będą, jaka niewinnie nad ziemią przepłyne, a jaka nad nią wichrem potężnym powieje lub gradem niszczącym sypnie. Wiedział, w których miejscach woda na rzece głęboką bywa lub płytka, w których dno jej kamieniami jest usiane, białym i pomarszczonym piaskiem usłane lub gęstwiną długich, śliskich, splątanych wiklin porośłe. Wiedział, gdzie najłatwiej poławiają się kielby i płotki lub w największej obfitości mieszkają szczupaki, u jakich brzegów raki najgęściej obsiadają podwodne mchy i kamienie, w jakiej porze dnia i roku jakie gatunki ryb na jakie biorą się przynęty. Po doniosłości pluśnięcia i szerokości kół roztoczonych na wodzie poznawał, jaka ryba wyskoczyła była na jej powierzchnię, a z kierunku, wysokości i szybkości fal odgadywał, czy połów będzie szczęśliwy. O wszystkim tym mówił France, a gdy się wszystko, cokolwiek powiedział, sprawdzało, znać było po niej, że zdejmowała ją trwoga przesądna.

— Czy ty jasnowidzący, czy co? — pytała. On znowu śmiejąc się odpowiadał:

— Ja nie jasnowidzący, ale ta rzeka przez całe życie żonką moją była. Innej ja nie miał i nie chciałem, aż póki ciebie nie zobaczyłem...

Wybornie więc Franka bawiła się pływając z mężem po rzece, wcale też nieźle, gdy czasem bez niego w domu zostawała. Przychodziła wtedy do niej żebraczka Marcela, w tym roku u Koźluków na kącie siedząca, i prawiała rzeczy dla niej przyjemne i zajmujące. Kiedy pierwszy raz, niewiele przed południem, bosa, ciężka, od łachmanów, które ją okrywały, garbata, weszła do izby, Franka

wyciągała się jeszcze na pościeli, poziewając i przecierając oczy. Marcelę widziała już nieraz i na powitanie jej życzliwym skinieniem głowy odpowiedziała. Baba miała twarz wielką, prawie kredowo białą, w grube zmarszczki pofałdowaną, kosmykami siwych włosów spod brudnego łachmana, którym głowę obwiązywała, zarzuconą. Zapewne nie mniej niż siedemdziesiąt lat jej było i żyła w nędzy, jednak żywości i bystrości nie utraciła. Poruszała się tylko powoli i ciężko, ale mówiła wiele i małe jej oczki spod nabrzmiątych powiek rzucały połyskliwe, bystre, ciekawe spojrzenia. U progu stając, na kiju wsparta, głosem ochryłym i w którym jakby zgrzytanie piły słyszać było, zaczęła:

— Aaaa! to wy jeszcze nie wstali! może wy mileńkie, a toż ludzie dawno już odpołudniowali i znów do roboty poszli! A ogień rozpalony i strawa gotuje się, i w izbie sprzątnięto! A któż to wam wody przyniósł i garnki do ognia przystawił, kiedy wy do tego czasu spali?...

— Mąż — na pościeli jeszcze siedząc i leniwie nogi swe oglądając odpowiedziała Franka. — Do miasteczka dziś z rybą pojechał, a przed wyjazdem wody przyniósł, ogień rozpałił i obiad nastawił...

— Aaa! otóż dobry z niego człowiek! — zadziwiła się żebraczka i bliżej przystąpiła ku gospodyni, która w płaskie trzewiki stopy już wsunawszy, niedbale i poziewając samodziałową spódnicę zawiązywała. Ręce, których skóra do kory drzewnej podobną była, na kiju składając, z wlepionymi we Frankę oczami, żebraczka dziwiła się dalej:

— Ależ ty, moja mileńka, śliczna, to śliczna! Nie dziwno, że twój za tobą świata nie widzi. Bożeż mój, Boże, nóżki u ciebie bielsze niżeli twarz u drugich, a oczki jak pacioreczki błyszczące, a w pasie cienka taka, jak jaka panienka, kiedy gorsetem ściśnięta...

— A tyż widziała kiedy gorset? — zaśmiała się Franka drżąc trochę, jak zwykle z nią bywało, gdy z pościeli wstawała. W izbie ciepło było, ale to drzenie już od lat kilku, z rana szczególnie, ją napadało. Cera jej wtedy żółkła i wargi bladły. Przed ogniem przysiadła, chustką otulona, poziewała, a żebraczkę poprosiła, aby sobie na ławie usiadła. Pochwały przed chwilą usłyszane życzliwie ją dla ochryplej baby usposobiły. Marcela pod ścianą naprzeciw ognia siadła, ręce znowu na kiju oparła i w szerokim uśmiechu bezzębne zęby ukazując zawiodła:

— Czy ja gorset widziałam! Oj, Bożeż, mój Boże! czego ja na świecie nie widziałam? - Różne piękności i bogactwa widziałam... wszystko widziałam, wszystko słyszałam i wszystko wiem... Jaż calusienką młodość swoją we dworach pańskich przesłużyłam, a teraz już może i piętnaście lat będzie, jak o kiju ciągam się po szerokim świecie...

Franka żywo odwróciła się i plecami do ognia, a twarzą ku niej zwrócona z błyskiem oczu zawołała:

— We dworach służyłaś!... A ja myślałam, że ty taka sama prosta chłopka, jak tutaj wszystkie...

— Chłopka, to ja chłopka — trzęsąc głową prawiała baba — ale nie prosta! Z tutejszej wsi pochodzę, ale małą dziewczyną do dworu mnie wzięli i tam młode moje lata przebyłam. A kiedy w tym dworze ubyc już nie można było, do innych w służbę poszłam, aż ot będzie może piętnaście, jak do żebraczej torby przyszłam... Temuż to ja od razu i poznałam, kto ty taka... Inni nie poznali, a ja poznałam...

— A któż ja taka? — z wybuchem śmiechu zawołała Franka.

— Panienka!... Oj, panienka ty, delikatna, śliczna, jak ta królewna... Jak tylko on ciebie do Koźlukowej chaty przyprowadził, ja zaraz pomyślałam sobie: „Ot, Bożeż mój, Boże, chłop taki, prosty, a zachciało się jemu królewny.” Mnie nawet dziw bierze, że ty za takiego prostego chłopca poszłaś...

Z rozpromienionej twarzy Franki nagle stała się posępną.

— Czy ja wiem, jak to się stało? Widać, już takie przeznaczenie moje było. Sama nigdy nie spodziewałam się za chłopa wyjść i żyć pomiędzy chłopami. Z pięknej rodziny pochodzę... Dziadunio dwa domy własne miał, ojciec w kancelarii służył... a cioteczny brat adwokatem jest w wielkim mieście i bogaty, bogaty!

Przy żebracze usiadła i o wysokiej edukacji matki, o bogactwie ciotecznego brata, o tym, jak w mieście bawiła się i jakich kawalerów miała, opowiadać zaczęła. Baba z wyrazem uwielbienia głową trzęsła i okrzyki pełne zdziwienia wydawała. Po kwadransie Franka poskoczyła z ławki.

— Wiesz co, Marcelko, nastaw ty samowarek, herbatki sobie wypijem.

U Pawła, jak u Filipa, jak w kilku zresztą najporządniejszych chatach tej wioski, był blaszany samowarek i zawsze jakaś szczypta herbaty i trochę cukru w zapasie. Paweł nawet na prośbę żony zapas ten powiększył. Franka o jedzenie w ogóle mało dbała. Jadła byle co i bardzo niewiele; zdarzało się nawet, że przez dzień cały, szczególnie gdy była czymś zajęta albo wzruszoną, nic w usta nie brała. Ale bez herbaty żyć nie mogła i za cukierkami tęskniła, które w mieście, jak opowiadała Pawłowi, kupowała sobie zawsze albo od kawalerów otrzymywała. Innych podarunków nikt jej nie przynosił, ale cukierki przynosili, a ona je przyjmowała, bo panie nawet od panów zawsze cukierki przyjmują. Dziś właśnie, kiedy Paweł do miasteczka wyjeżdżał, zarzuciła mu ręce na szyję i poprosiła:

— Przywieź cukierków! mój mileńki, złoty, brylantowy, przywieź!

O suknie albo pozywienie inne niż to, które powszechnie we wsi jadano, nie prosiła go nigdy; o herbatę i cukierki poprosiła.

Tymczasem Marcela, spod opuchłych powiek radośnie oczami błysnąwszy, zwawo, bez pomocy nawet kija, po izbie chodząc, rozkaz jej spełniła. Na dworze deszcz padał; dwie kobiety, jedna w łańchmanach, druga w grubej chustce na plecach, przy małym oknie herbatę z zielonawych szklanek popijały trzaskami ją mieszając. Żebraczka przy tym pochłaniała dużo razowego chleba, którego Franka parę kęsów ledwie połknęła, i znać po niej było, że cieszyła się czegoś bardzo. Może odwiedziny te powiodły się jej lepiej, niż spodziewać się mogła, i pomyślność jakąś na przyszłość zapowiadały. W zamian w rozmowie z nią Franka stawała się posępną. Z dna przeszłości, o której rozpowiadała, podnosiły się jakieś męty i z siłą upajającego trunku uderzały jej do głowy. Krwiste rumieńce wybiły się na jej policzki, oczy nabiegły łzami.

— Ot, do czego przyszłam! chamką zrobiłam się i żyjąca do grobu wstąpiłam. Już nie ma dla mnie innego świata jak ta wioska i innego życia jak chamskie!

Ręce załamała i ocierała nimi mokre od łez oczy.

— Nu, h o d z i! nie płacz! co tam! — pocieszała stara. — Kiedy mąż dobry a miły, to i nie zginiesz... A czy miły?

I pochyliwszy się do jej ucha, z brzydkim uśmiechem o coś ją zapytała.

Franka zaśmiała się oczy odwracając.

— Oj, oj! — szepnęła — oj, oj, zdaje się, że mu od urodzenia dwudziestu lat jeszcze nie ma!

Wzajemnie do samego ucha szepcząc coś babie śmiała się z cicha i zębami białymi błyskała.

Tego wieczoru Paweł z miasteczka wróciwszy wyjął z kieszeni trochę owiniętych w papier, wpół roztopionych karmelków. Rok już może przeleżały one na straganie Żydówki i kilkanaście groszy kosztowały.

Ale Franka na gatunek przysmaku nie zważając z rąk mężowi wyrwała i z namiętą chciwością, głośno gryźć zaczęła. Gdy nasyciła się, kilka pozostałych karmelków do chaty Koźluków zaniosiła, gdzie jeden z nich przemocą w otwarte usta Daniłka wepchnęła, a inne oddała dzieciom.

Koźlukowie znajdowali się względem niej obojętnie; zadziwiła ona ich nieraz, lecz ani

nieprzyjaźni, ani szczególnej przyjaźni w nich nie budziła. Szkody im nie sprawiała żadnej, korzyści także, a Filip w polu i na promie, Ulana przy gospodarstwie i dzieciach tyle mieli roboty, że śledzenie jej, badanie, zastanawianie się nad nią wprost do głów im nie przychodziło. Brata była wola wziąć ją za żonę; jeżeli dobrą okaże się, jego będzie szczęście, jeżeli złą, jego bieda. Im co do tego? Jednak od czasu do czasu życzliwość jej okazywali rozmowy z nią zaczynając, do chaty swojej grzecznie zapraszając. W początku jesieni Filip ze szwagrowego świrna wyniósł krosna po pierwszej żonie Pawła pozostałe i w izbie je ustawił, a że były stare i zepsute, przez całą godzinę piłką i ćwieczkami je naprawiał. Ulana w niedzielę do miasteczka zjeżdżała, za pieniądze brata kupiła lnu i farbowanych nici, a zaraz nazajutrz kądziel na kołowrotku przyrządziła i krośna zasnuta nićmi. Aż zanosila się od śmiechu, aż rękawem koszuli oczy, z których śmiech łzy wyciskał, ocierać sobie musiała patrząc na niezgrabne i nieumiejętne ruchy, z jakimi Franka brała się do przędzenia i tkania. Jak żyła, nie widziała, aby kobieta nie umiała prząć i tkać; nigdy nawet na myśl jej nie przyszło, aby taka kobieta istnieć mogła. Polegała tedy od śmiechu, niemniej przecież pilnie i cierpliwie robót tych nauczała Frankę, która zrazu z zapałem rzuciła się ku nim, prząć nauczyła się prędko, ale kiedy do tkania przyszło, zniechęciła się i sposepniała.

— Ciężko! — sarknęła.

— Przywykniesz! — perswadowała Ulana. Bezustanne przytłaczanie nici przez uderzanie o nie przodem krosien i przydeptywanie stopami ich podnóży męczyło ją istotnie; po kwadransie tego zajęcia krople potu występowały jej na czoło. Najpewniej, tak jak przepowiadała Ulana, przywykłyby z czasem i coraz mniej doświadczałyby trudności, ale o przywykaniu do tego, co przykrość jej sprawiało, ani myślała. Jeżeli robota podobała się jej, to dobrze; jeżeli nie, to niech ją diabli wezmą! Po kilku próbach, przy których Ulana śmiać się już przestała, a ze znudzoną twarzą i zmarszczonym czołem patrzyła na nią, Franka zerwała się od krosien i ramionami trzepocąc krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! ręce bolą i nogi pomdlały! Na jakie lichy tkanie to mi potrzebne! Dość już napracowałam się i nahorowałam z ciężkiego musu, a teraz, kiedy musu nie ma, niech sobie diabeł nad tymi krośnami siły nadwiera! Ja nie będę!

— Jak sobie chcecie — obojętnie rzekła Ulana i głową na pożegnanie jej kiwnąwszy z izby wyszła.

Dnia tego, nad wieczór, po wodę idąc Ulana brata na stoku góry spotkała i z wiadrami na ramionach, zatrzymując się przed nim przemówiła:

— A Franka tkać nie chce!

— To niech sobie i nie tze! — obojętnie odpowiedział Paweł.

Ale Awdocia, która pomimo sześćdziesięciu swych lat wyręczając synową także spuszczała się z góry po wodę, krótkiej rozmowy brata i siostry wysłuchała tak ciekawie, że aż na bok przechyliła głowę, a potem wiadro na ziemi postawiła i Pawła po imieniu zawoławszy, gdy odwrócił się, z tajemniczą miną palcem kiwnęła, aby ku niej podszedł. Aż jej czarne oczki wśród rumianej twarzy błyszczały, tak zadowoloną była, że w czyjaś sprawę wtrącić się może.

— Pawluk! — z palcem do zwiędłej wargi przyłożonym zaczęła — ej, Pawluk, cościś ty żonce za wiele panować pozwalasz! Patrzaj, aby z tego panowania biedy jakiej nie było!

Już i wprzód to i owo o sposobie życia Franki od Marceli słyszała i długim jej spaniem, herbata, cukierkami bez granic zdziwioną i zgorszoną była.

Paweł poważnie odpowiedział:

— Nie biedujcie, kumo, już ja wiem, co robię. Z męki ja ją wyrwał i nie na to wyrwał, żeby znów w mękę pogrążyć, ale na to, żeby jej dobrze na tym świecie było. Jak człowiekowi na tym

świecie źle, to i on sam zły, a jak dobrze, to i on dobry. Czemu dobrym nie być, kiedy do żadnego gniewu ani grzechu przyczyny nie ma? Ot co!

Tak był pewnym tego, co mówił, jak tego, że słońce świeci, a woda płynie, ale Awdocia filozofii jego nie rozumiała wcale. Swoją za to miała.

— Ej, Pawluk — zaszepiała — patrzaj, żeby z tego panowania biedy jakiej nie było. Skąd ty ją wziął? Czy od b a ć k ó w wziął? Czy z chaty rodzonej? Jaka ona była, nim ty ją wziął? Nie bój się, ja wszystko wiem. Spojrzawszy tylko na nią, jaka ona była, poznałam. Kto nie poznał, a ja poznałam.

Wpół z triumfem, wpół z politowaniem mądrymi oczkami swymi mrugała i wspiąwszy się prawie do ucha Pawła tajemniczo zaszepiała:

— Patrzaj, żeby z tego panowania, co ty jej dajesz, znów jakie lichy nie przyczepiło się do niej! Na Pawle ostrzeżenie to, którego sens wybornie rozumiał, żadnego wrażenia nie uczyniło. Uśmiechnął się, ręką machnął i z zupełnym spokojem odpowiedział:

— Tego to już pewno nie będzie. Przysięgła.

Widać było, że zupełnej, nieograniczonej ufności przez ostatni wyraz w nim obudzonej nic na świecie zachwiać nie mogło. Widać było, że w mniemaniu jego, ktokolwiek przysięgł, uczynić musiał tak, jak przysięgł, i że aby inaczej być mogło, nigdy nie pomyślał.

Awdocia ramionami wzruszyła, wiadro podjęła i z niejaką trudnością, dość jednak rzeźko, z chropowatej góry znowu na dół schodzić zaczęła. Kilkanaście kroków uszedłszy za Pawłem prędko na górę wchodzącym obejrzała się i głową potrząsała.

— Durnyj! oj, durnyj! — zaszepiała.

U Koźluków częściej niż wprzód o France mówić zaczęto, bez żadnej nieprzyjaźni wprawdzie, ale tak, jak ludzie o wszelkiej osobliwości mówić zwykli. Swawolny Daniłko, który w jesieni i zimie mało roboty miał i wszystko, Co się działo we wsi, wypatrywał i podsłuchiwał, z chichotem opowiadał, jak Paweł żonkę mając sam ogień w piecu rozpala, strawę gotuje i krowy doi, a ona albo wyciągnąwszy się na pościeli leży, albo na ławie pół dnia z nim obejmuje się i całuje, albo różne skoki i śmiechy wyprawia. Filip za boki brał się od śmiechu, ale Ulanie przy opowiadaniach tych robiło się trochę markotno.

— Jemu z tego dobra nie będzie — do męża raz rzekła.

— Komu? — zapytał.

— A Pawlukowi.

I na dziedziniec wyszedłszy kury do chaty zwoływać zaczęła. Franka stała wtedy przy płocie ogród na dwie połowy dzielającym i gruszki jadła.

Pochodziły one z jedynego drzewa, które w ogrodzie przy samej chacie Pawia rosło. Dawniej Paweł sprzedawał je w miasteczku albo siostrze oddawał, teraz zostawił w chacie, bo Franka je lubiła. Może widok gruszek, które lat zeszłych stanowiły drogocenny przysmak dla jej dzieci, wzmógł niezadowolenie Ulany. O parę kroków przed płotem stanęła i do bratowej przemówiła:

— Czy tobie nie wstyd, że twój sam krowy doi? *toż* nie muzycka, ale kobiecka robota!

Jakkolwiek mówiła to głosem umiarkowanym i więcej żartobliwie niż gniewnie, na twarz Franki wytrysnął zwykły jej krwisty i szybko przemijający rumieniec.

— A tobie co do tego? — krzyknęła. — Nie wtykaj nosa tam, gdzie ciebie o to nie proszą. Ja waszych chamskich robót nigdy nie robiłam i robić nie będę. A d i e !

Od płotu odskoczyła, ale Ułana, zaczerwieniona także, kilka słów jeszcze za nią rzuciła:

— A ty od chamów nie łaj! Jakie ty masz prawo chamstwem ludziom oczy wypiekać, kiedy sama od chamki byłaś gorsza...

Znaczenie słów ostatnich Ułana czerpała z domysłów Awdoci i długich szeptów, które Marcela

po każdej u Franki bytności w ucho jej kładła.

Było to pomiędzy dwoma kobietami poróżnienie pierwsze i które minęło prędko, bo Ulana z bratem różnić się nie chciała, oprócz lubienia i to na względzie mając, że zawsze tam od niego jakieś kropelki dobra padać na nią mogły. Jeżeli już nie coś więcej, to choć obwarzanków dla dzieci z miasteczka przywiózł, jeden zagonik w swojej połowie ogrodu kartoflami lub konopiami usiać pozwolił, na zapłacenie podatku albo inną pilną potrzebę kilka groszy pożyczył. Filip zaś nie tylko o tych drobnych przysługach, ale i o ojcowskim garnku w chacie Pawiowej pod piecem zakopanym może pamiętał, bo dowiedziawszy się o kłótni żony z bratową, żonę wykrzyczał tak, jak mu się to nigdy jeszcze nie zdarzyło, i z Franką pogodzić się jej rozkazał. Ulanie łatwiej to przyszło, niżli spodziewać się mogła, bo Franka bez cienia zawziętości na pierwszą jej zaczepkę wesoło odpowiedziała i wieczorem do chaty Koźluków wpadłszy, a kilku sąsiadów i sąsiadek tam znalazłszy, takich im rzeczy naopowiadała, że od zdziwienia oczy wytrzeszczali i do samej północy gadaniu jej przysłuchiwali się jak cudownym bajkom. Przez całą zimę potem dość często zbierające się u Koźluków gromadki w podobny sposób zabawiała. Widok to był ciekawy. Izbę oświetloną płonącym w ogromnym piecowisku ogniem i na stole palącą się lampką naftową napełniali mężczyźni w siermięgach lub kozuchach i kobiety w granatowych sukiennych kaftanach. Pierwsi siecie wiąźali, kołki do płotów lub zęby do bron strugali, beczułki i wiadra naprawiali albo nic wcale nie robiąc fajki i papierosy palili. Kobiety na kołowrotkach przędły albo niemowlęta u piersi trzymały czy w rękach huśtały. Wszyscy siedzieli na zydlach i stołkach pod ścianami lub przed ogniem. France niewygodnie było na twardym i wąskim zydlu siedzieć, więc z nogami na stołku wyciągniętymi, a plecami o ścianę oparta, miała postawę osoby niedbale na szeslongu wyciągniętej. Pończoch na codzien nie nosiła, więc spod samodziiałowej spódnicy nagie jej nogi sterczały nad stołkiem obutymi w płytkie trzewiki stopami; kibić jej ścisłał, takiz jak i u innych, granatowy kaftan, a na głowie, tak jak i inne, miała perkalową chustkę kwiecistą, za uszami związaną. Jednak ubranie to miało na niej pozór przebrania.

Można by myśleć, że wybierała się pójść w nim na maskaradę lub inną jaką kostiumową zabawę. Krucze, kędzierzawe jej włosy ze wszech stron wymykały się spod kwiecistej chustki opadając na szyję, czoło i pierś ubraną w rzędy paciorek takich, jakich tu nikt nie nosił; przy uszach także połyskiwały świecące blaszki; ręce drobne i wobec wszystkich tu innych prawie białe, a zawsze bezczynne, poruszały się nieustannymi i niespokojnymi gestami; na twarzy przywiedłej i szczupłej miała zawsze albo żółtawą bladość, albo rumieńce ogniem buchające, jakie tu widywano tylko u ludzi, którzy w gorączkach leżeli. Gorączkowymi też snami wydawały się otaczającym jej opowiadania, tak przecież dla nich ciekawe, że z wieczernic odbywających się w Koźlukowej chacie wygnały zimy owej zapełniające je zwykle śpiewy i bajki. Cóż bowiem bajki, po większej części wszystkim tu od dzieciństwa znane, znaczyć mogły wobec opowiadań o teatralnych przedstawieniach, którym z najwyższego piętra, w ścisiku, upale, potokach światli, Franka często przypatrywała się niegdyś; o maskaradach pełnych przeróżnych przebrań i śmiesznych albo potwornych maszkar, w których też nieraz udział brała; o świetnych tańczących wieczorach, które w domach swoich dawnych państwa widywała: o tłumnych hulankach w zamiejskich ogrodach, z huśtawkami, karuzelami, diabelskimi młynami, przez mnóstwo razem kawalerów i panien odbywanych; o różnych głośnych zbrodniach, samobójstwach, romansach, kłótniach, śmiesznych lub przerażających wypadkach, kiedykolwiek i gdziekolwiek wydarzonych, a przez nią z niezmierną obfitością znanych i zapamiętanych, bo ich, jak wszelkich innych drażniących i podniecających wrażeń, od lat najwcześniejszych chciała być zaczęła.

Pośród słuchaczy jej znajdowali się tacy — kobiety szczególnie — którzy oprócz rodzinnej i

kilku zupełnie do niej podobnych wsi żadnych innych miejsc pod słońcem nie widzieli; inni do miasta, z którego pochodziła ona, nierzadko nawet jeździli, ale oprócz rynków i kościołów nic wcale w nim nie znali. Niektórzy, jak na przykład przystojny, śmiały i trochę już surdutowo siermięgę swą przekrajający Aleksy Miś, do znajomości świata niejaką pretensję roszcząc opowiadaniom Franki potwierdzającym wstrząsaniem głów wtórzyli, lecz w gruncie, co też i znać było po nich, tak samo jak i inni, bawili się nimi, gorszyli lub zdumiewali. W izbie niskiej i dusznej ze stłoczonych i prawie tuż przy sobie oddychających piersi, z ust, w gapiowatym zdziwieniu rozwartych lub okrążonych przez szydercze czy zadumane uśmiechy, wyrwały się okrzyki zadziwienia, zgorszenia, przerażenia, rozweselenia. Bożeż mój, Boże! toż bogactw wszelakich na świecie, jak tego śmiecia w izbie, kiedy przez cały tydzień jej nie zamieść! Toż tam ludzie dokazują, weselą się i grzeszą! Chyba oni nigdy nic nie robią, że im to wszystko do głowy przychodzi! Chyba oni Pana Boga nie lękają się i wstydu w oczach nie mają, kiedy takie rzeczy robić mogą! Człowiek i sto lat przeżyć mógłby, a w pracy i biedzie do głowy by mu nie przyszło, że są na świecie takie bogactwa, piękności, dziwy i grzechy! Oj, grzechy! Te szczególnie ludzi tych w oczy kłuły i w głowach im zamęt sprawiały. Nie dlatego, aby człowiek nigdy już Pana Boga nie obrażał i szczególnie upiwszy się siakim takim grzechem duszy nie obarczył. Ale zawszeż takie marnowanie darów boskich, rozpusty, kłótnie, zabijanie siebie i innych, o jakim ta opowiada, to już piekło, czyste piekło! Niektórzy tylko mieli w oczach wyraz chciwości i zachwycenia zdradzający, że świat ów, który zza żywych, obfitych, tłoczących się słów tej kobiety dostrzegali, wydawał się im rajem; większość miała na ustach zawieszony wyraz „piekło!”, a w piersi wespółniawistny, wespółniawisty śmiech. Czasem ręce niewiast z wrzecionami, a mężczyzn z toporkami, iglicami i heblami w dół opadały; z kątów izby w donośny i piskliwy głosik opowiadającej Franki, niby podmuchy wiatru, wpadały basowe westchnienia; Awdocia, mądre swe czarne oczki wśród twarzy do jesiennego jabłka podobnej szeroko wytrzeszczając, pomarszczoną, choć jeszcze rzeźwą rękę ku czołu podnosiła szepcząc:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

A szept jej głośny, od wzburzonych uczuć i myśli szepleniący i syczący zdawał się być szelestem uschłych liści na glinianą podłogę izby sypanych.

Jedna tylko żebraczka Marcela, u stołka, na którym Franka nogi swe wyciągała, na ziemi siedząca, ani dziwiła się, ani gorszyła, tylko bawiła się wybornie. W czerwonej smudze światła z ogniska na nią spływającej, ze swą czworokątną, ciężką postacią, wyglądała jak kupa łachmanów, z której ku opowiadającej wychylała się głowa łachmanem owinięta, z szerokim, rozkoszy pełnym uśmiechem ust bezzębnych wśród zoranej zmarszczkami twarzy. W oczkach jej spłowiatałych i przebiegłych zapalały się migotliwe światełka, nabrzmiące powieki potakująco mrugały; głos ochryply, do przesuwania piły po drzewie podobny, od czasu do czasu wymawiał:

— Ale! a toż! p r a u d a! wszystko p r a u d a!

Ona jedna to wszystko, o czym mówiła tamta, widziała, słyszała, doświadczała. One dwie były istotami innego rodzaju i świata rzuconymi w ten ród gruby, ciężki, w ten świat niczego nieświadomy, naiwny. Wyglądały wśród niego jak mistrzynie wiedzy. Tylko gdy starsza, prawie zgrzybiała i łaski ludzkiej potrzebująca, wiedzę swą rozlączać leniła się i często nie śmiała, młodsza, harda i wiecznie niespokojnym życiem wraca, czyniła to z uczuciem nieskończonej swej nad otaczającymi wyższości. Gdyby umiała, byłaby ją nazwała wyższością umysłową. Wyrażania tego przecież w głowie nie posiadając, pełną była pojęcia przez nie przedstawionego. Pochlebiało jej to niezmiernie i zwiększało w niej wzdarcę, którą dla tych ludzi uczuwała. Bawiła się też wybornie. Z wiecznicy wracając śmiechem głośnym i zanoszącym się chatę napełniała. — Ot, głupie chamy! ot, bydło! O takich zwykłych rzeczach im gadam, a oni gęby pootwierają i dziwią się, tak jakbym im Pana Boga

albo diabła pokazywała! Jak królowa między pastuchami, tak ja między nimi wyglądam! Ale to nic! Wesoło! Czasem mnie zdaje się, że na komedii jestem albo sama komedię odgrywam. No, ciemny lud! No, było! Przed każdym z miasta, choćby i najgłupszym, świnie im tylko paść!

I opowiadań jej w siostrzynej chacie, i wesołych drwin z chamskiej ciemnoty i głupoty Paweł słuchał w chmurnym milczeniu. Ze słyszenia wiedział o tym, że gdzieś na świecie są wielkie bogactwa i rozkosze, ale jako rzecz niedościgła i niepożądana nie obchodziły go one wcale. Nędzy nie zaznał i zbytków nie pokosztował nigdy; więc ani przeciw razowemu chlebowi goryczy, ani na słodkie przysmaki chciwości nie doświadczał. O tych ostatnich po prostu nie myślał nigdy, a kiedy teraz żona mu je pod postacią wspomnianych mieszkań wspaniałych, obiadów smacznych, strojów drogocennych, świateł olśniewających na myśl nasuwała, z wyobraźnią na te nieznane rozkosze całkiem tępą, z duszą zupełnie im obcą, ręką machał i z zamyślonym na ustach uśmiechem powtarzał chłopskie przysłowie:

— Ot, zwyczajnie! Boh z ludźmi robić ihrysko, odnoho wysoko, druho nisko!

Co innego wcale, gdy mowa była o hulankach, romansach, kłótniach, zbrodniach, o tym wszystkim, słowem, co on ogarniał jedną nazwą: grzech. To wszystko w ustach Franki sprawiało mu taką przykrość, że albo kręcił się na zydlu jak w bólach stękając, albo łokcie o kolana wsparłszy, a twarz w dłoniach zanurzywszy, w głębokiej medytacji kołysał się w strony obie. Przez zaciśnięte zęby z cicha wymawiał:

— P o h a n e życie! przekłete życie! żeby takiego życia ludzie nie znali! żeby ono wskrós ziemi poszło!

Czasem gdy tak medytował, dziwnych doświadczał wrażeń i złud wyobraźni. Słuchając opowiadania o tym, jak wesoło ludzie bawią się na zamiejskich karuzelach, huśtawkach, całonocnych tańcach i jakie na tych zabawach powstają pijatyki, bójki, choroby, romanse, nagle pod zamkniętymi swymi powiekami spostrzegał wodę błękitną, czystą, cichą, taką, jaką Niemen toczy w nieskazitelnej pogodę, a nad nią albo różany pas jutrzeńki, albo wełniste obłoki do stada białych owiec podobne, albo chóry jaskółek w kółko, w kółko zwijające się nad wodnymi liliami. Czasem ni stąd, ni zowąd gołębie nad uchem mu zagruchały lub jednostajnym, łagodnym szmerem zaśpiewały fale. Wtedy znad dłoni podnosił twarz zmartwioną, zbrudzoną, z niepokojem i tęsknotą na dnie błękitnych źrenic. Potem, gdy Franka, z nim razem do chaty wróciwszy, nad głupotą chamską od śmiechu polegała, nie sprzeczał się, wyrzutów jej nie czynił, a tylko do umilknięcia skłonić ją usiłował.

— Cichoż już, cicho! — mówił — wolałbym ja, żebyś ty nie pamiętała, że na świecie żyłaś, nim do tej chaty weszłaś. Oj! rozumu nikt nie nauczył, a głupstw tak powyuczali, że i zapomnieć ich nie możesz. Może Pan Bóg najwyższy da, że kiedykolwiek zapomnisz!

I ze spazmatycznie rozchichotaną tak samo postępował, jak gdy ją nagłe płacze porywały. Przy sobie ją sadzał, ramieniem obejmował, 'do piersi przyciskał i jak dziecię ją kołysząc, łagodnie, ojcowsko upominał:

— Cichoż już, cicho! cicho! H o d z i, dziecino, h o d z i!

Nie sprzeczał się, nie gniewał, nic jej nie wyrzucał, ale częstych wieczernic, wśród których ona królowała, znosić nie mógł, tym więcej nie mógł, że wydało mu się, iż ona do Aleksego Mikuły zalecać się zaczęła. Był to najprzystojniejszy i najrezolutniejszy mężczyzna we wsi, a choć od paru lat żonaty i z żoną dobrze żyjący, czasem jeszcze na żart i dla popisu z dziewczkami i młodymi mężatkami poigrać lubił. Z Franką wprawdzie żadnych zaczepiek nie szukał, owszem, żartował z niej sobie, w oczy jej mówią że jest już starą i że wcale nie potrzebuje popisywać się przed nim ze swoją miastową mądrością, bo on jeszcze i więcej o wszystkim wie niż ona. Ale jej wydawał się on najpodobniejszym jakoś do dawnych znajomych i przyjaciół; przy tym, jak zwykle, wypowiadając



wszystko, co jej na myśl przychodziło, głośno i bez wahania trekotała, że się jej jego butna postawa i szafirowe oczy bardzo podobają. Raz tedy, gdy się z nią przekomarzał, garść suszonych wisien w twarz mu rzuciła, a innym razem ze swego zaimprovizowanego szezlonga nagle zerwawszy się tuż przy nim usiadła i białymi zębami błyskając, a czarne kędziory całym lasem spod chustki wywijając w samą twarz mu zajrzała. Tego wieczora Paweł z chaty Koźluków wychodząc tak silnie rękę jej schwycił, że aż krzyknęła z bólu i prosić zaczęła, aby ją puścił. Lecz on mocniej jeszcze dłoń zacisnął i na piskliwe jej skargi ani na giętkie u boku jego zwijanie się nie zważając do chaty ją wprowadził, drzwi zamknął, lampkę zapalił i obydwie już jej ręce tak samo, jak wprzód, ścisnąwszy, tonem zapytania przemówił:

— Przysięgłaś?

Nigdy nie przypuszczała, aby oczy jego tak płomiennie pałać mogły, a stłumiony głos brzmieć tak groźnie. Pomimo bólu w ściskanej ręce uczuwanego zapatrzyła się w niego cicho i jak w tęczę.

— Przysięgłaś? — zapytał po raz drugi.

— No, to i co? — spróbowała zuchwale się postawić.

— Odpowiadaj... chuczej... chuczej... odpowiadaj! Przysięgłaś?

Teraz dwie sine żyły przerznęły mu pogodnie zwykle czoło, a oczy stały się czarne i czymś czarnym z głębi patrzyły. Ale ona zamiast bojaźni uczuła nagle odzycie swych dla niego zapalów, które przedtem już w niej zwolna ostygają zaczynały. Podobał się jej, okropnie podobał się znowu w tej zupełnie odmiennej niż zwykle postaci. Było to dla niej coś nowego i zaciekawiającego: jakaś siła, która ją podbijała, i namiętność, która warem po żyłach jej przebiegła. Z krzykiem miłości, z tłoczącymi się na ustach wyrazami pieszczoty na pierś mu opadła i do ust jego ustami się przykleiła. On, tak sarno jak wtedy, gdy w ciemnym borku przed mogilnym krzyżem po raz pierwszy w ramiona ją pochwycił, jak pijak do brzegu czary, do niej przylgnął. Po długiej dopiero chwili zapytał:

— A o grzechu nie pomyślała? Aleksego nie polubiła? ha?

— Niech tego chama diabli wezmą! tak mnie on w głowie jak przeszłoroczna zima! Ciebie, Pawełku, lubię, ty mój mileńki, drogieńki, złoty, srebrny, brylantowy!

Uspokoił się zupełnie; wiedział, że nie kłamała nigdy i nawet nic z tego, co myślała lub czuła, utaić nie była zdolną. Istotnie też i tym razem nie skłamała. Do przystojnego i od innych nieco światowszego mężczyzny czepiać się zaczynała z przyzwyczajenia, z chęci tryumfowania, z odrobiny pociągu, która wnet zagasła przy odnowionym zapale do Pawła. Na wieczernice przez czas jakiś wcale nawet nie chodziła i kilka razy sama zamiotła izbę i zgotowała obiad. Po wodę tylko chodzić i krowy doić za nic nie chciała; Paweł też ją do zajęć tych nie zwał i na odmowne jej odpowiedzi z pobłażliwym gestem mówił:

— Nu, nu, głupstwo! Niech sobie będzie po twojemu! byle tobie dobrze było i byle ty sama dobra była!

Zresztą, zaniósł raz do niej dość dziwną prośbę. Było to w niedzielę po powrocie Franki z kościoła. Do kościoła znajdującego się w pobliskim miasteczku jeździła ona najczęściej, jak tylko mogła, to z mężem, to z Filipem i Ulaną, to z którymkolwiek sąsiadem, na którego wóz wpraszała się umizgami i grzecznymi słowy. Choć malutkie, było to zawsze miasteczko, które ciągnęło ją ku sobie. W czasie nabożeństwa przypatrywać się mogła zebranim w kościele różnym ludziom, a potem na sklepiki z towarami popatrzeć, z czegoś pośmiać się, coś zabawnego albo osobliwego usłyszeć. Jadąc tam ubierała się w swoje miejskie odzienie, a do rąk brała książkę do nabożeństwa, wydętą od włożonych w nią biletów z powinszowaniami, które niegdyś na imieniny swe otrzymywała. Miejskie odzienie w nikim tu zachwycenia nie budziło, lecz na trzymaną w rękę książkę wielu spoglądało z

ciekawością i podziwem.

Na książkę tę spoglądając Ulana więcej uprzejmą niż zwykle stawiała się dla bratowej obok niej na wozie siedzącej; wzrok Filipa zatrzymując się też czasem na czarnych okładkach i złożonych brzeżkach książki stawał się zamyślonym i poważnym; Awdocia po raz pierwszy ją ujrawszy w pomarszczone ręce klasnęła i zawołała: „Ot, szczęśliwa! ot, łaskę swoją Pan Bóg najwyższy tobie okazał, że i z książki chwalić Jego możesz!” Aleksy nawet, gdy raz Frankę razem z żoną swoją wieźć miał do kościoła, na widok książki spokorniał trochę, żartować z Franki przestał i na znak uszanowania więcej nieco siana w to miejsce, które na wozie zająć miała, zgarnął. W nikim przecież ta książka takiego zajęcia i pociągu nie budziła jak w Pawle. Ilekroć brał ją w ręce, zawsze wprzód ze schyloną twarzą dmuchnął na nią ze stron obu, końcami palców starł z niej resztki nie spędzonego przez dmuchnięcie pyłu, a potem na ławie usiadłszy powoli, ostrożnie w różnych miejscach ją rozwierał po drukowanych kartkach wzrokiem wodząc i czasem błogo uśmiechając się, a czasem z milczącą żalością głową trzęsąc. Kwadransie niekiedy upływały mu na tej kontemplacji, którą zazwyczaj kończył głębokim westchnieniem i pełnym uszanowania złożeniem książki na miejscu w chacie najparadniejszym, to jest na olchowej, czerwonej szafie, pomiędzy lampką z wysokim kominkiem i samowarkiem z połyskującej blachy. Raz, kiedy Franka po powrocie z kościoła jak zwykle książkę swoją niedbale na stół rzuciwszy ze szczebiotem i śmiechem kręciła się po chacie, Paweł od książki wzroku nie odrywając przemówił:

— Franka! Wiesz co, Franka? Ja ciebie dawno już o jedną rzecz chciał prosić!

W wybornym dnia tego była humorze, bo dziś w miasteczku, kiedy kręciła się po rynku, jakiś pan w zgrabnym futerku — podobno pisarz z sąsiedniego dworu — wskazując ją drugiemu, powiedział: „Ot, szelma przystojna!” A ten drugi, starszy — podobno ekonom — głową kiwnął: „A niczego sobie fryga!” Krótka ta rozmowa, którą usłyszała, sprawiła jej wielką przyjemność. W dodatku, za dwanaście groszy, które jej od kupienia krup i soli zostały, kupiła sobie ze straganu karmelków, które teraz, na ławie jak kotka zwinięta, jak wiewiórka w zębach chrumstała. Usłyszawszy więc słowa męża uprzejmością i czułością wybuchnęła:

— Ja dla ciebie, Pawełku, wszyściutko na świecie zrobić gotowa!

— Nu, kiedy już taka dobra, to bądź łaskawa i naucz mię czytać.

Oślupiała zrazu ze zdziwienia, ale potem uczuła się bardzo dumną. *Co to znaczy z dobrej rodziny pochodzić!* Gdyby ze złej pochodziła, czytać by nie umiała. Dobrze! Czemuż nie? Wyuczy Pawła czytać. Oj, oj! wielkie rzeczy! W domach swoich dawnych państwa ona takie guwernantki widywała, co w głowie mniej rozumu miały niż ona w małym palcu, a jednak uczyły. Tylko, że do tego elementarza trzeba. Elementarz Paweł przy pierwszej sposobności w miasteczku miał kupić, a teraz z rozczzerwioną twarzą i rozbłyśniętymi oczami nalegał na nią, aby mu tymczasem na książce pokazała.

— Pokaż, Franka! bój się Boga, choć na książce tymczasem pokaż! Jaż tak długo tego szczęścia żądał!

Znowu zdziwiła się niezmiernie. Cóż to za takie szczęście: umieć czytać? Ale Paweł tłumaczyć jej zaczął, że niczego ludziom nie zazdrościł, tylko tego, jeżeli który umiał na książce w kościele Pana Boga pochwalić, a w chacie, jak jest czas, różne ciekawe historie sobie poczytać. Po świecie nigdy tułać się nie lubił, toteż i nic prawie nie wie, co dzieje się tam, za górami, za lasami, a wiedzieć chciałby. W książkach to wszystko napisane stoi, wie o tym, bo gdy z nieboszczykiem ojcem jeszcze po dworach przebywał, dużo książek widział i ludzi na nich czytających słyszał. Ekonom tam czasem żonę swojej na głos czytywał i ochmistrzyni, kiedy w dobrym humorze była, w niedziele czy święto jakie ojca jego do swego pokoju wołała i głośno z książeczek różnych czytała. Słyszał też czytające głośno panienki i pod ganek, na którym one siedziały, zakradłszy się słucał.

Często rozmyślał, jakby to nauczyć się, ale nie było jak i od kogo. W tej wsi dwaj ludzie tylko są tacy, co czytać umieją, ale do nauczenia kogoś ani czasu, ani ochoty nie mają. Teraz przecież on razem z żoną i to szczęście do swojej chaty wziął. Ona go nauczy i Boga lepiej chwalić, i z ciemności na światłość wychodzić, i może lepszym zrobić się, niż do tego czasu był, bo, słyszą, w książkach różne sposoby takie podają, przez które ludzka dusza, jak ta gołąbka, bielutką stać się może.

— Głupstwo dusza i głupstwo gołąbka! — zeskakując z ławy zawołała Franka — ale że w książkach ciekawe hi storie opisują, to ciekawe!

Ona sama lubiła czasem poczytać sobie, a u niektórych jej pań dużo książek było, więc je brała i czytywała, albo nocami w pościeli leżąc, albo w świąteczne dni z kimkolwiek ze swoich gości w garderobie lub kuchni. Jedną z tych przeczytanych historii teraz Pawłowi opowiadać zaczęła. Czytała ją — jak gdyby to wczoraj było, tak pamięta — z jednym lokajem, w którym kochała się podówczas. Był to romans jakiś pełen zdumiewających i okropnych przygód i wydarzeń. Figurowali w nim zbrojcy, trucidziele, zgubione kobiety, podrzutki, niezmiernie cnotliwe księżne i do najwyższego stopnia szlachetni hrabiowie. Franka opowiadała go dokładnie, z ognistą gestykulacją i mimiką, najszerzej i z największą lubością rozwodząc się nad romansami i zbrodniami. Aż jej oczy pały i drgały muskuły twarzy. Tyle ze swojej umiejętności czytania skorzystała. Ale Paweł, choć w części tej ślicznej — jak ją Franka nazywała — historii nie zrozumiał, a w części jej się przeląkł, wcale się do przedsięwzięcia swego nie zniechęcił. Zima była tęga; na rzece grubą warstwą lodu opancerzonej mało co robić było można. Czasu więc miał wiele i odtąd codziennie to w południowych, to w wieczornych godzinach do Franki przystawał, aby mu czytać pokazywała. Ona zrazu chętnie tę prośbę spełniała. Przy sosnowym stole starannie przez Pawła wytartym, przed małym oknem, za którym w ogrodzie wzdymały się puchy śniegowe i stała szronem okryta grusza, w surowym, bo niczym nie przyćmionym świetle białej zimy nad otwartą książką lub elementarzem oboje zasiadali. W chwilach tych ten wysoki, silny, przeszło czterdziestoletni człowiek w dziecko pokorne i lękliwe przemieniać się zdawał. Z zydła nad stołem tak pochylony, że na dwoje jakby złamany, w litery, które mu Franka końcem palca ukazywała, z takim wyężeniem oczy wlepiął, iż zdawać się mogło, że spod szeroko rozwartych powiek wyskoczą. W twarzy jego, bibuły prawie dotykającej, dziwne zachodziły zmiany: brwi podnosiły się wysoko, czoło w dwie grube zbiegało się zmarszczki, wykrzywiały się policzki i wydymały wargi. Kiedy już pierwsze zgłoski alfabetu rozpoznawać się nauczył i monotonie, powoli wymawiał: a, b, c..., oderwane dźwięki jego głosu podobnymi były do stękań z trudnością z piersi dobywanych. Z trudnością wielką rozróżniać mu przychodziło te drobne, czarne linie wzrokowi jego dotąd zupełnie nie znane; z powolnością niezmierną mózg jego rozpoczynał czynność dotąd zupełnie mu obcą.

— D... e... f... — stękał i wzdychał nie czując i nie wiedząc sam, że ręce pod stołem na kolanach złożone tak silnie łamał, iż stawy palców na całą izbę trzeszczały.

— G... h...

Nad następną literą siadywał długo w milczeniu, kurcząc się coraz bardziej, z wielkimi kroplami potu na zmarszczonym czole. Trudno mu było odróżnić ją od jednej z następujących. Na koniec z cicha, lękliwie wyszeptał:

— L...

Franka, która przy każdym utknięciu męża nad którą z liter niecierpliwie kręciła się na stołku, z krzykiem teraz zrywała się z siedzenia:

— Ot, dureń! L... l... l!... jakież to, kiedy kropka na wierzchu stoi! Ot, chamska głowa! Taki ty do czytania zdalny, jak wół do karety!

Na obelżywe jej wyrazy wcale uwagi nie zwracając, jedną palącą chęcią ogarnięty, pokorne spojrzenie ku niej wznosił.

— Nu, Franka, nie gniewaj się! cichoż już, cicho! już ja sobie przypomniał, że to i... z kropką na wierzchu... nu, siądź i jeszcze troszkę pokaż... cicho! cicho!

Za rękę ją ku stołkowi przyciągał i rozkrzyczaną pokornie uspakajał:

— Widzisz, Franka, ja do tego nieprzyzwyczajony... ale ty poczekaj troszkę... poczekaj... moja mileńka... niechaj przywyknę!...

Siadała znowu, ale już nadąsana, niechętna i za każdą cmyłkę coraz srożej go gromiła. On to znosił cierpliwie.

— Poczekaj, mileńka — powtarzał — poczekaj troszkę... niechaj przywykną!

Przywykał istotnie dość prędko i cały alfabet wybornie już umiejac raz wieczorem przy świetle naftowej lampki dość biegle już bąkał: b-a, ba, b-e, be, kiedy Franka, jak sprężyną podrzucona, ze stołka się zerwała i krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! Dość już tego! niech te czytanie diabli wezmą! Czy ja u ciebie za guwernantkę najęła się? Nuda mnie taka żre, że chyba jak pies wyć zaraz zacznę!

Na pościel jak długa upadła i z twarzą do sufitu obróconą, z rękami nad głową wyprężonymi poziewać zaczęła. Poziewanie to, przeciągłe i głośnie, istotnie do wycia podobnym było. Paweł zmartwioną twarz znad elementarza podniósłszy milcząc na nią popatrzał, głową kiwnął, ręką lekceważący gest uczynił.

— Ot, jeszcze do ciebie czasem złe przystępuje. Musi spać chcesz, kiedy tak drzesz gębę. Nu, i dobrze. Kiedy spać, to i spać!

Lampkę zgasił i po kilku minutach głęboko już usypiał. Ale jej wcale do snu nie było. W długie zimowe noce napadały ją trwogi i przerażenia, zarówno przez grobowe cisze, jak przez napełniające je niekiedy głosy obudzane. Gdyby choć jeden turkot kół, choć jedno gwizdnięcie nocnego stróża, choć jedno zatętnienie śpieszących się stóp ludzkich po zamarzłym chodniku ulicy, choć najblidszy odbłysek ulicznej latarni, choć najśłabsze echo muzyczki zabawie nocnej kędyś przygrywającej! Gdzie tam! Nie było tu nic, nic z tego, co ją niegdyś uspakajało i rozweselało, ilekroć rozmarzona, wzburzona lub chora usnąć nie mogła.

Tu w mroźne, spokojne noce panowały takie ogromne, rozległe cisze, z taką bezdenną, zda się, ciemnością czasem połączone, że jej się wydawało, jakby głęboko pod ziemią leżała. Niekiedy w tę ciszę i ciemność wpadało silne stuknięcie do wystrzału z pistoletu albo do uderzenia kamieniem o ścianę chaty podobne. Franka wyprostowana i z natężonym słuchem na pościeli siadała, a gdy stuknięcie powtarzało się, ramię śpiącego męża targać zaczynała. Z trudnością rozbudzonemu Pawłowi przerażonym szeptem mówiła, że do chaty ich dobierają się rozbójniki. On w to nie wierzył, bo odkąd żył na świecie, w tej wiosce żadnych rozbójników nie bywało; w ciszę i ciemność wsłuchiwał się przecież, a gdy stuknięcie powtórzyło się jeszcze, ze śmiechem żonie oznajmiał, że to z takim hukiem ściany chaty od mrozu pękają. Przekonała się z czasem, że tak było istotnie, ale nigdy z tymi nocnymi głosami oswoić się nie mogła.

Mróz jak lodowy olbrzym gniewnie i smutnie tułał się po wsi. To w jedną ścianę chaty, to w drugą, to daleko, to blisko uderzał; łuskaniem i cichymi trzaskami odzywał się dokoła małych okien; za oknami po płótkach ogrodu chodził i z oddalenia jeszcze słyhać było, jak dokoła chaty Koźlukowej błądził. Wprawdzie to tułanie się po wsi i wśród czarnych nocy lodowego olbrzyma zdarzało się nieczęsto, lecz i odwilże niemymi nie były. Mróz stukał, łuskał, trzeszczał, one zaś wzdychały, szeptały, szlochały. Wiatr wzdychał, u okapu chaty roztapiające się sople lodu cichym pluskiem płakały u ściany, stara grusza szeleściła i zaledwie dosłyszalne szepty rozbiegały się nad

topniejącym śniegiem po suchych badyłach ogrodu. France zdawało się wtedy, że słyszy dokoła chaty ciche zmywy zaczajonych złoczyńców albo westchnienia błędnych i udręczonych duchów. Przypominała sobie cmentarz pobliski i wszystkie historie o duchach i strachach, których znała mnóstwo. W ciemnej izbie rozlegał się szept głośny i przerażony:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego... Jezus, Maria i wszyscy święci pańscy, ratujcie!

Przy świetle dziennym, w humorze dobrym, gotowa zawsze ze śmiechem zawołać: „Głupstwo Pan Bóg! głupstwo dusza!”, w nocnych ciemnościach wierzyła w powracające z tamtego świata dusze i przyzywała na pomoc nie tylko Boga, ale i świętych, których imiona poznała ze znajdujących się w jej książce do nabożeństwa litanii.

Najgorzej jednak bywało, gdy po uśpionej wiosce rozhulały się wielkie zimowe wichry. Z pól szerokich, z głębokiej kotliny Niemna, spod utopionego w ciemnościach nieba przylatywały one, powstawały, spadały i nad szeregiem niskich, pod śniegowymi kołdrami śpiących dachów, dokoła ciemnych, śniegowymi wałami otoczonych ścian odbywały szalone orgie. Powietrze napełniało się wtedy kotłowaniem i wrzaskiem wszystkich głosów świata. Były to uganiające się z sobą olbrzymie kule czy kłęby, które w szalonym rozpędzie uderzały o siebie z trzaskiem piorunów lub hukami armatnich wystrzałów: grzmoty z bezustannym turkotem od krańca do krańca ziemi pędzące, przeraźliwe wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe biadania topiące się w groźnych szumach, łopoty mnóstwa skrzydeł połączone z trzaskami walących się gmachów. Wszystko to piekielnym hałasem i szałem napełniało ciemne przestworza, lecz ludzi usypiających pod szeregiem niskich dachów w śniegowe kołdry otulonych nie budziło wcale.

Więc pod wszystkimi tymi dachami spokojnie i bezpiecznie w srogich, lecz dobrze znanych ramionach natury usypiającymi jedna tylko istota siedziała na pościeli wyprostowana, ze wzrokiem w ciemność utkwionym, z wyprężonym słuchem, z oddechem zamierającym w piersi i z potem na czole. Teraz była pewną, że zaraz, zaraz roztworzą się na oścież trzeszczące i skrzypiące drzwi i okna chaty, a przez nie wleci cały tłum wściekłych szatanów i duchów, lub że wnet, wnet te szalejące wichry chatę obalą dach jej i ściany na nią zwałając. Znowu męża za ramiona targała:

— Chata zawali się! Paweł! Paweł! uciekajmy gdziekolwiek, chata zawali się!

Sennym i zadziwionym głosem zapytywał:

— Czemu?

— Posłuchaj! — odpowiadała.

Słuchał chwilę, a potem na drugi bok przewracając się mówił:

— Głupstwo! nie zawali się! czy to pierwszyna?

— Pawełku — prosiła wtedy — zapal lampę... mój drogieńki, złoty, brylantowy, zapal!

O nic długo prosić go nie potrzebowała. Wstając i zapalając lampkę zapytywał:

— Czemuż sama nie zapaliłaś?

— Aha! ja i oddychać bałam się, nie tylko co!

— Głupstwo! — powtarzał — przeżegnaj się i śpij!

Zaledwie to wymówił, usnął znowu, a ona, przez zapalone światło trochę uspokojona, nie kładła się jednak, lecz na pościeli siedząc, ze wzburzonymi włosami i nieoschłym jeszcze potem na czole, śpiącemu obok niej człowiekowi przypatrywać się zaczynała. Paweł sen miał twardy i cichy. Zdawać się mogło że łagodność i spokój jego natury przelewały się i w sen jego. Ale kiedy nieruchomy, z zaledwie dostrzegalnym oddechem i z zamkniętymi powiekami leżał, wydawał się znacznie starszym niż wtedy, gdy poruszał się i patrzył. Gibkość ruchów i przezroczyisty błękit oczu nadawały mu czasem pozór prawie młodzieńczy. Teraz zmarszczki, które miał na czole, stały się wydatniejszymi, a poważny układ warg całą twarz tę czynił surową. Franka z wlepionymi w niego

oczami przez zaciśnięte zęby wymawiała:

— Bałwan! znów zasnął!

Przy tym jaki on teraz brzydki. Wcale inaczej wyglądał, kiedy go po raz pierwszy w czóźnie na Niemnie ujrzała! Taki jej wtedy wydał się zgrabny i tak ładnie na nią patrzył! A teraz... Znowu przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Stary!

Dokoła chaty wiatr hulał, świstał, wył i turkotał, złe błyski przelatwały po czarnych źrenicach kobiety, która ze wzburzonymi włosami na pościeli siedząc przypatrywała się uśpionemu obok niej mężczyźnie.

Jednak kiedy o świcie budził się on i za ledwie zaczynającą usypiać ku sobie ją przyciągnął, jak rozpieszczona kotka poddawała się jego uściskom, pocałunkami go zjadała, miłosnymi szeptami upajała, a w kilka godzin potem ze śmiechem i szczebiotem z pościeli zeskoczywszy ochoczo związała się około rozpalania ognia i przyrządzania strawy.

Ale zdarzało się i coraz częściej zdarzać się zaczynało, że niedawno uśpionej nie budząc wcale Paweł wychodził z chaty, aby do przerąbki, w której wczoraj się był zapuścił, zajrzeć, albo gdy lód pękać już zaczął, na kry płynące popatrzeć, a z nich możność i kierunek najbliższych połowów wymiarkować. Zmysłowość podstawowym czynnikiem natury jego nie była i choć podniosła się w nim gwałtownie, tym gwałtowniej, że późno i po raz pierwszy, ustępowała teraz pod ociężałym nieco spokojem ciała i ducha, przed skłonnością i przyzwyczajeniem do długich, milczących zamyśleń i kontemplacji. Kiedy po pęknięciu lodów po raz pierwszy na brzegu rzeki stanął, całą może godzinę z brodą na dłoni opartą, nieruchomo przestał, oczami tylko po roztaczającym się przed nim widoku wodząc. Niebo miało już wtedy ciepły błękit nadchodzącej wiosny, a na nim wzbijało się znad boru samotne, bladawe, lecz już ciepłe słońce. Za rzeką płachty roztopiającego się śniegu białawy wśród ciemnej zieleni sosen, po których wierzchołkach z urywanym, radosnym krakaniem skakały z podlatywaniem wrony. Rzeka zaś wyglądała jak nieścigniony szlak płynącego srebra, okryty żeglującymi po nim taflami, pagórkami, domkami z kryształami. Gdzieś tam słychać było kipienie i warczenie wody, jeszcze pod grubą szybą lodu uwięzionej; lecz środkiem szerokim, to tłumnie i szybko, to samotnie i poważnie, płynęły te kryształowe twory, lśniące, przezrocyste, tu i ówdzie przez promień słońca pozłoczone albo barwami tęczy nalane i opasane. Było ich tak wiele, że wydawać się mogły fantastycznym i nieprzeliczonym ludem, w pośpiechu i milczeniu z jakichś nieznanymi i niesłychanymi stronami uciekającym. Za ledwie przepłynęły jedne, nadpływały inne i gdy tamte u jednego widzialnego końca rzeki zdawały się stłaczać w gród wieżami i dachami nastrzępiony, u drugiego końca takież gród rozdrabiał się na cząstki i nimi szlak płynącego srebra okrywał. Wszystko to odbywało się w wielkiej ciszy powietrza, którego chłody podszywało słabe i chwiejne ciepło, a napełniała słaba także, lecz stała woń już odmarzłej i pod śniegowymi roztopami zaczynającej swobodnie oddychać ziemi.

Co roku Paweł widok ten miewał przed sobą i co roku witał go przyjaznym uśmiechem i radosnym błyskiem oczu. Nie tyle było w tym zachwycenia pięknnością natury obudzanego, ile przyjemności ze spotkania się z czymś dobrze i dawno znanym płynącej. Można by mniemać, że dla przyrody uczuwał on to potężne przywiązanie, z którym niemowlę imienia matki wymówić nie umiejące rękami i ustami czepia się jej piersi, które może ślimak do swego wapiennego domku i robak do swojej rodzinnej grudki uczuwa. Jednak oprócz tej serdecznej przyjaźni z naturą, doświadczał on na widok jej zjawisk rozkoszy i zachwyty. Kiedy z góry zstępując, po raz pierwszy tej wiosny płynące kry zobaczył, jak wryty stanął i taki okrzyk z rozwartych ust wydał, jakby je zobaczył po raz pierwszy w życiu. Potem przypatrywał się im z brzegu całą godzinę tak pilnie i bacznie, jakby je

liczył. Za tymi, które miały osobliwe kształty, dłużej niż za innymi wzrokiem wiódł; na widok jednej, do kapliczki ze szkła podobnej i tęczowymi błyskami u szczytu połyskującej, głową zakołysał i językiem o podniebienie uderzył.

— Ot, śliczna!

Stukiem siekiery z tej kontemplacji obudzony, obejrzał się i zobaczył Filipa, który prom swój naprawiać i do puszczenia go na rzekę przyspasabiać zaczął. W robocie tej trudność znać jakąś spotkał, bo do szwagra zawołał:

— Pamaży dziewier! zmiłujsia, pamaży!

Paweł drugą siekierę, dla Daniłka przygotowaną, z ziemi podjął i pilnie, choć z powolnymi ruchami, ogromne gwoździe w grube deski wbijać począł. Tak obydwaj w cichym, porannym powietrzu siekierami gorliwie stukali, aż i Ulana z dwoma wiadrami po wodę zesła, i inne kobiety z wiadrami też albo dzbankami ukazały się na brzegu, a kilku mężczyzn tu i ówdzie zaczęło ściągać z góry łodzie i czółna, które już wkrótce potrzebnymi być miały, i albo siekierami rozluźnione ich deski zbijać, albo poczynione w nich otwory smołą zalewać. Brzeg zawrzał życiem, robotą, zamaszystymi ruchami ramion, głośnymi rozmowami. Przed rozpoczęciem zajęcia wszyscy choć przez chwilę na płynące kry patrzali, głowami kiwali, palcami sobie wzajem największe i najdziwniejsze z nich, ukazywali. Kobiety, z głośnymi piskami w ledwie odmarzłą wodę bose stopy pogrążając, odważnie przecież i pośpiesznie napełniały nią wiadra i dzbany. Kilku chłopców, pod przewodnictwem swawolnego Daniłka, na krę najbliżej brzegu płynącą dostawszy się, z krzykami tryumfu i trwogi na przemian po ruchomej tafli lodu ślizgać się próbowali; Filip, podniósłszy się znad roboty, donośnie młodszego brata za swawolę i próżniactwo gromił, a Paweł także na chwilę robotę przerywając kilku najbliżej znajdującym się ludziom przepowiadał, że wiosna w tym roku rychłą i ciepłą będzie; już on to według zapachu ziemi i pory, w której kry płynąć zaczęły, miarkuje. Temu gwarowi na jednym brzegu powstałemu odpowiadał na drugim gwar wron, które rozkrakały się jak opętane i czarnymi stadami nad borem latały, a na szczycie góry od końca do końca wsi płynąć zaczęły stłumione ścianami obór ryki krów i beczenia owiec. Koguty też tam piały i psy szczekały w zawody ze stukającymi u dołu siekierami, budząc w dalekich głębiach boru przewlekłe echa.

Franka w tej porze skrzyknięciem otwierających się drzwi obudzona rozczochraną głowę od poduszki odrywała i zaspanym wzrokiem spostrzegając naprzód kij sękaty o podłogę izby ze stukiem uderzający, a potem u samego progu przysiadającą na ziemi kupę łachmanów.

— Niech będzie pochwalony... — ożywał się głos do pociągania piły po drzewie podobny.

Franka leniwie wyciągając się na pościeli mówiła:

— Zmiłuj się, Marcelka, ogień rozpal! niech ja sobie jeszcze troszkę poleżę!

Z żebraczki tej, za misę strawy, niekiedy szklankę herbaty albo kawał słoniny i garść mąki, sługę sobie uczyniła. Była też ona jej powiernicą i ze wszystkich mieszkańek wsi jedyną, której towarzystwo lubiła i której nigdy nie nazywała chamką. Wzajemnie zwierzały się przed sobą. U progu na ziemi siedząc albo na ławie z zielonawej szklanki mętą herbatę popijając Marcela od dawna już życie swoje France opowiedziała. Wypadkiem, wśród wiejskich kobiet zupełnie wyjątkowym, nigdy zamężną nie była, całą młodość po dworach przetulała się, to ciężko horując, to hulając sobie i panując, jak zdarzyło się, jak dola zrządziła. Był bowiem taki czas, w którym i ona panowała i szczęśliwą była, w pięknych sukniach chodziła, tyle tylko pracowała, ile sama chciała. Pan był młody i jak swoją duszę ją lubił. Nie zenił się z nią, bo chłopką była, ale lubił i byłby może nigdy lubić nie przestał, byłby może kiedykolwiek i ożenił się, gdyby majątku nie stracił i w dalekie strony do wielkiego miasta nie wyjechał. Gdzież mu już było, kiedy i sam był biedny, ją z sobą do wielkiego miasta brać? Pojechał i zapomniał. Ona także zapomniała była i różne potem szczęścia i

nieszczęścia ją spotykały, ale kiedy już ze wszystkim postarzała i na żebractwo zesłała, coraz częściej sobie to pierwsze swoje szczęście przypomina, i jaką była wtedy i jaki on był, i co w te dawne, dawne lata widziała i doświadczyła. Oj, cudności i dziwy wszelakie ona wtedy widziała i rozkoszy wszelakich doświadczyła; o nich też, o zabawach i przysmakach pańskich, o pokojach pięknych, o muzyczkach wesołych, na przemian wzdychając, to chichocząc, głową żałośnie trząsąc, to w samo ucho słuchaczki coś szepcząc, France rozpowiadała. Franka zaś rozwartymi usty, zza których białe zęby błyskały, i rozbłysłymi od współczucia i ciekawości oczami zdawała się pić i pochłaniać te zwierzenia, które w jej własnej pamięci rój wspomnień budziły. Z kolei więc przypominała sobie i swoją szybką, gorączkową mową przed Marcelą malowała lata swej pierwszej młodości i napełniające je miłosne albo wesołe wrażenia. Smutnie, gorzko zamyślały się potem obie, Franka głośno wyrzekała:

— Oj, czemu mnie całe życie tak samo nie przeszło, jak wtedy przechodziło! Czemu ja teraz taka nieszczęśliwa, że i nadziei tej mieć nie mogę, aby ono kiedykolwiek jeszcze do mnie powróciło!

A stara żebraczka, która imię nadziei od dawna już wymawiać zapomniała, z rękami na sękatym kiju splecionymi, w ziemię patrząc wzdychała:

— Oj, chciałabym ja przynajmniej wiedzieć, czy ten mój gołąbek mileńki po świecie jeszcze nóżkami swymi chodzi? Czy główka jego spokojna i szczęśliwa? Czy robaki pod ziemią oczek mu nie wyjedli?

Czasem gdy tak wzdychała i zawodziła, łzy wyciekały spod jej opuchłych powiek i po kredowych, pomarszczonych policzkach jak mętne krople ciekły.

Raz, w chwili takiego rozczenia, powiedziała France, że dwoje dzieci miała: syna, który zaledwie dorósłszy umarł, i córkę, która żyje, ale głupowata, niezdarna, po najpodlejszych służbach chodzi i jej w niczym pomocną być nie może. Powiedziała to bez wahania, bez zawstydzenia, ot tak, jako rzecz zupełnie prostą i która w tej chwili na pamięć jej przyszła. Ale wnet przypomniała sobie także, ile biedy, pracy, kłopotów z dziećmi tymi miała, jak jej dla wyżywienia ich i przyodziania ręce od pracy mdały, jak musiała i za nich, i za siebie wysługiwać się ludziom i jak za to wszystko na starość nic jej oprócz żebractwa nie pozostało. Brwi siwe nasepiła, źrenice jej zza powiek opuchłych i czerwonych srogie błyski ciskały.

— K a b im dobra na tym i na tamym świecie nie było! K a b i c h p a r a l u s z n a r u s z y ł! K a b i m k o ś c i p o k r u c i ł o! — po chłopsku złorzeczyła dachom, pod którymi kochała, weseliła się, pracowała, cierpiała i spod których w ostatecznym wyniku nic nie wyniosła oprócz samotnej, żebraczki, okrutnej starości.

Frankę też porywały gorzkie urazy i gniewy. Zrywając się ze stołka, z żywymi gestami szczupłych ramion, przekleństwom i skargom żebraczki wtórzyć zaczynała:

— A jaż co zyskała u nich! Figa, rożek i pierożek zostawały mi zawsze z każdej tej miłości i z każdej tej służby! Kiedy najwięcej lubiłam, lubić przestawali! Kiedy chorowałam, do szpitalu mię rzucali! Kiedy za mąż szłam, trzy dziurawe koszule miałam! Oj, świat! oj, ludzie! Żeby taki świat pioruny spaliły! Żeby tacy ludzie wskrós ziemi przewalili się!

Na sferę świata, w której spędziły młodość i z której uniosły nagie ciała i puste dusze, z serc i ust wyrzucały namiętne przekleństwa, ale za kwadrans, za godzinę, najdalej nazajutrz, znowu o powabach jej, uciechach i zagnanych wśród niej wzruszeniach i rozkoszach wspominały z zachwytem, tęsknotą i żalem.

Raz o szarej godzinie Marcela u progu izby na ziemi siedząc po zjedzeniu kawałka chleba i sera w długie popadła milczenie. Tylko co powiedziała France, że do miasta jutro pójdzie, aby przez nadchodzący wielkanocny tydzień trochę groszy u dobrych ludzi nazbierać, jest to bowiem pora, w



której ludzie najwięcej żebrakom dają. Franka aż zatrzepotała cała o wycieczce Marceli do miasta usłyszawszy. Ona by także tam poleciała, na skrzydłach by poleciała, aby domy i ulice, przyjaciół i przyjaciółki zobaczyć, choć raz po dawnemu poweselić się i pohulać. Ale gdzie jej tam teraz o takim szczęściu myśleć. Już za nią klamka zapadła, już ona sama siebie w grobie zagrzebała. Siedzieć jej teraz tylko w tej chacie, wiatrów wiejących słuchać i na chamów patrzeć! Ot, co ona z sobą zrobiła... Długo mówiła w ten sposób, ale od Marceli odpowiedzi żadnej nie otrzymując, w kącie izby na ławie skurczona w ponure milczenie zapadła. Cisza i zmrok napełniały izbę. Ze wsi dochodziły odgłosy do monotonnego szmeru podobne; na przeciwnym brzegu rzeki głos męski, donośny, każdą zgłoskę przewlekłe jakby wyśpiewując wołał:

— *Po-rom! po-rom!*

A wnet potem dało się słyszeć szybkie zbieganie z góry Filipa i Daniłka. Na świecie wiosna roztapiała resztki chłodu, pachniała odżywiającymi igłami sosen, zieleniała młodą trawą. Na dworze bawiące się dzieci Koźluków u bliskiego płota wybuchały czasem płaczem lub śmiechem.

Dwie kobiety w mrocznej izbie z dala od siebie siedząc milczały i po długiej dopiero chwili z szarzejacej u drzwi kupy łachmanów wydobyło się coś na kształt śpiewu:

*Powiej, wietre, powiej, wietre, z zielonoho haju,  
Powiernisia nasz panoczek z dalekoho kraju!  
Jak ja maju powiewaci, kali haj wysoki,  
Jak ja maju powiernućsia, kali kraj daloki!*

Dziwny to był śpiew: basowy, ochryply, dygocący, do wywodzenia tonów sił nie mający, jednak pełen żalości i skargi. Wnet też po prześpiewaniu jednej strofy pieśni Marcela wzdychać zaczęła tak głośno, że to wzdychanie, jak przedtem śpiew, całą, coraz ciemniejszą, izbę napełniły.

— Och, och, och! Och, och, och!

Ale wkrótce wzdychanie to zastąpił głośny świszczący szept:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

W szepcie tym słyhać było skruchę, pokorę, szczere i błagalne wynoszenie się sieroczej i znękaney duszy ku niebieskiemu Ojcu. Odmówiła cały pacierz, przeżegnała się znowu i wnet potem innym już zupełnie tonem przemówiła:

— Aaa! a jaż tobie nowinę powiedzieć zapomniałam! Głośno i przeciągle poziewając Franka zapytała:

— Jakaż to nowina!

— Już jakieś państwo z miasta pałac na lato najęli! Franka wiedziała, że chłopci tę willę, w której zeszłego lata parę miesięcy spędziła i z której wziął ją Paweł, pałacem nazywają. Z ławy poskoczyła, w ręce klasnęła.

— Już najęli! a, moją ty mileńka, czemuż ty mnie pierwej tego nie mówiła? Ot, ciekawość, kto to taki ci państwo? może znajomi? może kogo znajomego z sobą przywiozą? Jak tylko przyjadą, polecę dowiedzieć się i popatrzeć! Nie wiesz czasem, Marcelka, czy bogaci, czy młodzi, czy dużo służby trzymają?

Dzień jasny zbliżał się do końca, powietrze chłodne i nieruchome napełniał zmrok przedwczesny, zaprawiony sinawą barwą, od ciężkich, ciemnych, niskich kłębow chmur spływającą. Kłęby te, ogromne i mniejsze, jakby roztopionym ołowiem nalane, ciężko, leniwie, bardzo powoli przewalały się po gdzieniegdzie widzialnej, brudnej białości obłoków, a u zachodniej strony widnokregu stawały jedną grubą, wysoką ścianą, po której sinawych zwojach płynęły plamy brudnego granatu i smołowej prawie czarności.

W tym przedwczesnym, smutnym zmroku, w powietrzu chłodnym, nieruchomym, jakby zamartym, do dźwięków, woni, nawet oddechów wiatru pozbawionym, szereg niskich domostw, u szczytu nadrzecznej góry wyciągnięty, stał cicho, nieruchomo, jakby sennie. Kędyś tam, na szerokich polach, gnijącym ścierniskiem usłanych i uschłymi łodygami roślin nastrzępionych, ostatni w roku i dniu oracze zatapiali jeszcze lemieszce w pociemniałej od deszczów ziemi i przewlekłymi wołaniami zachęcali zmęczone zwierzęta do przeciągnięcia pługów po ostatniej jeszcze nie zoranej bruździe. Ale na ulicy i podwórkach wsi ludzi widać nie było. Wszystkie na zewnątrz chat roboty pokończonymi zostały, ogrody stały pustką, żadna gałąź nie poruszała się na żadnym z drzew, ogołoconych z liści i na granatowoczarnym tle nieba rysujących fantastycznie koronkowe wzory. Tu i ówdzie nisko nad ziemią okna zapalały się jak złotawe lub czerwone ogniki, a wyżej z kominów wypływały dymy, lecz zamiast wstęgami rozwijać się ku górze — smutnie i ciężko takimiż kłębami, jak te, które wisały pod niebem, staczały się ku ziemi.

Wśród tego zmroku i tej nieruchomości rzeczy i ludzi Paweł stał tak przed drzwiami swojej chaty w postawie słupa wkopanego w ziemię. W rękę trzymał krótką fajkę i bezwiednie podnosił ją czasem do ust, ale za każdym razem ręka jego ciężko w dół opadała, a z fajki nie wydobywało się ani trochę dymu, bo od dawna już ona zagasła. Spod daszku czapki nisko na czoło zsuniętej wyrazu i kierunku jego spojrzenia dostrzec nie było można, ale po ustach i dolnej części ściągłych policzków przebiegały wciąż nagłe i krótkie drgania, jakby od wewnętrznych niemych łkań czy bólów pochodzące. Czasem drgania te wykrzywiały mu usta, tak jak to bywa u dzieci, które wzbierający w nich płacz powstrzymują, lub wyrwały z nich ciche, przeciągłe okrzyki bezgranicznego zdziwienia. Osłupiały, jakby w ziemię wkopany i wszelkiego ruchu pozbawiony, Paweł wymawiał czasem:

— Aaaaa!

I znowu milcząc spod daszka czapki kędyś daleko na pola za ostatnimi płotkami wsi leżące czy na wijącą się wśród nich i daleko uciekającą drogę spoglądał.

Za Niemnem ozwało się i w głębokiej ciszy przeciągłe, posępnie popłynęło wołanie:

— Prooom! Prooom!

Drzwi Koźlukowej chaty ze stukiem otworzyły się i zamknęły, dwóch ludzi przebiegło wąskie podwórko i dwie pary męskich stóp zatętniło na stoku góry. Za Niemnem parę razy ozwało się jeszcze wołanie:

— Prooom! Prooom!

I umilkło, bo pokład z desek do dwóch dużych łodzi przytwierdzony szybko już mknąć zaczynał ku piaszczystemu brzegowi, na którym mętnie ciemniały zarysy parokoanej bryczki. Pod ciemnymi, niskimi chmurami, na ciemnej wodzie toczącej się zwolna i ciężko prom i prowadzący go ludzie posiadali pozór widmowy. Rytmicznie, cicho, bez najlżejszego plusku i szelestu Filip i Daniłko odginali w tył wysokie swe postacie i znowu je prostowali; rysy i odzież ich zmrok zacierał, tak że wydawali się czarnymi z czarnym promem zrosniętymi liniami, a długie szosty od rąk ich ku wodzie rysowały suche, czarne, ukośne linie. Wtedy dopiero, gdy prom całą szerokość rzeki przepłynął, na

przeciwnie, przegłębłemu brzegu ozwały się niewyraźne, bo przestrzenią zgłuszone rozmowy.

Wtedy też Paweł przed drzwiami swojej chaty stojący przeciągle d cicho wymówił:

— Jezuz mój! Jezu! Jezu!

Nie wiadomo było, czy wołanie o prom słyszał lub czy dźwięk jakikolwiek mógłby mu w tej chwili przedrzeć się do świadomości i na świat zewnętrzny wydobyć duszę, pogrążoną w jakiejś głębokiej topieli. Tylko ciężkim, powolnym ruchem ręki wyżej nieco na czole czapkę podniósł i wtedy dopiero dojrzeć było można, że na drogę po polu wijącą się i aż pod daleki ciemny skłon chmur uciekającą patrzył. Dlatego może czapkę wyżej podniósł, aby niewyraźny wśród ogólnej szarzyzny szlak jej lepiej móc widzieć, ale wnet znowu niżej, aż na same prawie brwi ją nasunął, dolna część jego twarzy zadrgała i wykrzywiła się, z ust wyszedł ten sam, co wprzód, szept:

— Jezuz mój! Jezu! Jezu!

Od rzeki na górę powoli i z przytłumionym przez wilgoć turkotem wjeżdżała parokonna bryczka; w tejże chwili zza węgła Koźlukowej chaty wyszedł Filip. Dla pośpiechu widać, naokoło płotka rozdzielającego ogród nie obszedł, lecz przestąpiwszy go z łatwością puste zagony kilku szerokimi krokami przebył i przed Pawłem stanął.

— Dziewder! — przemówił — nie gniewaj się na nas, bądź łaskaw, ale my teraz uradnika przez rzekę przewozili i wszystko jemu powiedzieli.

Z trudnością widoczną głos z piersi dobywając Paweł zapytał:

— A cóż wy takiego jemu powiedzieli?

Filip głowę trochę pochylił i rękę do włosów podniósł. Zmieszanym wydawał się i niespokojnym.

— A że Franka gdzieś podziała się i już tydzień, jak jej w chacie nie ma... — z cicha odpowiedział.

Paweł głowę podniósł i spod daszka czapki oczy mu błysnęły ostro, popędliwie.

— Czort was za języki ciągnął! — ze śpiesznym oddechem przemówił.

— Ja by to może i nie gadał... co mnie do tego? — usprawiedliwiał się Filip — ale Daniłko zaczął: tak i tak, panie uradniku, tak i tak... jak ten mówił... uciekła!

Teraz parokonna bryczka zza Koźlukowej chaty wyjechała i przed zamkniętymi wrotami podwórka stanęła. Na bryczce siedzący człowiek, w płaszczu z mętnie połyskującymi guzikami, głosem, w którym czuć było drwiący uśmiech, zawołał:

— Kobycy, ej, Kobycy!

Paweł nie śpiesząc się fajkę na przyzbie położył i ku bryczce poszedł. Filip i Daniłko we wrotach stanęli: Ulana z dzieckiem na ręku przed próg chaty wyszła. Człowiek na bryczce siedzący przemówił:

— A co, Kobycy? żonka tobie, słyszę, przepadła... Uciekła czy co? A może ją rozbójniki gdzie zabili? albo utopiła się? ha? Czemuż policji znać nie dał? Może by dobrze poszukawszy i znaleźli. Czy tobie jej nie szkoda? ha? Taka ładna kobietka przepadła, a on nic! Wstydziliby się... cha, cha, cha, cha!

Śmiał się, a trzy osoby przed chatą stojące z widocznym wytężeniem ciekawości odpowiedzi Pawła oczekiwały. Może spodziewały się, że przekleństwem na tę zaginioną on wybuchnie albo policjanta błagać zacznie, aby wyszukano ją, choćby spod ziemi wykopano, a do niego na karę i pomstę przyprowadzono. Ale Paweł u bryczki stojąc milczał dopóty, dopóki u r a d n i k śmiać się nie przestał; potem zaś poważnie, spokojnie przemówił:

— Ona nie uciekła, nie utopiła się i nijakie rozbójnika jej nie zabili. Do rodziny swojej poszła...

— Ehe! — cienkim i przekornym głosem zagadał we wrotach Daniłko — do rodziny poszła... nie

wiadomo tylko, kiedy powróci!

Filip syknął na brata, aby milczał, Paweł zaś na policjanta patrząc mówił dalej:

— Policji ja nie oznajmiał i oznajmiać nie będę, bo tu nijakiej policji nie potrzeba... ja dla niej policja...

Podniósł trochę głowę, w głosie jego zabrzmiały gniewne tony.

— Ot, jaki hardy! phi! — drwiąco syknął urzędnik i z niedowierzaniem zapytał:

— To ty jej, znaczy, pozwolenie dał? ha?

— Dałem! — bez chwili wahania odrzekł Paweł.

Daniłko w obie garście usta schował i śmiechem parsknął.

— No, kiedy tak, to i nie ma czego mnie tu robić! Wio! ruszaj!

Bryczka potoczyła się i po ulicy wsi głucho dudniała; Paweł ku trojgu ludziom za nim stojącym zwrócił się; oczy mu spod czapki jak świece gorzały.

— A wy języki mocno w gębach trzymajcie! — z gwałtownym ruchem ramienia zawołał — bo i ja, choć spokojny, gniew swój pokazać mogę... Co wam do tego, że ona poszła i kiedy powróci: prędko czy nieprędko? Jeżeli ona co złego zrobiła, to mnie zrobiła, nie wam... Ot! Ale ona nic złego nie zrobiła... Do rodziny poszła, z moim pozwoleniem poszła! Ot wam wiadomość. Stulcież gęby i żebym ja już nigdy waszego gadania o niej nie słyszał...

— Oj, Pauluczku! — żałośnie zajęczała Ulana — musi ty już nas ze wszystkim nie lubisz, kiedy nami tak poniewierasz... a wszystko — ciszej dodała — przez tę szelmę, łajdaczkę...

Żałosny głos siostry, którą na rękę swym wyhodował i jak ojciec z rodzonej chaty wyprawił, trochę go ułagodził.

— Nie poniewieram ja wami — spokojniej odpowiedział — a tylko proszę i każę, abyście nie robili tego, co mnie niemiłe. Ja wam nigdy tego nie robił, nie róbcieź i mnie... A ona do rodziny poszła, z moim pozwoleniem poszła i czy prędko wróci, czy nieprędko, to już mnie bardzo dobrze wiadomo. Ot wam wiadomość. Pamiętajcież.

Odszedł, płot w najbliższym miejscu przestąpił i znowu przed swoją chatą stanął, plecami o ścianę oparł się i ciężko, spiesźnie, jak człowiek bardzo zmęczony, dyszał.

Czapkę aż do połowy czoła podniósł i na drogę zaledwie już dostrzegalnym białawym szlakiem ciemne pole przerzynającą patrzył. Kozłukowie zniknęli we wnętrzu swojej chaty, której dwa małe okna pozłacał blask płomienia. Chata Pawła stała za jego plecami ciemna, zamknięta, milcząca i milczenie razem ze zwiększającym się coraz zmrokiem zapanowało znowu od nieba do ziemi, a przerwał je dopiero powiew wiatru, który przed samym zapadnięciem nocnej ciemności nie wiedzieć skąd się zerwał, po badyłach ogrodu zaszeleścił i na borek sosnowy, krzyżami i mogiłami napełniony, poleciał. Sosny zatrzęsły gałęzmi i przeciągle zaszumiały; drobna, deszczowa mgła spuściła się od chmur, które w coraz większej ciemności zlewały się w jedną czarną, nisko wiszącą oponę. Dla mieszkańców wsi zaczęła się noc jesienna, ciemna, długa, nierozweselona jeszcze wieczornicami, które w późniejszej dopiero porze roku rozpocząć się miały. Toteż oprócz psów, których drobne postacie pod ścianami i płotkami czasem przebiegały, żywa dusza nie ukazywała się na zewnątrz chat, wewnątrz przecieź blaskami ognisk i rodzinnymi gwarami napełnionych.

W borku nad mogiłami zakwiliła sowa i jednocześnie wrota podwórka z cicha skrzypnęły: jakaś niewielka, w grubym zmroku ciemna postać szybko podwórko przeszła i przed Pawłem stanęła.

— Pauluk! — zaszeptała.

— A czego? Kto to taki? — głosem budzącego się ze snu człowieka zapytał Paweł.

Ale kobieta bezpośredniej odpowiedzi mu nie dała. Niskiego wzrostu była, więc aby mu w twarz móc patrzeć, wysoko głowę podnosić musiała. Z podniesioną głową zaszeptała znowu:

— Czego ty, Pauluk, sterczysz przed chatą jak ten wartownik? Czego ty tu jak ten słup stanął i po nocy na pole oczy wytrzeszczasz? Toż to noc! Idzi do chaty! czujesz? (słyszysz). Nu, i i d z i ż e, a to ludzie pomyślą, że sfichsował albo złe jakie do ciebie przystąpiło!

Nie wiedzieć dlaczego mówiła to wszystko szeptem, bo słowa jej nic tajemnego w sobie nie zawierały i dokoła nikogo nie było, kto by je mógł usłyszeć. Ale był to szept taki, jakim zazwyczaj przemawiają ludzie krzątający się około ciężko chorych albo umarłych; czuć w nim było gderliwą troskliwość i trochę przerażonego lęku przez tajemnicze i groźne zjawisko choroby lub śmierci obudzanego.

— Czujesz? Pauluk? — coraz więcej nagłym szeptem powtarzała. — I d z i do chaty! Co ty tu wystoisz? Ot, i deszcz padać już zaczął. Nu, i d z i ż e, i d z i, i d z i!

Obydwoma rękami i całym swoim szczupłym ciałem ku drzwiom chaty popychać go zaczęła. Ale jego natarczywość ta oburzyła.

— Czego ty ode mnie chcesz, Awdocia? Czego ty do mnie przyczepiła się jak ta smoła? — gwałtownie zaszeptał. — No, odczep się! kiedy zechcę, to i całą noc tak prze . stoję, a tobie nic do tego!

— Otóż i nie przestoisz! Otóż ja ciebie na marne zginienie nie dam! Co to? Mało ja chorych widziała i od śmierci ratowała! I ciebie wyratuję.

Widocznie stan, w jakim znajdował się teraz Paweł, jednoznacznym był dla niej z chorobą. Już z rana dnia tego spotkawszy się z nim na brzegu rzeki i bystre swe oczki w niego wlepiwszy pokiwała głową i z cicha przemówiła:

— Cościś ty, Pauluk, kiepsko wyglądasz. Tak wyglądasz, jakby tobie tydzień do śmierci było!

I wiadro pełne wody rzeźwo na górę dla synowej niosąc postanowiła wtedy, że wieczorem pójdzie do niego dowiedzieć się... Teraz znów szeptała:

— Chadzi do chaty, to cościć o France powiem. Maksym z miasta dziś przyjechał i ją w mieście widział. Kiedy pójdiesz do chaty, to powiem, a kiedy nie pójdiesz, to tak i zostawaj się jak te bydle nieme i rozumu nijakiego nie mające... albo jak ta dziecina głupia, ratunku swego nie rozumiejąca...

Niedarmo dziecina w tej chwili na myśl jej przyszła. Wiele, wiele razy, gdy syn jej, Maksym, i dwaj inni jej synowie, i córki, li potem młodziutka synowa w gorączkach i różnych bólach na tapczanie leżeli, stała ona nad nimi z garnkiem gorzkiego stanouniku albo poruszeniku jednym ręką, a w drugim z kawałkiem cukru albo z trochę miodu na drewnianej łyżce, i mówiła:

— Kiedy napijesz się ziela, to cukru albo miodu dam, a kiedy nie napijesz się, to tak i zostawaj się jak te bydle nieme i rozumu nijakiego nie mające...

— Kiedy pójdiesz do chaty, cościś o France powiem, a kiedy nie pójdiesz, to tak i zostawaj się... Czy ja tu z tobą całą noc przestoję? Czy ja dla ciebie jak ten pies na deszczu moknąć będę?

Paweł czapkę na czole przesunął.

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie potrzeba... — sarknął — ja sam o niej wszystko wiem... do swojej rodziny poszła...

Jak wprzód do u r a d n i k a, siostry i szwagra, tak teraz do Awdoci przemawiał w sposób dawniej u niego niebywały: szorstki, popędliwy, zniecierpliwiony. Jednak zwrócił się ku drzwiom chaty i z głośnym stuknięciem je otworzył; zanim przecież do ciemnej sionki wszedł, raz jeszcze ku czarnym polom, ku całkiem już w ciemnościach utopionej i niewidzialnej drodze twarz obrócił.

W ciemnej izbie głośniejszy niż przedtem, choć zawsze stłumionym głosem Awdocia przemówiła:

— Aaa! toż u ciebie zimno w izbie! hum! Musi dni ze trzy w piecu nie palono., Czy ty dziś jadł co, czy nie jadł? Musi nie jadł, bo w piecu ognia nie było. Nu, daj s i a rczyka! ogień rozniecę i wieszczę tobie zgotuję! Oj, ty stary a durny! Dawaj siarczyka, gdzie siarczyki?

— Albo ja wiem? poszukajcie sami, bądźcie łaskawi! Słowa te wymówił ochrypłym głosem i na ławie pod oknem usiadł. Kobieta jak cicha mysz zwijała się w ciemnej izbie, dłonie po piecu, przypiecku, stole i ławach przesuwając: Przy tym szeptała:

— Kab ich paralusz kinuł! Kab oni skrucilisia! Kab ich chwaroba...

Tak złorzeczyła zapałkom, których znaleźć nie mogła. Na koniec znalazła i zaraz w rękę jej błysnął drobny, siny ogień, a potem długim płomiennym językiem zapaliła się sucha trzaska. Tę ostatnią Awdocia także omackiem znalazła, z ziemi podjęła i zapaloną w podniesionym nieco rękę trzymała czekając, aż cała ogniem się zajmie. Przed głębokim, pustym, wystygłym otworem pieca w świetle płonącej na kształt pochodni trzaski ukazała się i uwypukliła głowa jej czerwoną chustką owinięta i twarz w ramach czerwonej chustki pomarszczona, na czole, policzkach, dokoła ust i oczu w mnóstwo drobnych zmarszczek pomarszczona, ale okrągła, pełna, rumiana, jak zdrowe i tylko nieco przymarzłe jabłko jesienne. W czarnych, żywych, bystrych oczach, oprawą mnóstwo zmarszczek otoczonych, blask ognia zapalał złote świeczki. Rozweseliła się też i rozgadała:

— Ot, zaraz tobie i ogień będzie, i wieczerza, i ciepło zrobi się w chacie! A jest u ciebie słonina? Zacierki ze słoniną zgotuję czy co? bo jak b u b ę obierać zacznę, to i do północkska głodny zostaniesz! A z zacierką krótka robota! Potem posiedzim sobie, pogadamy, a kiedy chcesz, to i przenocuję sobie tutaj... Zawszeż nie taki sam będziesz jak ten wilk... choć dawniej i przyzwyczajony był do tego, ale już odwykł... Oho! czy ja takich rzeczy nie wiem i nie znam? Ja wszystko wiem a znam! Kiedy mój umarł, to takie mnie bóle pod sercem zdejmowały, że gdybym na minutkę sama została, to tak ot, zdaje się, że już i skonam, że już i po mnie będzie. Ale nie było kiedy samej zostawać... dzieci skonać nie dały... dzieci pilnowałam i p o d h r u d n i k piłam. Ja i tobie podhrudniku przyniosę, bo w zgryzocie wiadomo, okrutne bóle pod serce przystępują, a jak tego ziela napijesz się, zaraz opadną i lżej stanie... Jutro jak świt, znów tobie ogień rozniecę i duchem do swoich polecę... Oho! jeszcze ja, chwała Bogu, dwom chatom i dwom gospodarstwom dam rady. Siła j e i ochota j e... Czemu nie? Dobremu człowiekowi w zgryzocie pomocą stanąć, czy to mała rzecz? Pan Bóg za to grzechy odpuści, a ty, Pauluczku, kiedy odwdzięczyć się zechcesz, to czasem troszkę ryby nam przyniesiesz... Tadeusz i Hanula za rybką przepadają, strach, jak szelmeczki maleńkie za nią przepadają, więcej jeszcze jak za cukrem albo o barankami; a jeżeli nie zechcesz przynosić, to z Bogiem, i nie przynoś sobie... Wszystko jedno... bylebym ja ciebie od tej paskudnej choroby wyleczyła! Ej, wyleczę! czemu nie wyleczę? Nie takie ja choroby widziała i leczyła...

Widocznie pomiędzy zgryzotą a chorobą wyraźnej granicy nie dostrzegając, a pierwsza lżejszą wydawała się jej od drugiej, bo nie tylko coraz głośniejsze i coraz prędzej mówić zaczęła, ale przy wspomnieniu o maleńkich szelmeczkach, Tadeuszu i Hanulce, wesoło sobie zachichotała. Przy tym do płonącej trzaski przytknąwszy drugą, trzecią i czwartą, cały już pęk płomiennych języków w pusty otwór pieca rzucić już miała, gdy nagle uczuła się silnie za rękę pochwyconą.

— Nie zapalajcie ognia! Jeżeli Boga kochacie, nie zapalajcie! — nad głową jej przemówił głos ochrypły i tak dojmującym cierpieniem, takim osłabnięciem serca zdjęty, jaki nieraz, nieraz w długim swym życiu słyszała u tych, którzy zaraz umierać mieli. Strach ją zdjął, obejrzała się szybko.

— Czemu? — zapytała i z otwartymi ustami, z pękiem palących się trzasek w rękę w pochyloną nad nią twarz Pawła oczy wlepiła.

— Aaaa! — zadziwiła się — sfichsował! dalibóg sfichsował do czego ty teraz podobny? Żeby sam siebie zobaczył, to by przeląkł się!

Cała rzecz w tym jednak była, że czoło Pawła zbiegło się w dwie grube fałdy, usta jego wykrzywiły się jakby do płaczu, a pod wzniesionymi brwiami oczy bez blasku i bez ruchu spoglądały nie na nią, lecz gdzieś daleko za te ściany, w daleki świat.

— Nie zapalajcie ognia — powtórzył — zmiłujcie się, nie zapalajcie...

Wpół z przestraczem, wpół z gniewem zapytała znowu:

— Czemu?

— Już nie pytajcie się, bądźcie łaskawi, tylko nie zapalajcie...

A potem z ciężkim nad sobą samym przymusem dodał:

— Mnież wydało się, że to ona przed piecem stoi i ogień roznieca...

Zapalone trzaski z rąk Awdoci wyrwał, na glinianą podłogę rzucił, stopami zagasił. Ciemność znowu izbę zaległa, a wśród niej przez długą chwilę rysowała się ciemniejsza od niej postać stojącej przed piecem Awdoci. Długo, milcząc i nieruchomo, zapewne z palcami do policzka przyłożonymi, stała. Zawsze palce do policzka przykładała, gdy namyślała się lub dziwiła. Widać choroba Pawła cięższą była, niż przypuszczała wtedy, gdy głośno sobie, jak gdyby nic ważnego nie stało się, gadać i nawet chichotać zaczęła. Widać, że jemu stało się coś ważnego. Widać, że to jemu z r o b i o n e, już nie inaczej, tylko zrobione, i trzeba będzie jutro kopytniku mu zgotować i do napicia się dać, bo kopytnik od zrobionego najlepszy. Ale tymczasem żal nad kumem i ciekawość, jak też to wszystko stało się ii co on teraz ma w głowie i sercu, tak ją paliły, że ledwie język utrzymać w gębie mogła, tyle na nim i zapytań, i pocieszania, i wszelkiego innego gadania miała. Do siedzącego na ławie podeszła. Cicho, powoli podeszła i cicho też, tak jak przy chorym zaszeptała:

— A Maksym o niej wiadomość z miasta przywiózł. Pawła pod ścianą siedzącego wcale w ciemności widać nie było. Z ciemności tej, niewidzialny, tonem niezłomnego oporu odpowiedział:

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie trzeba. Do swojej rodziny poszła, z moim pozwoleniem poszła...

Wtedy Awdocia usiadła na drugiej ławie naprzeciw okna stojącej i powoli tym razem, rozważnie szeptać zaczęła:

— Czy ty, Pauluk, sam siebie durzysz, czy ludzi okpiwać chcesz? Na co takie gadanie przydało się, kiedy wszyscy wiedzą, że ona do nijakiej rodziny nie poszła, ale od ciebie w świat uciekła. Z lokajem tych panów, co latem w pałacu mieszkali, uciekła. Jaż sama nie raz i nie dwa razy widziała, jak ona do pałacu biegała, a kiedy pobiec nie mogła, to tę szelmę Marcelę z różnym gadaniem posyłała. Ja i tego lokaja nie raz, nie dwa widziała, kiedy sobie nad rzeką niby to dla niczego chodził, a tego wypatrywał, żeby ona z góry zbiegła. Z bliskości nawet jego widziałam. W czarnym surducie, z kręconymi włosami chodził i czymś takim od niego śmierdziało, że ni to jełkie sadło, ni to b a h o n w lesie rosnący, ni to b ł o s z c z y t n i k wszelakie plugastwo trujący... za nic nie poznasz, ale cościś bardzo śmierdziało. Marcela gadała, że to p a r f u m y i pamady... czort jeho znaję!... A ta ot i zaczęła przepadać za nim. Paniczem go przed Marcelą nazywała. „Dość już, mówi, ja na chamów napatrzyła się; panicza chcę.” Nadto jej, słyszę, te perfumy podobały się. Raz w pałacu, wiadomo, w kuchni, tańce sobie zrobili i ona na te tańce poleciała. A ty wtedy cały tydzień na rzece był, ryby łapał i do miasta woził. Z tych tańców jak sfichsow a n a przyleciała i jeszcze sama jedna po chacie tańczyła. "Oj, Marcelka, mówi, jaki on śliczny, jak ślicznie tańczy i jakie u niego słodkie mówienie!" A potem, kiedy te panowie nazad do miasta wybierali się, cościć pierwej posmutniała, a potem znów poweselała i Marceli powiedziała, że on ją namawia, żeby do miasta wróciła się i znów tam w służbę poszła, a on będzie do niej co dzień przychodzić i jak tylko można, to na spacer i na tańce ją poprowadzi. „Polecę, mówi, dalbóg, polecę! Czy to ja w niewolę zaprzedała się? Czy za życia w mogiłkę mnie pogrzebali? Czy mnie świat niemiły? Polecę!" I poleciała! K a b jej dolara nie było, łajdaczce takiej! A ty rodzinę wymyślił! Do rodziny i do rodziny poszła! Myślisz, że ludzi zdurzysz, a sam durny! Tut i dziecko wszelakie wie, jaka to rodzina...

Umilkła i zapewne z chciwą ciekawością oczekiwała, co też on teraz jej powie, kiedy już

przekonał się, że ona o wszystkim wie i wszyscy wiedzą. Pewno Frankę przeklinać zacznie i na swoją własną głupotę narzekać, że z t a k ą ożenił się, a byleby tylko przeklinać i "narzekać zaczął, to już i zgryzota prędzej z niego wyjdzie. Czekala jednak długo; Paweł nie odpowiadał i po kilku dopiero minutach w grubej ciemności głos przyciszony, ochrypły wymówił:

— A przysięgała?

W dwóch tych wyrazach zabrzmiało niezmierne, bezdenne zdziwienie. Awdocia z równym prawie zdziwieniem aż krzyknęła:

— Nie już ty, doprawdy, teraz ode mnie dowiedział się?

Daremnie jednak tym razem na odpowiedź czekała; Paweł milczał. Więc znowu mówić zaczęła. Opowiedziała, że wczoraj syn jej Maksym na targ niedzielny szesnastkę owsa i pół kopy jaj woził, a pod wieczór z rynku zjechawszy na ulicy Frankę spotkał. Z kawalerem jakimś, pewno z tym samym lokajem, pod rękę szła, a czerwone s t u ż k i aż biły od niej, tyle ich na siebie nakładła. Maksyma zobaczyła i głową jemu na przywitanie kiwnęła. „Jak się masz, Maksymku? — mówi — kłaniaj się tam wszystkim ode mnie i powiedz, żeby do mnie na Berdyczów drobnymi literami pisali” — mówi. Zęby wyszczerzyła i podskakując poszła sobie, ze swoim kawalerem razem. Maksym obejrzawszy się za nią tylko plunął. „Oj, mameczko, mówi, taka mnie ochota brała batem po plecach ją ściągnąć, że ledwie garść przy sobie utrzymałem... ale bałem się — mówi — boby do policji zaprowadzili...”

Znowu przestała mówić, do najwyższego już stopnia ciekawa, jakie wrażenie sprawi na Pawle wiadomość Maksyma. Teraz to już pewno przeklinać i ostatnimi słowami łajać ją zacznie. Ale Paweł milczał długo, aż znowu głosem człowieka z bezdennej topieli zdziwienia odzywającego się przemówił:

— A przysięgała!

W padającym z okna szlaku ciemności mniej czarnej od tej, która całą izbę zalegała, szczupła postać Awdoci aż zatrzęsała się od zniecierpliwienia, może od zawiedzionej ciekawości.

— Baba swoje, a czort swoje! — wykrzyknęła. — Co chcesz jemu gadaj, człowieku, a on tylko dziwuje się i dziwuje! Czegóż ciebie taki dziw bierze? Nie już ty pierwszy raz dowiedział się, że ona nie do swojej familii poszła?

Na pytanie to odpowiedzi nie doczekawszy się dalej prawiała:

— Ty, Pauluk, wielkim krzyżem przeżegnaj się, na tę szelmę pluń i po dawnemu sobie cicheńko, spokojnieńko żyć zaczynaj. Czego tobie brakuje? Chatę swoją masz, rzemiosło, i dobre, w rękę masz, i grosz siaki taki, i przyjaźń ludzką, i łaskę a miłosierdzie Pana Boga Wszechmogącego nad sobą masz... Czego tobie smucić się i w zgryzocie żyć? Oj, oj! żeby tak wszystkim dobrym ludziom na świecie było, jak tobie dobrze być może, kiedy głupim nie będziesz. Pana Boga słuchaj, z dobrymi ludźmi żyj, jedz, pij i na tę biedę, co ciebie spotkała, pluj!

Zaden człowiek, mówiła, bez biedy na świecie nie przeżyje, ale bywają daleko od tej gorsze; ot, na przykład, Karasiowi dwie krowy na wiosnę zdechło, a teraz wszystkie świny chorować zaczęły i pewno też wyzdychają... Albo u Szymona Mikuły... to już bieda! syn jego, Jasiuk, rozbójnikiem zrobił się i już go raz na Sybir byli wysłali, a teraz drugi raz za to, że stamtąd uciekł, na Sybir i na piętnie sądzić będą. Ot prawdziwa bieda! Gdyby ona, broń Boże, syna rozbójnika miała, to już chyba nie wytrzymałaby i Pana Boga przeprosiwszy powiesiłaby się albo do Niemna by się rzuciła, i z żalu nad dzieckiem rodzonym, i z samego wstydu...

— A twojaż jaka bieda? Nieznajomą, niewiadomą z łuży (kałuży) wyciągnąłeś i k a b dobra była, chciałeś! Głupi ty! Ja od razu wiedziała, co z tego będzie. Czortouska córka do swego baćka czorta powróciła. Wiadomo, czort swoje dzieci lubi i nigdy ich zupełnie od siebie nie puszcza. Choć i puści kiedy, to na krótko, a potem znów pazurami za duszę zaczepi ci do siebie ciągnie, aż póki ze



wszystkim do piekła nie zaciągnie. Tak już musi być; tak już widać Pan Bóg najwyższy chce, żeby jedne ludzie Jemu, a drugie c z o r t u służyli. Ty, Pauluk, Bogu służ, a o czortouską córkę nie dbaj. Cudza ona tobie była i cudza znów zrobiła się. Niechaj sobie marnie ginie i przepada...

I sama już nie wiedziała, co dalej mówić i czym więcej go pocieszać. Całą już swoją filozofię wyczerpała, wszystkich sposobów wyzwania go na gadanie i wyrzekanie użyła.

— Nu — po krótkim milczeniu rzekła — jakżeż h e t o było? jakżeż heto stałosia? Każy! Jak opowiesz, lżej stanie!

Nie wiedziała Awdocia o tym, że są na świecie natury ludzkie od wszelkiej studni głębsze, w które gdy raz kwiat ukochania wpadnie, już go żadne fale precz nie wyrzucą i żadne żale głośno wymówioną skargą nie splamią. Serce nóż zatopiony w sobie czuć może, ale usta nie otworzą się dla wydania słowa oskarżenia, bo nad wszystkie bóle większy żal ich zdejmuje nad tym, na kogo paść ma to słowo. Choćby mu od tego oskarżenia włos nie spadł z głowy, oni go nie wymówią; choćby im ono wysunęło z serca połowę tego noża, który w nim zatopiony, oni go nie wymówią i jeszcze, wszelkimi sposoby, choćby kłamstwem, z ust innych wyjmować je będą. Jak to! tę pierś oskarżać, u której głowa nasza prześniła swój złoty sen życia! Tej duszy złorzeczyć, dla której z ognia, z wody, przez drogi kamieniste, przez czyściec gorejący pragnęlibyśmy dostać i przynieść wszystkie błogosławieństwa! Na te dni i godziny wyrzekać, w których nam drzewa śpiewały, ptaki gadały, ze wszystkich źródeł życia wody słodkie i gojące były! Wszystko to mogło być snem, złudzeniem, mgłą rozwiewną, lotną błyskawicą, po której same ciemności zostały, ale winy w tym niczyjej nie ma, a jeśli jest jaka, to nasza raczej, stokroć raczej nasza, lecz nie tej istoty, której oskarżyć za żadną cenę przed nikim w świecie usta nasze nie chcą i nie mogą. Są na świecie takie natury ludzkie, ale Awdocia pomimo wielkiego doświadczenia nie wiedziała o nich wcale. Nie wiedział o nich i Paweł, nie myślał o tym, jaką w ogóle posiada naturę, a tym mniej, że właśnie taką posiada; czuł tylko, że gdyby Awdocia rodzoną jego matką była, gdyby go na krzyżu rozpinano, gdyby sami święci pańscy zstąpili z nieba i do mówienia go skłaniali, nic złego nie powiedziałyby o France, o żadną by winę jej nie oskarżył i o żadną pomstę nad nią nie prosił.

— A wiecie, kumo — po długim milczeniu i z grubych ciemności ozwał się — że to wszystko, co stało się, moja wina, niczyja, tylko moja... Pierwsze: że za mało ja od niej przez modlitwę i napomnienia czorta odpędzałem; a drugie: że kiedy już jej pustotę zobaczyłem i tego lokaja domyśliłem się, z chaty wychodzić nie przestałem. Trzeba było więcej ją napominać i lepiej pilnować... z oczu nie spuszczać... to by i nie przepadła, a tak przeze mnie ona przepadła... i siebie ja zgubiłem, i ją... i ona jeszcze narzekać na mnie może, nie to, żebym ja na nią narzekał...

Awdocia, gdy tylko Paweł odezwał się, chciwie słuchać zaczęła, ale im więcej mówił, tym większe zdziwienie ją ogarniało, aż oddech w niej zapało i na chwilę mowę odjęło. Osłupiałym też głosem wymówiła tylko:

— Zdureł! ze wszystkim taki zdureł! Ale on wcale na słowa jej nie zważał.

— Jednego ja tylko zrozumieć nie mogę — bardzo powoli, w głębokim rozmyślaniu zanurzony zaczął znowu — że przysięgała i przysięgi nie dotrzymała! A taka, zdaje się, prawdziwa była, nigdy nie łgała, nigdy, za nic. bywało, nie zełże! A przysięgi nie dotrzymała! Czyż to już żadnej pewności i żadnej prawdy na świecie nie ma? Ot, czego ja zrozumieć nie mogę!

Awdocia z ławki wstała i wpół ze śmiechem, wpół z gniewem zagadała:

— Nu, już ja dziś z tobą do nijakiego ładu nie dojdę! już z tobą dziś i gadania szkoda! Kładnij się spać. Może jak prześpisz się, Pan Bóg Wszechmogący rozum tobie przywróci. A ja t a k i tu przenocuję, bo choć ty i zdurniał, zawsze mnie ciebie szkoda. Jeszcze żeby sam został, to by, nie daj Boże, co złego z sobą zrobił... do reszty sfichsowawszy!

Przeżegnała się, krótki pacierz półgłosem wymruczała i watowy kaftan pod głowę wsunawszy, a trzewiki zdjawszy, tak jak była w spódnicy i ciepłej chustce, na ławie pod ścianą zasnęła. Spała cicho jak dziecko, oddechu jej nawet słycać nie było. W zamian do izby nieprzeniknioną czarnością i ciszą bezdenną napelnionej wyraźnie dochodziły kwilenia i szlochania sów i puszczyków. Kwiliły one i szlochały w sosnach nad mogiłami, a tuż za małym oknem deszcz po pustym ogrodzie z pluskiem i szeptem chodził; tak zupełnie wydawało się, jakby chodził, bo to bliżej, to dalej odzywały się jego pluskania, to pod samą ścianą, to kędyś koło płotków z suchym chrzęstem gałęzie i badyle ugiął i łamał. W te słabe, lecz ciągle odgłosy wmieszał się jeszcze jeden:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

Był to szept wychodzący spod ściany, ale tak głośny, taką namiętą żarliwością zdjęty, że od końca do końca i od góry do dołu całą otaczającą czarność napelnił. Trwał niedługo, bo tyle tylko czasu, ile go trzeba na odmówienie jednego pacierza, ale u końca wzmógł się jeszcze w żarliwość, w błaganie, i towarzyszyć mu zaczęły odgłosy pięści w twardą i silną pierś uderzającej.

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

Zazwyczaj codzienny pacierz swój Paweł kończył trzykrotnym uderzeniem się w pierś i wyrazami: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!” Teraz mówił: „Boże, bądź miłościw jej grzesznej!” I powtórzył to wiele razy coraz głośniejszym, żarliwszym szeptem i coraz silniej pięścią o pierś uderzając. Potem umilkł i, tak ucichł, jakby go w chacie wcale nie było.

Nazajutrz o świcie Awdocia obudziwszy się zobaczyła przez drzwi otwarte Pawła zajętego w sieni pilną jakąś robotą.

Ku glinianej podłodze nachylony, z pilnym poruszaniem ramion coś lepił czy miesił. Zerwawszy się z ławki pobiegła i zobaczyła, że istotnie mieszał on mokrą glinę z mnóstwem nałowionych w lesie nadrzecznych motylków, j a c i c ą zwanych, li lepił z niej wielkie, żółte kule. Wiedziała dobrze, do czego kule te służyć mają. Rzucone w wodę, rozsypują po niej roje motyli trupów ku którym zbiegają się gromady ryb. Wiedząc o tym zadziwiła się jednak:

— Na rybę pojedziesz? — zapytała.

— A jakże! woda dziś dobra — odpowiedział. Poszła ogień w piecu rozkładać. Paweł tym razem nie przeszkadzał jej wcale. Ulepiwszy kilka glinianych kul na ławie w izbie usiadł i z leżącego na stole bochna spory kawał chleba ukroił. Wyglądał prawie tak samo, jak zawsze, trochę tylko policzki mu zapadły, ale kobieta wcale się temu nie dziwiła wiedząc, że od kilku dni ciepłej stawy nie jadł i w zgryzocie żył. Teraz zjadł misę krupniku, który mu śpiesznie zgotowała, i wór z glinianymi kulami na plecy zarzuciwszy pęk długich wędzideł o ramię oparł. Dotąd nic wcale do Awdoci nie mówił, zdawać się nawet mogło, że wcale jej paplaniny, to z ubolewaniami, to z chichotami zmieszanej, nie słyszał. Teraz dopiero, czapkę na głowę włożywszy, z worem na plecach a wędami na ramieniu zbliżył się ku niej.

— Dziękuję, kumo! za przyjaźń, i za pocieszanie, i za wszystko dziękuję! Niech Pan Bóg nagrodzi!

Mówił to powoli i przyciszonym głosem, ale przyjaźnie głową kiwnął i rękę od gliny żółtą do starej kobiety wyciągnął. Ją to rozczuliło. Do rozczulania się, tak jak do gadania i chichotania jednostajnie skłoną była. Czarne, okrągłe oczy jej zwilgotniały, powieki zamrugały.

— Nie ma za co, nie ma za co! ot, i chwała Bogu, że tobie, Pauluk, rozum do głowy powrócił...

Kiedy wyszedł, wybiegła także z chaty i chwilę patrzyła, jak z góry ku rzece schodził. Bose jej stopy prawie do kostek pogrążone były w błocie, a ręka, prawie jak to błoto ciemna, pomarszczona, z palcami od pracy pokrzywionymi, szybko za odchodzącym kreśliła w powietrzu znaki krzyża. O dwadzieścia lat od niego starsza, malutkim dzieckiem na rękę go nieraz nosiła, potem dobrym i

rozumnym człowiekiem zawsze nazywała, kilkoro dzieci do chrztu z nim trzymała. Uczuć swoich żadnemu rozbiorowi nigdy nie poddając i nie dając im żadnych imion, ani myślała, ani wiedziała o tym, że dla człowieka tego ma przyjaźń serdeczną, ale ją czuła, tak jak Paweł ani rozbierał, czym są rany zdeptanej miłości i wiary, ani po imieniu ich nie nazywał, ale je czuł. Takie uczucia, nie rozbierane, nie nazywane, okrywają rozległe niziny ludzkości, lecz dlatego że kwitną nisko i są bezimienne, mieszkańcy gór mniemają, że ich wcale nie ma.

Jednak cokolwiek czuł, żył dalej jak zwykle i tak prawie jak zwykle wyglądał. Policzki mu tylko schudły i zapadły, co twarz, i bez tego już nieco długą, więcej jeszcze wydłużyło, a od skroni do skroni otoczył je wąski, szorstki, siwiejący zarost. To rozpromienienie, które przez czas jakiś wygładzało mu czoło i cichą wesołością napełniało oczy, zniknęło; przestał wyglądać o dziesięć lat młodszym, niż był, nawet zdawać się mogło, że gdy innym miesiące tylko, jemu lata przybywały. Ociężał jakoś i zupełnie już ucichł; chodził powolniej niż wprzód i nigdy prawie z nikim nie rozmawiał. Ale postawa jego była tak samo, jak i dawniej, prostą, silną, wśród pracy gibką i do wszystkich trudnych poruszeń ciała wybornie wyćwiczoną.

Pracował też tak samo jak dawniej, nawet więcej niż dawniej, bo i na rzece, i gdy rzeka znajdowała się w niepomyślnym dla rybołówstwa stanie, w polu i około chaty. Własnego pola nie miał, ale pierwszego zaraz dnia, gdy silny wicher i gwałtowne na Niemnie fale wszelką nadzieję jakiegokolwiek połowu odbierały, do szwagra poszedł i zapytał, czy wszystko półko jego już zaorane. Filip właśnie zakłopotany był tym, że dotąd jeszcze, choć pora spóźnioną była, paru morgów pod zasiew wiosenny zaorać nie zdołał. Wiele w tych czasach roboty miał przy promie, a Daniłko do pługa niezupełnie jeszcze był zdatny. Paweł milcząc konia szwagra do pługa zaprzągnął i w pole z nim poszedł. Orać umiał, ale na wodzie życie pędząc zajęć około roli nie lubił. Teraz przecież wołał takie mieć, niż nie mieć żadnego. Młócić też zboże i płoty naprawiać szwagrowi pomagał; Ulana mu w zamian szmaty prała, odzież naprawiała, chleb piekła.

Ale i na wodzie płynącej, i na polach szerokich przyroda w wiecznej obojętności zakreśla wieczne swe koła zjawisk, a prace ludzkie spotykają się ze wznoszonymi przez nią nieprzezwykłymi zaporami. Bywały pory, w których rzeka odpychała od siebie rybaków, a pola rolników nie potrzebowały. Wtedy Paweł wychodził na tę drogę, z której przez kilka dni po zniknięciu Franki oczu prawie nie spuszczał, i siedł ją długo, daleko. Idąc, często głowę podnosił i spod daszku czapki wyteżone spojrzenia po bocznych drożynach i aż pod skraj widnokregu rzucał. Po szerokiej równinie, pod rosnącymi wśród niej gdzieniegdzie laskami, na niewyraźnych szlaczkach drożyn i miedz czegoś wzrokiem szukał. Czasem stawał, wyżej jeszcze twarz podnosił i więcej wzrok wyteżał.

Pod laskiem, na tle ogólnej szarzyzny świata czerniejącym, albo u skraju jednej z drożyn spostrzegał drobny punkt ruchomy, wlepił w niego zaniepokojone oczy i po najbliższej miedzy krokiem szerokim na spotkanie jego iść zaczynał. Niebawem spostrzegał, że był to jednokonny wózek, którym jeden z sąsiadów jego wracał z miasteczka, albo wlokący się o kiju żebrak, albo kobieta z głową od chłodu w grubą płachtę owiniętą i pod ciężarem wora kartoflami czy otrębiani napełnionego przygarbiona. Wtedy na pustym i mokrym polu, w powietrzu od mgły jesiennej szarym i od chłodnego wiatru szumiącym brzmiało krótkie pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków — spokojnie odpowiadał Paweł i ku spotkanej istocie ludzkiej zyczliwie głową skinąwszy szedł dalej długo jeszcze, aż do zupełnego zmierzchu.

Raz, gdy o zupełnym już zmierzchu do wsi powracał, z ciężkich chmur listopadowych spuścił się deszcz rzęsisty, a Wiatr gniewnie szumiąc skręcał go w zimne i ostre bicze, które z głuchym hukiem

uderzały o ziemię, a twarz i plecy idącego siekły. Do chaty wszedłszy Paweł lampkę zapalił i z gorącego jeszcze pieca garnek ze strawą, którą sobie na dzień cały z rana zgotował, wyjął. Siermięga jego była zmoczoną i ściekającą po niej wodą świeciła. Nie zdejmował jej jednak. Na ławie usiadłszy drewnianą łyżkę w garnku zatapiał i do ust podnosił, bardzo powoli, głęboko o czymś myśląc i wciąż na okno czarną płachtą grubej ciemności zawieszoną patrząc. Można by myśleć, że po raz pierwszy w życiu ciemność taką widział, tak się w nią wpatrywał. Ilekroć zaś wiatr przeciąglej zaszumiał i deszcz głośniej o ziemię zasieki, ręka jego z drewnianą i krupnikiem napełnioną łyżką zatrzymywała się w powietrzu. Można było przypuszczać, że te ponure odgłosy natury, przy których jednak przez całe życie zwykł był bezpiecznie pracować albo spokojnie usypiać, teraz go przestraszały. Garnek i resztki chleba ze stołu na piec przeniósłszy, z brodą ujętą w palce stanął i znowu w zamyśleniu głębokim na czarność okna zalegającą patrzył i odgłosów napełniających ją słuchał.

— Ach, ach, ach! — z piersi jego wydobyło się westchnienie. — Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! — zaszeptał i jednocześnie lampkę ze stołu zdjawszy na małym oknie ją postawił.

Czyżby dlatego ją tuż, tuż przy drobnych szybach chaty swej umieszczał, aby kierowniczym punktem była dla kogoś do tej chaty może dążącego? Czyżby tak żarliwym, gorącym szeptem zmiłowania bożego wzywał dla jakiejś istoty ludzkiej, o której wyobrażał sobie, że może czarność listopadowej nocy, fale wiatru i bicze deszczu wątlą swą postacią, dążąc tu, przerzyna? Ale wnet potem przy oknie na ławie usiadłszy zaczął pod światłem lampki naprawiać w niewodzie szkody przez ostatni połów zrządzone. Stalowa iglica szybko połyskiwała mu w ręku, gdy pilnie i wprawnie porwane oka sieci nowymi zastępował. Zadzierzgiwał je, ściągał, sznur z leżącego mu u stóp wielkiego kłęba wywijał i zdawać się mogło, że ciałem i duszą pogrążał się w tej robocie. Ale dusze ludzkie miewają czasem szepty nieustanne, które ani podczas jedzenia, ani podczas pracy, ani w ciszy, ani w gwarze zupełnie nie milkną. Nie przeszkadzają one życiu toczyć się torem najzwyczajszym i wszystkim narzędziom ciała i myśli spełniać właściwe im czynności, ale są same jakby drugim, spodem płynącym życiem i jednym więcej, tajemnie działającym narzędziem istnienia. Paweł także, jakkolwiek wieczrę spokojnie spożył, a potem tak pilnie pogrążył się w robocie, że aż głośnie jego sapanie napełniało olszą izby, nagle głowę podniósł i przybrał postawę człowieka z wytężeniem czegoś słuchającego. To tylko żółty, kudłaty Kurta na Koźlukowym podwórku zaszczekał. Ale na kogo w tej spóźnionej porze mógł on szczekać? Czy razem ze szczekaniem jego nie ozwą się u płota kroki ludzkiej istoty, nieśmiałej, zmęczonej, zziębłej? Nie, starym swoim, ochryłym głosem Kurta szczeknął kilka razy i umilkł, a żadne kroki słyszeć się nie dały. W ręku Pawła znowu błyskać zaczęła iglica. Tuż za nim, w kącie izby załopotwały myszy; obejrzał się i zobaczył małe, zwinne zwierzątko z błyskawiczną szybkością pod ścianą przebiegające. Widok ten sprawił mu znać przyjemność, bo uśmiechnął się i głową pokiwał.

— Ot, głupie stworzenie! czego ona boi się? Przyszłaby do mnie, to bym jeszcze i chleba troszkę nakruszył.

Wtem drzwi od podwórza w sieni skrzypnęły, wyraźnie skrzypnęły. Paweł znowu przybrał postawę człowieka z wytężeniem wsłuchanego w ciszę. Może tam ktoś wszedł, u progu stanął i do izby wejść śmiałości nie mając stoi w ciemności, drżąc od zmokłego odzienia i strachu? Sieć i iglicę na ławie położył, wstał i z lampką w ręku do sieni wyszedł. Lampka, jakkolwiek mała, całą sień oświetliła; drabina o ścianę oparta w niej stała, dziurawa skrzynia na przechowywanie w wodzie ryby, wiadro z wodą, beczułka z ukwaszoną przez Ulanę kapustą; ludzkiej istoty żadnej nie było. Paweł do drzwi wpółotwartych podszedł. Wchodząc do chaty nie zamknął ich dobrze; zapewne też wiatr je z przeciągłym skrzypnięciem otworzył. A może nie wiatr? Może to ktoś do chaty wejść

chciał, ale z nieśmiałości, z niepewności, jak w niej przyjętym zostanie, cofnął się z progu i teraz u ściany pod deszczem z okapu ciekącym pokornie, żałośnie stoi? Lampkę na ziemi postawił, przed chatę wyszedł i krokiem powolnym, ze wzrokiem w ciemność wyteżonym, dokoła ją obszedł. Przeszedł nawet wzdłuż płotków ogrodu i dziedzińca, znad niskich wrót na nieprzeniknione czarność, pole i drogi w sobie kryjące, popatrzył. Nigdzie nikogo nie było; tylko stary Kurta, w ciemności nawet go poznawszy, płotek przeskoczył i o rękę jego zimnym pyskiem uderzył. Ręką po kudłatej głowie psa powiódł i razem z nim do izby powrócił. Lampkę w sieni z ziemi podjętą znowu na oknie postawił i do roboty swojej się zabierał, gdy znowu coś zimnego i kudłatego otarło się mu o rękę. Kurta głowę podniósłszy patrzył na niego rozumnym, smutnym, proszącym okiem głodnego, zziębłego zwierzęcia.

— Biedny ty!

Wziął z pieca kromkę chleba, psu ją dał i z widoczną przyjemnością na jedzące zwierzę spoglądał, a gdy jeść przestało, drzwi otworzył i łagodnie, ale stanowczo wyjść mu z chaty rozkazał. Biedne zwierzę! Zimno mu na wietrze i deszczu, ale cóż robić? Na podwórzu nocować musi, aby chaty, stajni, świrna od złodzieja strzec.

— Wszelkie stworzenie swój żal i swoją biedę ma. Czemu to tak? Chto jeho znaje?

Nad tym pytaniem, z brodą w palce ujętą, myślał długo. W samej rzeczy myślał on nad przepaścią, niezgłębioną, czarną zagadką powszechnego cierpienia świata, tylko że ani jej po imieniu nie nazywał, ani rozbiorowi poddawał. Ale trwożliwy bieg myszy, smutne oczy zziębłego psa, własne tajemne żale sprawiły, że istnienie zagadki tej czuł.

Przez wszystkie czarne, jesienne noce na oknie Pawła lampka paliła się do późna tuż przy szybach zwilżonych od mgły lub deszczu. Z drogi i drózek przerzynających mokre i ciemnością pokryte pola wyglądać ona musiała jak zapłakane, drobne światełko. Z bliska dostrzegali je parobcy i dziewczęta do Koźluków na wieczernice idący, ale uwagi na nie wcale nie zwracali. Losy Pawła przestały zajmować wszystkich, odkąd stał się znowu spokojnym i żył jak zwykle. Nawet Ulana i Filip rzadko do niego zaglądali. Zajęci byli swoim, a gdy nie pracowali, spali lub z sąsiadami gwarzyli. Jednak dziewczęta, które z kołowrotkami swymi najkrótszą drogą koło chaty Pawła do Koźluków przechodziły, i parobcy, w celu straszenia dziewcząt za węglami ścian lub załomami płotków przysiadający słyszeli nieraz zza tego okna bladym i zapłakany światełkiem połyskującego wychodzące dziwne odgłosy. Był to raczej odgłos jeden, monotony, do głośnego mruczenia lub nieustannego wybąkiwania zgłosek i wyrazów podobny. Daniłko, najśmielszy i najciekawszy, zakradł się raz pod okno, spojrzął przez nie do wnętrza izby, a potem wszystkim w chacie Koźluków zgromadzonym oznajmił, że dziadźko siedzi i czyta.

— Dalibóg czyta — uderzając się w piersi z wytrzeszczonymi oczami przysięgał — z książki czyta!

Mało kto temu się dziwił, bo dawno już we wsi wiedziano, że Pawła żonka czytać nauczyła.

— Oj, żonka! kabhetakich na świecie nie bywało! — spluwając i ogniście czerwieniąc się mówiła Ulana.

— Cała to jego i korzyść z ożenienia się, że czytać teraz umie! — z głośnym śmiechem drwił Aleksy; z błysku jego szafirowych oczu jednak widać było, że myśl o umiejętności czytania obudzała w nim trochę żalu i podziwu. Toż by był dumny, toż by prawdziwy rej we wsi wodził, gdyby ją posiadał!

Istotnie, Paweł w długie zimowe wieczory czytał. Co? jak? Oprócz niego samego, myszy, które coraz śmieiej a częściej pod ścianami przebiegały, i starego Kurty, który niekiedy w żółty i błotnisty kłęb zwinięty u stóp jego parę nocnych godzin w ciepłe przesypiał — nie wiedział nikt.

Było to tak. Przy schyłku dnia grudniowego do chaty wszedł zziębły i zmęczony, bo razem z Daniłkiem cały dzień na zamarzałej rzece przepędził, przerąbki w lodzie robiąc i sieć w nie zapuszczając, co rzeczą łatwą nie jest. Kilka t o n i w ten sposób zrobili i żadna nie była zupełnie pomyslną. Mały wynik wielkich wysiłen; nie będzie nawet miał z czym jutro do miasteczka pojechać, do tego kupca, który zazwyczaj towar jego hurtownie kupuje i sam go już do większego miasta wysyła. Niepowodzenie to przecież nie martwiło go bardzo.

— Mniejsza o to! Nie dał Bóg dziś, da jutro!

Ręką machnął, na ławie siadł. Głodnym nie był, bo Ulana jemu i Daniłkowi tam na lód jedzenie przynosiła, ale kozucha z siebie nie zdejmował. Mróz silny, wiatr ostry do szpiku kości go przeniknęły. Buty też miał na sobie do kolan wysokie, a na nich jeszcze bezkształtne wory z wojłoku, dla większej ciepłości sianem wypchane. W tym ubraniu na ławie odpoczywając ' powolnym spojrzeniem wodził po izbie, którą ostatki dziennego światła z blaskiem śniegu zmieszane napełniały białą, mdlejącą jasnością. Przygasłym i powolnym spojrzeniem zmęczonego i niewesołego człowieka Paweł obejrzał ściany, które po raz ostatni przed ożenieniem się jego pobielone dobrze już od pyłu i dymu szerniały; na jeden kąt, ten, w którym za miotłą i dwoma koszami łoziny najbardziej dokazywały myszy, i na drugi, w którym stała pusta skrzynka Franki, popatrzał, aż wzrok jego przesunął się po napełniającej kąt trzeci czerwonej szafce i w leżącym na niej przedmiocie jakimś utkwiał. Przedmiotem tym była książka w zrudziałej i spłowiałymi pozłoceniami przyozdobionej oprawie. Leżała ona pomiędzy lampką i samowarkiem w tym samym miejscu, na którym ją był położył wtedy, gdy Franka po raz ostatni z kościoła do chaty jego powróciła. Więcej niż trzy miesiące upłynęło od dnia, w którym z rzeki do domu wróciwszy Franki tam nie znalazł; do późnej nocy na nią oczekiwał, aż skrzynkę jej otwartą i zupełnie prózną zobaczywszy domyślił się, że w świat poszła. W świat idąc jego własności nie poruszyła, palcem nawet nie dotknęła, choć dobrze wiedziała, gdzie żywność, i odzież, i pieniądze znaleźć mogła; ale wszystko, co do niej należało, miejskie łachmanki swoje i błyskotki zabrała. Jednej tylko swojej *rzeczy* nie zabrała: tej książki. Jakim sposobem mógł on dotąd jej nie spostrzec? Codziennie lampkę, a kilka razy i samowarek z szafki zdejmował, a książki nie spostrzegł. Choć całą przeszłą zimę nad elementarzem często przesiadywał, nie przywykł jednak do tej rzeczy trudnej, dziwnej, z cudem prawie graniczącej, jaką było czytanie, tak dalece, aby mu ona codzienną i konieczną była. Jednak przy mdlejąco białym skłonie dnia zimowego, w ciszy, której nawet nie przerywały tym razem mysie szelesty, po pracy, która mu przyniosła daleko więcej zmęczenia niż korzyści, uczył, że mu czegoś dotkliwie, dotkliwie brakuje. Dlatego to może tak długo i pilnie oczami po izbie wodził, aby w niej dostrzec to, czego mu brakowało. Wstrząsnął głową i wymówił:

— Ot, szczęśliwi ludzie! dobrze im!

Myślał o ludziach, którzy długie zimowe wieczory w karczmie spędzali albo na piec wlaższy przesykali. On nie tylko wódki i upijania się, ale samej karczmy, jej hałasów, smrodów, ciasnoty nie lubił. Odpychało go coś od niej — i koniec. Ospałym także nie był. Żeby choć Awdo cia przyszła! Ale nie przychodzi. Wnuki jej podobno pochorowały.

Teraz na książkę wypadkiem spojrzawszy, wstał i ku szafce poszedł. Gdy przez izbę szedł, pomimo pięknego swego wzrostu, w kozuchu i wojłokowych workach na nogach bardzo podobnym był do grubego, ciężkiego niedźwiedzia. Kawalki lodu w gęsty i krótki jego zarost wplątane w cieplej izbie odmarzały i kroplami ściekały na wełnisty kołnierz kozucha. Książkę z szafki zdjął, ku oknu przyniósł, na okładkę jej kilka razy dmuchnął, końcami czerwonych i skostniałych palców z poszanowaniem, ostrożnie, resztę pyłu z niej starł. Potem na ławie usiadłszy okładkę podniósł i na pierwszej zaraz karcie w grube, duże litery tytułu wzrok wlepił. Zrazu znaki te, jakkolwiek bardzo

wyraźne, w nierozwikłane skręty mąciły się mu przed oczami. Od trzech miesięcy ich nie widywał, odwykł... Już był przyzwyczajął się, zrozumiał, zapamiętał, a teraz znowu odwykł. Jednak po paru minutach pierwszą literę rozpoznał wyraźnie:

— S... — bąknął.

I potem, to z dłuższymi, to z krótszymi, zawsze przecież dość długimi przestankami, każdą z liter wybąkując, sylabizować zaczął:

— S-ł-u-ż — służ, b-a — służ-ba...

Aż poruszył się na ławie z ukontentowania i bąkał dalej:

— B-o — bo, ż-a, — ża, bo-ża.

A potem każdą sylabę oddzielnie i dobitnie wymawiając powtórzył:

— Służ-ba bo-ża.

Upłynął najmniej kwadrans, zanim te dziesięć liter w dwa te wyrazy złożył, ale podobały się mu one bardzo. Więc zaczął dalej:

— C-z-y — czy, l-i — li, czy-li...

W taki sposób cały napis pierwszą stronię okrywający przeczytał aż do umieszczonego na samym jej dole roku wydania książki, którego nie przeczytał, bo cyfr na papierze rozróżnić nie umiał. Na pamięć liczył biegle; przy sprzedaży ryb i kupowaniu potrzebnych sobie przedmiotów prawie nigdy w dodawaniu i odejmowaniu cyfr omyłek nie popełniał, lecz żadnej z nich wyczytać ani tym mniej nakreślić nie umiał. Te więc cztery znaczki zupełnie dla siebie niezrozumiałe opuścił i kartę przewróciwszy począł na następnej kalendarzowe wiadomości sylabizować:

— R-o-k — rok, m-a — ma... rok ma...

Z niezmierną trudnością, w niektóre z liter po całej minucie oczy wlepiając, ręce pod stołem zaciskając i łamiąc tak, że aż stawy palców trzeszczały, przeczytał...

— Rok ma dwanaście miesięcy, tygodni pięćdziesiąt dwa...

Od dawna i bardzo dobrze wiedział, że rok ma dwanaście miesięcy i pięćdziesiąt dwa tygodnie, niemniej ucieszyło go niezmiernie, że to wyczytał w książce. Podniósł głowę i uczył, że zrobiło mu się bardzo gorąco. Uczuł się też spracowanym niezmiernie, daleko więcej, niż po zrobieniu kilku t o n i na zamarłej rzece. Pot mu na czole świecił. Zdjął kożuch i usłyszał z chaty Koźluków naprzód, potem z coraz dalszych chat coraz słabiej dochodzące pianie kogutów. Więc północ była już bliską. Przeczytanie tytułu książki i uwagi, że rok ma dwanaście miesięcy; i pięćdziesiąt dwa tygodnie, zajęło mu cały wieczór zimo-wy. Pamiętał, że przy ostatnich światłach dziennych książkę otworzył, lecz wcale nie pamiętał, jak i kiedy lampkę zapalił. Uczynić to musiał całkiem bezwiednie, utopiony w myśleniu o tym, jak złożyć znajdującą się w tytule a nadzwyczajnie trudną do złożenia sylabę złożoną z liter:

— C-h-r-z-e-ś...

Cały kwadrans potem, już przy świetle lampki, męczył się nad zlanem w dźwięk jeden tyłu pojedynczych dźwięków, aż nagle, z gwałtownym poruszeniem na ławie całego ciała, wykrzyknął:

— K r z e ś ć...

A po kilku jeszcze minutach przeczytał cały wyraz:

— Krześcianie.

Napełniło go to takim zadowoleniem, że ze spoconego czoła poznikały mu wszystkie zmarszczki, a oczy od książki na chwilę oderwane świeciły znowu czystym, pogodnym, jak u dziecka niewinnym błękitem.

W ten sposób spędzał potem prawie wszystkie zimowe wieczory. Przeczytał już był o adwencie, o suchych dniach, o tym, kiedy Kościół zakazuje ślubów i wesel małżeńskich, o powinnościach

względem Boga, bliźnich, samego siebie i zaczynał właśnie rozdział traktujący o Sakramentach Świętych, kiedy do izby wsunęła się Awdocia. Było to już przy końcu stycznia; Paweł przez sześć tygodni osiem stronic przesylabizowawszy zaczynał już czytać po wierzchu. Pamiętał dobrze, jak nieraz znudzona i zniecierpliwiona Franka nad głową mu krzyczała: „Po wierzchu czytaj! no, czytajże już, durniu, po wierzchu!” A kiedy on w żaden sposób rozkazu tego spełnić nie mógł, książkę mu z rąk wyrywała i z wielkim poczuciem własnej wyższości, jak to się po wierzchu czyta, pokazywała.

Teraz próbować zaczynał sam po wierzchu czytać i przy tej stokroć zwiększonej pracy znalazła go Awdocia. Dwoje wnuków jej wyzdrowiało, jeden umarł; przyszła kuma odwiedzić. Trochę z nią o umarłym wnuczku i najmłodszym synie, którego świeżo do wojska wzięto, porozmawiawszy i gruszkami, których jeszcze trochę w chacie miał, ją poczęstowawszy, Paweł do książki wrócił. Awdocia z głową tak od mrozu płócienną płachtą owiniętą, że tylko nos zadarty ukazywał się zza niej i czarne oczki połyskiwały, nie tylko nic wcale przeciw czytaniu Pawła w swojej obecności nie miała, ale z niezmierną ciekawością przysłuchiwać mu się zaczęła. Stopniowo ciekawość ta zmieniała się w skupienie i wytężenie uwagi i słuchu. Siedząc na stołku formalnie skamieniała. Ogryzek gruszki z ręki jej wypadł. W długiej siermiędze i szarej płachcie, która jej głowę i całą prawie twarz grubymi fałdami okrywała, miała pozór wyrzeźbionej z kamienia figurki. Paweł to sylabizując, to krótsze i łatwiejsze wyrazy po wierzchu wybąkując czytał:

— „Czyny ludzkie, żeby mogły podobać się Bogu, muszą być nie tylko dobrymi, ale nadto jeszcze nadprzyrodzonymi, czyli pochodzić z nadprzyrodzonej łaski bożej...”

Kamienna figurka na stołku nieruchomo siedząca nic a nic nie rozumiała. Gdyby kto ją bił i zabijał, co znaczyły „czyny ludzkie nadprzyrodzone”, w najmniejszym przybliżeniu wytłumaczyć by nie potrafiła. Niemniej, ogarniać ją zaczynały żałość i skrucha, tak zupełnie, jak gdy w kościele ksiądz z kazalnicy o arianach, socynianach i różnych innych heretykach mówił, a ona nic a nic nie rozumiejąc do wzdychania i płaczu jednak ochotę uczuwała. Może dźwięki w codziennym życiu nigdy nie słyszane i wyrazy piętnem świętości namaszczone — tak jak to u istot innego niż ona rzędu czyni muzyka — na dnie jej duszy budziły i wzmagają utajone uczucia i zaczątki uczuć. Kiedy

Paweł czytał następnie o dwojakiej łasce boskiej, poświęcającej i przechodniej, Awdocia głośno westchnęła i coraz częściej, głośniejsze, przeciągłe wzdychała, aż gdy niezmiernie powoli przeczytał: „Zwy-czaj-ny-mi i naj-ob-fit-s-z-y, szy, mi — najobfitszymi ka-na-ła-mi łask boskich są ś-w-i-ę- — świę, t-e, te — święte Sa-kra-men-ta”, głośnym płaczem i lamentem wybuchnęła. We dwoje zgięta, połą siermięgi twarz zakrywając lamentowała:

— Oj, zabrał Pan Bóg najwyższy, do chwały swojej zabrał robaczka mego maleńkiego, Tadeuszka mego mileńkiego. Zmarniała dziecina jak ten kwiatek pod śniegiem, stoczyła się ze świata jak ta jagoda... A tu mnie ludzie i Chwedorka zabrali, synka mego najmłodszego, chłopca mojego najmilszego... W żołdacy mu iść kazali, ciężkie r u ż j e na plecach nosić, od chaty rodzonińskiej daleko żyć...

Tak przez czas jakiś h o ł o s i ł a, połą siermięgi nas ucierając i deszczem łez płacząc. To, co mówiła, z łaską boską dwojaką i najobfitszymi jej kanałami w najmniejszym związku nie zostawało, ale dźwięki dziwne a święte były tą okrucną, która na rozżaloną duszę jej spadając z równowagi ją wytrącała. Tak we wspaniałej i rześisto oświetlonej sali, przy dźwiękach strun mistrzowskim smyczkiem poruszanych, po bladych policzkach modnie ubranej damy płynąć zaczynają ciche, grzeczne, bo z duszy gorsetem ściśniętej dobywające się łzy.

Awdocia zaś h o ł o s i ł a, a Paweł, książkę zamknawszy, pocieszał ją powolną, łagodną mową. Mówił o woli boskiej, o tym, że człowiek a robak to wszystko jedno, bo robak przez rybę, a człowiek przez ziemię połkniętymi być muszą, o tym, że Chwedor z wojska za pięć lat wróci i że po



śmierci Tadeuszka jeszcze jej dwoje wnuków zostało. Kobieta w siermiędze i szarej płachcie w grube fałdy dokoła głowy związanej stopniowo cichła, nieruchomiała i znowu do kamiennej figurki stawała się podobną. Na koniec, po raz ostatni nos połą siermięgi utarłszy, patrząc na Pawła tajemniczym szeptem zapytała:

— Nu, a o tej... nic nie słysząc?

W oczach jej z łez jeszcze nie oschłych świeciła żywa, niecierpliwa ciekawość. Przez kilka tygodni Pawła nie widywała; może więc w tym czasie w stosunku jego do Franki coś nowego zaszło.

Paweł dość długo milczał, a potem powolnym, monotonnym głosem mówić zaczął:

— Nic ja o niej nie słyszał, nic ja o niej nie wiem i Bóg tylko święty wie, co tam z nią dzieje się... gdzie ona...

Po chwilowej przerwie mówił dalej:

— Ot, biedna, nieszczęśliwa! Znów na wołoczaszc z e życie, na poniewierkę i na wszelkie złości swoje i ludzkie poszła... Znów dusza jej zgubiona i bez ratunku nijakiego w piekło lecąca... A ja myślał, że ją wyratowałem... od męki na tym, a od potępienia na tamtym świecie wyratowałem! Nie chciała! nie wytrzymała! Czysta pijaczka, choć i wódki nie pijąca! Oj, biedna ona, biedna!

Przestał mówić, a Awdocia patrzyła na niego i patrzyła. Widać było, że dosyć wydziwić się i prawie uszom swoim wierzyć nie mogła.

— To ty, Pauluk, nie gniewasz się na nią? — tonem zdziwienia zapytała.

Ręką machnął; nie na kobietę, z którą rozmawiał, ale kędyś w bok, na ścianę patrzył.

— Nijakiego gniewu i nijakiej pretensji ja do niej nie mam. Do siebie pretensję mam, nie do niej. Inaczej widać trzeba mnie było z nią postępować...

— A toż! inaczej, pewno, że inaczej... — z zapalem zaszepotała Awdocia. — Panowanie jej dałeś... do pracy nie naganiałeś... w pościeli jak ta świnia w barłogu wylegiwała się... cukierki jak ta pani smoczała, charbatę piła...

Aż zaszamotała się na ławie i rękami zamachała, tak przeciwną była temu wszystkiemu, co Franka robiła.

— Żeby powróciła — po długim milczeniu przemówił Paweł — już bym ja teraz z nią inaczej...

— Czego jej powracać? Nie powróci... Marcela z miasta przyszedłszy mówiła, że już jej tam nie ma. Musi ze swoim a k a j e m gdzieś dalej powlekła się...

Pawłowi oczy zaświeciły, ale prędko powieki spuścił i już ani słowa do Awdoci nie przemówił. Ona też niebawem wstała, głową kiwnęła, „Bywajcie zdrowi!”, a potem: „Niech będzie pochwalony!” — powiedziała i wyszła.

Po dniu mroźnym i wietrznym noc zrobiła się burzliwa. Naokoło chaty wichry dęły, dmuchały, wzdychały, grzmiąły. Paweł lampkę zgasił. Czarna ciemność zaległa izbę, ale w tej ciemności i wśród słabnących, to wzdymających się głosów wichru nie zasnął on, tak jak dawniej bywało, od razu i spokojnie. Długo razem z cichymi łopotami i szelestami dokazujących wśród koszów i mioteł myszy słysząc było obracanie się na pościeli ciężkiego ciała i głośnie, przewlekłe westchnienia, aż zastąpił je żarliwy, błagalny szept, który po wiele razy z odgłosami pięści o pierś uderzającej powtórzył:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

# IV

Jednak gdy od zniknięcia Franki trzecia już zima upływała, powszechnym i od dawna utrwalonym zdaniem było, że Paweł o niej zupełnie zapomniał. W ostatnich czasach nawet poweselał. Nie w tym znaczeniu poweselał, aby w hulankach udział brał albo kiedykolwiek głośnym śmiechem wybuchnął, ale ludzi nie unikał, w zimowe wieczory znowu czasem, choć nieczęsto, do chaty Koźluków przychodził, dzieci ich na kolana brał, całował je i z figłów ich albo nierozumnego gadania cicho, ale serdecznie śmiał się. Wprawdzie postarzał widocznie; łysina powiększyła się mu nad czołem, wąski zarost policzki otaczający bielał, co zaś więcej, plecy, tak dawniej proste i gładkie, w okolicach karku trochę się przygarbiły, co najwięcej było widocznym, kiedy 'szedł stopy od ziemi powoli odrywając. Nie dziwiło to przecież nikogo; wszak lat mu przybywało i pracował wiele, daleko więcej nawet niż przed ożenieniem się, a z taką samą rzeźkością i siłą, jak wówczas.

Jednego z pierwszych dni marcowych od rana do wieczora zajęty był przygotowywaniem narzędzi do wiosennego rybołówstwa potrzebnych. Lody w tym roku puściły i śniegi stajały wcześniej; szeroko rozlana rzeka podmywała pnie sosen u przeciwległego boru i o stok góry, na której stała wioska, biła wysokimi, pienistymi, szumnymi falami. Środkiem szare d wzdęte fale bystro unosiły wielkie plamy białej piany i czasem jeszcze drobne odłamy lodu, które, gdy słońce świeciło, usiewały rzekę okruchami złota i tęcz. Niekiedy piasek i żwir z nadbrzeżnej ściany osypywał się z monotonnym i długim szelestem nawałnicy albo ze stoku góry przez wodę poderwany z wielkim hukiem i pluskiem staczał się i do rzeki wpadał ciężki kamień. W powietrzu unosił się już zapach odmarzłej ziemi i odzywały się gwary odżywającego ptastwa, lecz natura była jeszcze szara, zimna, wilgocia przesiągnięta, burzliwymi ruchami wiatrów i wody wydobywająca się z kajdan zimy.

W chacie Pawła żelazne łomy, na długo już niepotrzebne, stały w kącie przy ścianie; na ścianach wisiały naprawione sieci różnych rozmiarów, stół i ławę okrywały świeżo ukręcone sznury różnej grubości i różnej wielkości z drutu wyrobione haki i haczyki. Daniłko, teraz już wysmukły, osiemnastoletni, ładny chłopak z pociągłą, różową twarzą, cienkimi ustami i filuternymi oczami, przez cały prawie dzień pomagał Pawłowi sznury kręcić i haczyki robić. Zajmował się tym z wielką ochotą, bo, tak jak i Paweł, do rybołówstwa uczuwał od dzieciństwa pociąg z namiętnością graniczącą. Przed południem z dzieckiem na rękę przyszła Ulana. Było to czwarte już jej dziecko, którego chrzciny odbyły się tej zimy, a Paweł był na nich, ze zgromadzonymi sąsiadami ochotnie rozmawiał i matce nowonarodzonego wiele przyjaźni okazywał. Na tych to chrzcinach najmocniej utrwaliło się przekonanie, że o niegodziwej żonce zupełnie on już zapomniał i nad jej utratą smucić się ani myśli. Owszem, pewnie cieszy się, że go porzuciła i że to głupstwo, które zrobił, większego nieszczęścia mu nie sprawiło. Filip nawet na chrzcinach syna podpiwszy sobie wesoło szwagra chłopskim przysłowiem zaczął:

— A co, dziewier? jak toj kazau... baba z kalos, kalosom lekczej!

Teraz Ulana, niemowlę, w ciepłą chustkę owinięte na pościeli brata złożywszy, ogień roznieciła i zgotowała stawę, którą potem Paweł i Daniłko razem jedli. Przed ogniem stojąc, ta silna, zdrowa, hoża kobieta mówiła ciągle: to o nowych deskach, których Filip do wyreperowania promu swego potrzebuje, to o tym, że im pewno trochę zboża do nowego zabraknie, to że najstarszy jej, Szymonek, gwałtem butów napierać się już zaczął... O potrzebie nowych desek i małym zapasie zboża mówiąc z ukosa zerkała na brata i błękitne jej oczy połyskiwały przy tym trochę chciwymi błyskami. Spodziewała się widocznie i pragnęła, aby on jej w tych dość ważnych kłopotach z pomocą przyszedł. Opowiadając zaś o małym Szymonku i jego zachciankach śmiała się tak, że wszystkie śnieżne zęby zza pełnych, koralowych warg ukazywała. Paweł uważnie słuchał, głową potakująco

trząśł, do zrozumienia tym dając, że kłopoty siostry rozumie i że do zaradzenia im dopomoże, żółtego Kurtę, który poufale wił się mu u nóg, kartoflami karmił, po czym niemowlę z pościeli wzięwszy trochę je w rękach pohuśtał i gwizdaniem zabawił. Z dziedzińca Koźlukowej chaty dał się słyszeć donośny głos Filipa żony przywołującego. Ulana dziecko z rąk brata wzięła i śpiesznie wybiegła. Wkrótce potem na przeciwnym brzegu rzeki ozwało się przeciągłe, po wiele razy powtarzane wołanie:

— Proooooom! Proom! Po-o-o-o-rom!

Daniłko sznur do połowy ukręcony porzucił i z chaty wypadł. Musiał Filipowi na pomoc biec. Teraz po szeroko rozlanej, burzliwej rzece prom na łodziach szostami przeprowadzać nie było rzeczą łatwą. Kto wie, czy we dwóch podolają? Toteż po upływie minuty tuż za oknem Pawła Filip zawołał:

— Dziewier! chodźcie, pomóżcie! zmiłujcie się, pomóżcie!

— A trzeci s z o s t jest? — donośnie zapytał Paweł.

— Jest! jest! — odkrzyknął Filip.

Paweł czapkę na głowę włożył i tak jak był, w krótkiej siermiędze i wysokich butach, poszedł szwagrowi na promie pomagać.

Gdy z promu wrócił, w izbie było już prawie zupełnie ciemno. Ulana garnek ze strawą na wieczerzę pozostawioną w piecu umieściła i otwór pieca drewnianą deską zasunęła. Ognia więc nie było, w jednym kącie tylko mętnie pobłyskiwał samowarek, a w drugim czerniały nagromadzone tam łomy, wiosa, miotły i kosze. Na ścianach wiszące sieci wyglądały jak błędne, bezkształtne cienie. Za oknem wiatr szumiał i gęsty deszcz marcowy padał; z drugiej strony dochodził przez oddalenie osłabiony głuchy szum rzeki.

Paweł lampkę zapalił i okrywające stół haki i sznury nieco odgarnąwszy pod światłem jej książkę rozłożył. Była to ta sama, co i przed trzema laty, „Służba boża”, przez Frankę tu pozostawiona. Przez pierwszą zimę Paweł nic nie opuszczając przeczytał jej stronic sześćdziesiąt, przez drugą dwa razy tyle, a przez trzecią daleko już więcej. Jednak całej przeczytać jeszcze nie zdołał. Modlitwy, które mu najwięcej się podobały, świętymi obrazkami zakładał. Tych obrazków w książce Franki było dość dużo, pomiędzy nimi zaś znajdowały się bilety z powinszowaniem Nowego Roku lub imienin od miejskich znajomych i przyjaciół przez nią otrzymywane. Składały się one z wielkich, jaskrawych róż, girland, bukietów na twardym papierze malowanych lub naklejanych.

Były też tam czerwone serca złotymi strzałami poprzebijane i żółte kupidyny ze świecącymi skrzydłami. U spodu lub dokoła tych wyobrażeń znajdowały się grube napisy wyrażające imiona i nazwiska kawalerów, od których dary te pochodziły, oraz datę ofiarowania ich France. Ale Paweł napisów tych wyczytywać nie umiał i bilety te za święte także obrazki uważał; kupidyny po prostu brał za aniołów. I teraz „Służbę bożą” otworzywszy bilet z czerwonym sercem przez kupidyny trzymany pobożnie ku ustom poniósł, pocałował i ostrożnie, delikatnie na powrót go do książki włożywszy, jak zwykle półgłosem, powoli bąkać zaczął:

— Przygotuj ozdobny przybytek twój, S-y —sy, o — o, syo, n-i-e — nie, Sy-o-nie...

Umilkł i z oczami wlepionymi w książkę zamyślił się. Myślał nad tym, kto to być może ten Syon? Musi król jaki, a może i pan bardzo bogaty, kiedy jemu święta książka ozdobny przybytek przygotowywać nakazuje. Co znaczy: ozdobny przybytek, rozumiał i wyrazy te przed wyobraźnią mu stawały wielką i wszelkich ozdób pełną salę, którą w jednym ze znajomych dworów przez otwierające się drzwi przedpokoju czasem widywał. Ale kto to ten Syon?

— I przyjmij Kró-la Chry-stu-sa...

Przed wrotami coś, jakby koła po mokrej ziemi z cicha toczące się, zaturkotało i ucichło; Kurta na przyległym podwórku zaszczekał, wrota skrzypnęły. Paweł twarz podniósł i słuchał. Nic; cicho. Za

oknem, jakby kto całun zawiesił, tak ciemno i wiatr z deszczem coraz głośniejszumi. Paweł do książki powrócił.

— Rozmiłuj się w Ma... w Ma-ry-i... Pomyślał chwilę.

— Aha! to temu Syonu, królu jakiemuś czy bogatemu panu, święta książka w Maryi rozmiłować się nakazuje!...

I czytał dalej:

— Ona bo... bo-w-i-e-m — bowiem jest bramą niebie-ską...

Westchnął.

— Oj, żeby to człowiek po śmierci tej bramy niebieskiej dostąpił...

Oczy znad książki podniósł; usłyszał, że w sieniach drzwi od podwórza skrzypnęły.

— Pewno Awdocia... — półgłosem wymówił, ale zarazem wyprostował się jak struna.

W sieni słyhać było stąpania, lecz nie stąpanie Awdoci, ociążałe i grubymi butami głośno stukające. Ktoś tam szedł cicho, nieśmiało, na podobieństwo skradającej się myszy. Paweł wciąż jak struna wyprostowany, bezwiednie palcami mnąc żółtą kartkę książki, szeroko otwarte oczy w zamknięte drzwi wlepił. Ale ciche, nieśmiałe kroki umilkły, a drzwi się nie otwierały. Coś jednak znowu za nimi zaszeleściło i umilkło, Pawłowi zaś zdawało się, że słyszy szmer ciężkiego i z całej siły tłumionego oddechu. Z podniesionymi brwiami, z twarzą wzburzoną rzucił się ku drzwiom i popędliwym ruchem na oścież je otworzył.

— Kto tu? — zawołał.

Z ciemności zalegających się i spod samej ściany wyszedł nieśmiały szept:

— To ja.

— Kto? — powtórzył i cały naprzód się podał.

— Ja... Franka!

Wysoki próg przeskoczył, omackiem przy ścianie znalazł ramię w twardym, od deszczu przemokłym rękawie i z całej siły je schwyciwszy do izby wciągnął niewysoką, szczupłą, ciemną postać w paltocie, po którego twardej i poplamionej powierzchni ściekała woda, z głową i twarzą całkiem prawie zawiniętą w grubą, podartą chustę. Kiedy już blade światło palącej się na stole lampki na nią spłynęło, ona niema i z opuszczonymi rękoma zatrzymała się u drzwi; on ramię jej puścił i z wlepionym w nią wzrokiem, głosem takim, jakby czkawka go porywała, zawołał:

— Ty... ty... ty!

Wśród fałd mokrej chusty czarne, wielkie, zapadłe oczy jak żużle świeciły, a wąskie, blade usta jeszcze ciszej, jeszcze nieśmielej niż wprzód wyszeptały:

— Ja... nie gniewaj się...

Ale on tego, co mówiła, nawet nie słyszał.

— Tak i powróciła!... a ja już i nie spodziewał się... wprzód spodziewał się... a potem i przestał...

Zachłysnął się, dłońmi splasnął, głośno i ciągle połykał ślinę i łzy, które mu w oczach świeciły.

Ciemna, przemokła, nieruchomo u drzwi stojąca postać głośniejsze nieco, choć bardzo nieśmiało i pokornie przemówiła:

— Kiedy można mnie tu zostać, to dobrze, a kiedy nie, to zaraz pójde sobie...

— Ot, durna! — zaśmiał się na całe gardło. — R o zdziwajusia, chuczej, chuczej rozdziwajusia, a to jeszcze zachwarujesz od tej mokrości.

Jak zwykle, gdy był wzruszonym, po chłopsku mówił, chustkę jej z głowy odwiązując, prawie zrywając. Ona czy z zimna, czy z innej przyczyny, drżała tak, że aż zęby jej dzwoniły. Z cicha powiedziała, że paltota nie zdejmie bo deszcz go po wierzchu tylko zmoczył, a bez niego będzie jej

bardzo zimno, i nic już nie mówiąc na tapczanie, odkrytym pościelą Pawła, ze zwieszoną głową i rękami na kolana opuszczonymi usiadła. Włosy roztargane i rozplecione opuszczały się na jej czoło i plecy, a spośród wilgotnej ich czarności wyglądała twarz drobna, żółta, zmartwiona, sterana, z cieniem długich, spuszczonej rzęs na drgających i chudych policzkach. Paweł ze zwieszonymi ramionami i silnie splecionymi rękami stał przed nią i jak w tęczę w nią patrzył.

— Taki powróciła... — mówił — taki znów z c z o r t o u s k i c h pazurów wyrwała się... taki poznała, gdzie jej dobro i wybawienie... Oj, mojaż ty biedna, mojaż ty nieszczęśliwa!...

Nagle odwrócił się i do pieca poszedł.

— Ogień zaraz rozpale, krupniku gorącego dam albo i c h a r b a t y zgotuję... Zaraz i rozgrzejesz się, i lepiej tobie s t a n i e...

Piec znajdował się blisko drzwi i gdy Paweł ku niemu postąpił, Franka przestraszonym wzrokiem za nim rzuciła, drgnęła i z cicha krzyknęła:

- Oj!

Niespokojnie obejrzał się na nią.

— A co? Pewno chora? pewno we środku boli? Niemało widać wszelkiej biedy zniosła i w takie zimno przyjechała. Poczekaj! minuczkę poczekaj! Zaraz ogień będzie i wszystko będzie...

Rękę do włosów w nagłym jakimś zakłopotaniu podniósł.

— Trzasek nie ma... K a b i c h w sieniach zostawił... poczekaj! minuczkę poczekaj!

Ręką drzwi dotykał, gdy Franka daleko głośniejszą jak wprzód, prawie przeraźliwie krzyknęła:

— Oj! nie idź tam... Pawełku... nie idź... Z przestachem na nią spojrział.

— Czemu? — zapytał.

Ona nie ruszając się z miejsca trzęsła się teraz jak w febrze i jak nieprzytomna mówiła:

— Oj, co ja zrobię? co ja zrobię? co z tego będzie? Kiedy po ciemku pójdziesz, to nastąpisz i zadusisz, a kiedy ze światłem pójdziesz... to zobaczysz i mnie zaraz wypędzisz... Co mnie tu nieszczęśliwej robić? Co z tego będzie? O Jezu! o Panno Mario Przenajświętsza, ratujcie mnie nieszczęśliwą!

Przerażony, z ręką na klamce drzwi, pytać zaczął:

— Z czego co będzie? na kogo ja tam nastąpię? kto tam taki w sieniach?

Obu rękami twarz zakryła i ze spazmatycznym łkaniem wyrzuciła głośno wyraz:

— Dziecko!

Przez parę minut jak skamieniały, jak do miejsca przykuty, z pochyloną twarzą i grubymi fałdami na czole przy drzwiach stał, aż zwolna ku stołowi postąpił, lampkę wziął i również powoli do sieni z nią wyszedł. Po chwili z czymś w grube i wilgotne łachmany owiniętym, a żadnej wyraźnej formy nie mającym wrócił i milcząc zawinięcie to na pościeli obok Franki położył. Ona każdy ruch jego ściagała przestraszonym wzrokiem swoich czarnych, palących się oczu; on nie patrząc na nią zniżonym głosem zapytał:

— Czemuż od razu do izby nie wniosła, a jak te szczenię w zimnie na ziemi porzuciła?

Kurczowo ręce ściskając odszepnęła:

— Bałam się...

Do pieca odszedł i ogień rozniecać począł. Czynił to bez uprzedniego pośpiechu, bez tej gwałtownej i nietajonej radości, która przedtem twarz mu oblewała. Owszem, czoło w dwie grube fałdy ściągnięte i usta zwarte, milczące nadawały mu pozór posepny i surowy. Garnek z krupnikiem do ognia przystawił, w małym imbryku herbatę zgotował i bochem chleba razem z dużym nożem na stole położył.

— Chodź jeść!

Od kwadransa było to pierwsze słowo, które wymówił, a wymawiał je nie patrząc na Frankę. Ona, jak odrętwiała, jak skamieniała, żadnego poruszenia nie zrobiła. Z leżącego na pościeli zwoju grubych płacht ozwało się głośnie, jękliwe wołanie:

— Ma-mo! Ma-mo!

I w chlapiący płacz już przechodziło, a Franka nie poruszyła się jeszcze i zdawała się nie widzieć i nie słyszeć nic. Paweł nagłym ruchem zwrócił się ku niej. Fałdy jego czoła pogłębiły się jeszcze, a znizony głos gniewnie zabrzmiał:

— Czemuż dziecka ze szmat nie rozwiniiesz? Może by i chciała, żeby zadusiło się, ha? Łajdaczka!

Jak sprężyną podjęta wstała, długo drżącymi rękami rozwiązywała chusty, aż wydobyło się z nich i na pościeli usiadło stworzenie drobne, chude, wpółbose i wpółokryte suknią jaskrawo czerwoną, lecz tak podartą, że na ramionach i piersi szeroko ukazywała żółte i drobnymi kośćmi sterczące ciało. Jasne, gęste i długie włosy jak roztargana kądziel wznosiły się mu nad głową, a świecące pod nimi czarne jak węgiel oczy z chciwością wpiły się w leżący na i stole bochen chleba.

— Daj... daj... daj!... — na całą izbę zadzwonił cienki, płaczem nabrzmiaty głosik, i z czerwonego, podartego łachmanka dwa drobne, cienkie, prawie jak wosk żółte ramiona wyciągnęły się w kierunku stołu i chleba.

— Czegóż stoisz jak słup? — tym samym co wprzód szorstkim głosem ozwał się Paweł. — Przynieś jego tu i nakarm. Słyszysz? nu!

Jak automat posłuszna wzięła dziecię na ręce i ku stołowi je niosła. Kilkanaście miesięcy przynajmniej mieć musiało, skoro już mówiło i przedmioty rozpoznawać mogło, jednak było tak drobnym i lekkim, że nawet ta wątła, wychudła, zmęczona kobieta jak piórko je niosła. Przy stole z nim usiadła i kawał chleba włożyła w małe ręce, które go zaraz z chciwością głodnego zwierzęcia do ust poniosły. Paweł postawił przed nią talerz dymiącego się krupniku.

— Jedz i dziecko karm — wymówił, a sam o parę kroków pod ścianą w cieniu usiadł.

Widocznie usiłowała jeść, ale nie mogła; żywność nie przechodziła jej przez gardło i oczy co chwilę nabrzmiwały łzami. Dmuchianiem na drewnianą łyżkę krupnik studziła i dziecku po trochu do ust go wlewała. W izbie panowało milczenie, przerywane tylko głośnie wciąganiem płynu przez usta dziecięce i ciężkim oddechem Pawła. Z cienia, w którym siedział, nie można było dostrzec, czy na Frankę patrzył; jednak po chwili krótko i ostro przemówił:

— Czemu nie jesz?

— Nie chcę — ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedziała.

Wstał, chwilę przed piecem coś robił, a potem zielonawą szklankę herbaty przed nią postawiwszy znowu na uprzednim miejscu z dala od stołu usiadł. Dziecko, zjedzeniem trochy gorącego krupniku rozgrzane i nasycone, jak ptak zatrzepotało i z małym palcem ku szklance wyciągniętym wykrzyknęło:

— Batka! Bat-ka! Bat-ka!

A w tejże chwili ujrzawszy parę kawałków cukru, które Paweł przy szklance położył, jeszcze głośnie wolać zaczęło:

— Aj! aj! Ciu-kiel! Ciu-kiel! aj, aj, aj! Ciu-kiel!

Całą minutę może albo i więcej, w milczącej izbie, naprzeciw okna zawieszzonego z zewnątrz czarnym całunem, cienki, donośny, radosny głosik dziecinny — jeden ten wyraz na dwie sylaby rozdzielany powtarzał, powtarzał. Podobnym to było trochę do srebrnego dźwięku jednostajnie poruszanego dzwonka, a trochę do słodkiego gruchania synogarlicy. Franka ku tym małym, gruchającym ustom przechylała szklankę z wystudzoną dmuchaniem herbatą, gdy ręka jej drgnęła, bo w cieniu, pod ścianą, niski, lecz mniej niż wprzód szorstki głos męski wymówił:

— Chrzczone?

— A jakże! — odszepnęła.

— Jakżeż ono nazywa się?

— Oktawian.

— Chtawian — powtórzył i umilkł, a po kilku zaledwie minutach zapytał znowu:

— Wiele jemu będzie?

— Rok i osiem miesięcy — odpowiedziała.

Dziecko kilka razy tylko przełknęło trochę herbaty, resztę z widoczną poządlivością wypila Franka, zjadając przy tym parę kęsów chleba.

— Chcesz więcej? — zapytał Paweł,

Z cicha i drżącymi usty odpowiedziała, że herbaty więcej nie chce i że dziecko senne. Sennym istotnie było; podróż je zmęczyła i rozmarzało ciepło ognia.

Głowę schyla-jąc na ramię matki i powieki mrużąc raz jeszcze jednak, cichutko już zaszczebiotało:

— Ciu-klu! daj... daj... daj...

I długie, tak jak u Franki, rzęsy opadły mu na chude policzki, usta zaś do bladego listka róży podobne zamknęły się z cichym uśmiechem. Franka nie wstawiała jednak; oczy jej ciągle łzami nabrzmiące z ponurym smutkiem tkwiły w chropowatej powierzchni stołu. Paweł też milczał długo; potem wstał.

— Nu, i d z i spać! — przemówił. Na tapczan z pościelą wskazał.

— Kładnij się i dziecko przy sobie połów... ja na zydlu przenocuję...

Wstała i z dzieckiem na rękę parę kroków zrobiwszy nieruchomo przed nim stanęła.

— Czego chcesz? — szorstko zapytał.

Milcząc wzięła jego rękę i do ust ją poniosła. Rękę z dłoni jej wysunął, twarz ku ścianie zwrócił.

— Nu, idź spać... idź spać... Bóg z tobą... — przemówił i prędkim, mimowolnym jakby ruchem dłonią po włosach jej powiódł. Ale wnet odwrócił się i naprzód lampkę, a potem resztki ognia w piecu zagasił. Gruba ciemność zaległa izbę, w której przez parę minut słyhać jeszcze było szelest rozbierania się Franki, a potem już tylko szemrały w niej ciche oddechy dwu głęboko uspiionych istot: kobiety i dziecka. Lecz u przeciwległej ściany długo w noc i co chwilę ciężkie ciało z szelestem i stukiem przewracało się na twardej ławie, odzywały się długie westchnienia i głośny szept, to z żalością i rozpaczą, to z trwogą i skruchą, boskie imiona wymawiał. Była tam widocznie dusza ludzka burzą sprzecznych uczuć dręczona i miotana. Dlaczego?

Wszak to małe stworzenie, które jak ptaszę nie mające gniazda niespodzianie do jego chaty spadło, nie uwiadomiło go o niczym, o czym by on i przedtem dobrze nie wiedział. Tak, ale świadomość tę ono w żywe kształty przyoblekło, w niezbity dowód zaopatrzyło; było ostrzem, które uwięzło w ranie jego serca nie pozwalając mu już ani na chwilę o niej zapomnieć, i ognistą literą wyraźnie wypisującą przed nim to, co on za grzech poczytywał i czym się brzydził. W tę noc długą, czarną był pewnym, że aniołowie i czarty szarpią go i rozdierają, wzajem sobie duszę jego wyrywając. Litość i radość, to wściekłość i rozpacz z kolei go zdejmowały. Dłonie i palce tak silnie splatał, że w grubej ciemności wraz z westchnieniami: „O Jezu, Jezu, Jezu!” słyhać było suche trzeszczenie stawów. Co tu robić? Czy gdy dzień zaświta, pieniędzy jej dać, wszystko choćby, co w chacie jest, oddać, i powiedzieć jej, aby razem ze swoim bękartem szła sobie precz, w świat na zatracenie? Na zatracenie! A przysiągł przed Bogiem i samym sobą, że od zatracenia ją wyratuje! Onaż po ten ratunek do niego przyszła i może to teraz taka u niej minuta nastąpiła, że czarta wyrzeczese się, a dobrą i pocziwą zostanie? Gdzie tam! Nadzieja mała! Kiedy to było, żeby pijak wódki się

wyrzekł? ona zaś, choć wódki nie pije — pijaczka! A w dodatku bękartą tego na zawsze już do chaty wzięść i z jej grzechem a swoim wstydem popisywać się przed ludźmi. Toż będą w całej wsi ludzie rohotać, że on a k a j s k i e dziecko hoduje! Wstyd! Oj, i żałość taka, że serce, zdaje się, całe krwią oblane.

— Nie chaczu — gwałtownie zaszeptał — za niszto nie chaczu!

Ale jeżeli teraz z chaty ją wyprawi, ona już nie powróci nigdy i on nigdy jej nie zobaczy, na te jej oczy świecące nie popatrzy, tych jej włosów, jak krucze skrzydła czarnych, nie pogłodzi, tego jej śmiechu głośnego, długiego, który nad życie lubił, nie posłyszysz. Z głuchym łkaniem tym razem połączony w ciemności rozległ się szept:

— Nie mahu, oj, Bożeż mój, Boże, za nisz to n i e m a h u!

I jeszcze:

— Co mnie tu robić? Boże mój wszechmogący, co mnie tu począć, co robić?

Jednak gdy dość późny jeszcze świt marcowy siwawym światłem rozpraszać począł ciemności izby, Paweł spał. Niezupełnie rozebrany, bez butów tylko i siermięgi, którą pod głowę sobie był podłożył, leżał na wąskiej ławie w całej długości wyciągnięty, w białej płóciennej odzieży, więcej niż kiedykolwiek barczysty i ogromny. Jakkolwiek niedawno był zasnął, obudził się o zwykłej porze i od razu zapewne wszystko, co stało się wczoraj, przypomniawszy, na łokciu podjęty, z głową na rękę opartą, na łóżko naprzeciw stojące nieruchomo się zapatrzył.

Franka, niezupełnie także rozebrana, bez paltota i trzewików tylko, spała głęboko i twardo. Widać, że przed zaśnięciem, z twarzą wtuloną w poduszkę, płakała jeszcze, bo i teraz część jej policzków i czoła w poduszce tonęła, resztę zaś przezroczystą zasłoną okrywały i na plecy także spadające czarne jej, gęste, falujące włosy. Przez cienki, poplamiony kaftan ukazywała się widocznie kośćmi łopatek stercząca chudość jej pleców, a spod obłoconego brzegu spódnicy wydobywały się stopy w podziurawionych i brudnych pończochach. Jakiś rozchochrany nieład i uliczna błotnistość, ale też jakaś niezgłębiona nędza i wielkie nieszczęście były od tej uśpionej, skurczonej postaci o rozpuszczonych ślicznych włosach i przeglądającej zza nich żółtej skórze twarzy. Paweł, z dwoma grubymi fałdami na czole, wlepił w nią dziwne, bo wilgotne, chciwe a razem ponure wejrzenie. Nagle po omglonym i posępnych cieniach nalany błękit jego źrenic przemknął nieledwie wesoły promień, a na zwarte, surowe usta spadł słaby, ale łagodny uśmiech. Jaskrawo czerwony punkcik, dotąd nieruchomo i bez wyraźnych kształtów obok ciemnego kaftana Franki leżący, wzdał się, poruszył i wydobył z siebie naprzód parę bosych, drobnych stópek, potem małą głowę z tak prawie żółtą, jak wosk, twarzą i wznoszącą się nad nią roztarganą kądzielą lnianą, na koniec parę drobniejszych jeszcze niż stopy rączyn, które ze strzępi podartych rękawów wydobyte wzniosły się ku kądzieli i w niej utonęły. Nowością miejsca, w którym się znalazło, tułaczę to dziecko bynajmniej nie przerażone, ze stopkami trochę za pościel wystającymi, a rękami zatopionymi we włosach, poczęło owszem powoli, z głębokim jakby zamyśleniem, wlepiac swe czarne, wielkie oczy w różne z kolei punkty izby. Czy widok leżącego na stole chleba je ucieszył, czy zaciekawił mętny w sinym świetle błysk opartego o ścianę łomu, ale wyprostowało się ono, szerzej oczy otworzyło i z zadziwionym wzruszeniem ramion, z cichym chichotem zaszcebiotało:

— Chli-chli-chli-li-li-li!

Zupełnie nie wiadomo, z jakiego języka dźwięki te pochodziły i co oznaczały, lecz na ustach Pawła rozszerzył się uśmiech, a oczy jego wciąż kierunek dziecięcych oczu ściagały, aż spojrzeniem spotkały się z ich zadziwionym i trochę już przestraszonym spojrzeniem. Widok nieznanego człowieka przestraszył nieco dziecko. Znieruchomiało i ręce od włosów odrywając jedną ze swych małych stóp, niby odporny oręż, nimi pochwyciło. U przeciwległej ścianie rozległ się szept:



— Chadzi tu...

Jednocześnie ruchem głowy i palca Paweł dziecko ku sobie przyzywał, ale ono bosą stopkę coraz wyżej ku piersiom podnosząc już, już do wybuchnięcia płaczem blade usta wykrzywiać zaczęło, gdy na ławie leżący i na łokciu wsparty człowiek powtórzył:

— Chadzi, cukru dam...

W mgnieniu oka bosa stopka ze ściskających ją z całej siły rączyn wypadła i wraz z drugą swą towarzyszką ku ziemi opuszczać się zaczęła. Zarazem po izbie szarym światłem napełnionej, ni to dzwonienie monotonne i srebrne, ni to gruchanie synogarlicy, rozległy się dźwięki:

— Ciuk-lu! Ciuk-lu! Ciuk-lu!

Paweł wstał z ławy i ku czerwonej szafce szedł, a za nim po glinianej podłodze bose, dziecinne stopki tętniały prędko, prędko... Gdy z kawałkiem cukru w palcach odwrócił się od szafki, u samych stóp jego stało malutkie, czerwone stworzonko ze wzniesionymi ku niemu czarnymi oczami i cienkimi, chudymi ramionami.

— Daj... daj... daj!... — na całą izbę dzwonił cienki głosik.

Czerwona sukienka dziecinna czarnymi cętkami usiana przywiodła mu na pamięć owad malutki, śliczny, nieszkodliwy, w lecie kołyszący się na zielonych trawach. Pochylił się, dziecko, które już cukier smoktało, w ramiona wziął.

— Oj, ty, boża krówko maleniczka! — zaszeptał — boskie stworzenie, niczemu nie winne!

Na kolanach je trzymając u okna na ławie usiadł. Teraz już z drugiej strony chaty, kędyś za Niemnem, słońce wschodziło i w siną szarość świtu rzucało smugi bladoróżowej i złotej światłości. Na podwórku Koźluków, przez okno Pawła zza przezroczystego płotu widzialnym, od zamkniętych jeszcze drzwi chaty ku śmietniku, a stamtąd ku wrotom, węsząc coś, czegoś szukając, biegał żółty Kurta. Dziecko w jednym ręku spory kawał chleba, a w drugim cukier trzymając przez małe szyby chciwym wzrokiem ruchy psa ścigało, aż zaszczębiało:

— Ciu-cia! Ciu-cia!

— Ciucia... sobaczka! — odpowiedział Paweł. Dźwiękiem jego głosu zdziwione czy zaciekawione

dziecko całą twarzą zwróciło się ku niemu i z namysłem jakby zapytało:

— A ti... ti... kto?

Kiedy zaś nie odpowiadał i z dwoma znowu grubymi fałdami na czole w milczeniu na nie spoglądał, drobną ręką targać go za rękaw koszuli zaczęło.

— Kto ti? kto ti? kto? kto? — brzmiało znowu po izbie ni to srebrne dzwonienie, ni to szczębiot wróbla.

A gdy Paweł nie odpowiadał jeszcze, o pytaniu swym zapominając wykrzyknęło:

— Ki-cia!

Za oknem, pod płotem, chyłkiem przebiegającego kota zobaczyło.

Kiedy Franka obudziła się i powieki podniosła, w oczach jej odmalowało się zdumienie z przerażeniem graniczące. Paweł siedział u okna profilem do izby zwrócony i w szerokich swych dłoniach trzymał dziecko, które na kolanach jego stojąc drobne palce zatapiało mu w krótkim i siwiejącym zaroście. Szybko zsunęła się z pościeli, nie wkładając trzewików cicho ku oknu podeszła i taki ruch uczyniła, jakby chciała dziecko z kolan jego wziąć. Obejrzał się, wzrokiem spotkał jej przestraszone spojrzenie i bliżej ku sobie przygarniając dziecko krótko rzekł:

— Nie trzeba!

— Dokuczy! — zauważyła z cicha.

Nie odpowiedział nic. Widocznie chora, drżała na całym ciele, choć w chacie wcale zimno nie

było, i otulała się swoim podartym kaftanem.

— Może ogień rozpalić? — zapytała.

— Rozpal.

Zaczęła krzątać się około pieca; mimowolne stękania wyrywały się z jej piersi i obu dłońmi chwytala się czasem za głowę. Jednak ogień roznieciła prędko; dziecko z kolan Pawła zeskoczywszy dreptało za nią przypatrując się jej robocie, a na widok ognia, który wesołym i wielkim płomieniem buchnął w piecu, z radości krzyknęło. Do ognia twarzą zwrócona, zapytała znowu:

— Może kartofli obrać i zgotować?

— Zgotuj — odpowiedział i z ławy wstawszy siermięgę i buty w milczeniu włożył.

Potem kawał chleba z bochna ukroiwszy do kieszeni go schował i ku drzwiom z czapką w ręku szedł. Przed drzwiami zatrzymał się, na kobietę przed ogniem stojącą spojrzął, a spotkawszy się z jej ciekawym i niespokojnym wzrokiem, powieki spuścił.

— Wszystko w chacie na tym samym miejscu, gdzie i dawniej było — zniżonym, ciężko z piersi dobywającym się głosem zaczął — bierz, gotuj, jedz i dziecku dawaj. Rób, co chcesz. Ty tu znów taka sama gospodyni, jak i wprzód była, i wszystko tu, tak samo jak i wprzód, twoje!

Cała naprzód podana, z trwogą w oczach i gorączkowym drżeniem całego ciała wsłuchiwała się w jego słowa, a przy ostatnich uczyniła ruch taki, jakby rzucić się ku niemu chciała. Ale on prędko zwrócił się ku drzwiom i z progu, nie oglądając się, rzekł jeszcze:

— Przed wieczorem powrócę... Jeżeli boisz się sama zostawać, drzwi na zasuwkę zamknij!

Nie gniewał się już i stanowcze postanowienie powziął, ale było w nim jeszcze coś, co go ku wolnemu powietrzu, ku bystrej, burzliwej wodzie ciągnęło. Dwa wiosła w sieni stojące wziął i o ramiona je oparłszy szerokimi krokami z góry zstąpił. Wkrótce wśród szerokiego szlaku rozlanej rzeki czółno jego, jak czarny punkcik na ciemnych falach wznosząc się i opadając, z szybkością ptasią w dal pomykało, a przed nim, za nim, wkoło niego rozlegał się szumny i nieprzerwany śpiew bystrej, burzliwej wody. Szumnie i nieprzerwanie śpiewała mu ona teraz o ranach zdradzonej miłości i żądłach zazdrości i o słodyczach nadziei zmieszanych z trucizną wspomnień, przede wszystkim zaś może, przede wszystkim o tym zadaniu ludzkim, dobrym, świętym — ratowania i zbawiania, które już było zniknęło mu z oczu, a teraz znowu przed nim powstawało i blask podobny do księżycowego światła rzucało na postarzałe, siwiejącymi włosy okolone jego oblicze.

Na godzinę przed zmrokiem wszedł do chaty i zobaczył Frankę na łóżku leżącą. Nie spała i ujrawszy wchodzącego szybko na pościeli usiadła z głowy wilgotną chustkę zrywając.

Stawiając u ściany wiosła zapytał:

— Głowa boli?

Odpowiedziała, że teraz jest jej daleko już lepiej; odpoczęła.

— To i dobrze, że odpoczęła... A po krótkiej chwili zapytał:

— Chtawian śpi?

Zasnął. Cały dzień dokazywał tak, że niech Pan Bóg broni, wszystko w izbie ruszał pytając się: co to? co to? a ona bała się bardzo, aby czego nie zepsuł i szkody jakiej, broń Boże, nie zrobił. Ale teraz już, chwala Bogu, zasnął... Wszystko to mówiła trochę już śmielej i głośniej, ale z siedzenia nie wstawała, a w mówieniu i postawie czuć jeszcze było trwogę i niepewność. Po chwili rzekła:

— Kaszy gryczanej zgotowałam... w piecu stoi i pewno gorąca.

Paweł wyjął z pieca garnek i kawał chleba z bochna ukroił. Jadł powoli, dość długo, nie przy stole jednak, ale przed piecem stojąc, jakby mu pilno było z jedzeniem się załatwić. Potem na ławie siadł i do kobiety nieruchomo na łóżku siedzącej przemówił:

— Chodźże tu, pogadamy! Głos jego brzmiał łagodnie.

Kiedy Franka zsuwała się z pościeli i przez izbę przechodziła, ruchy jej miały już w sobie coś z dawnej żywości i gibkiej, kociej gracji. Jednak nie otoczyła, jak dawniej, ramieniem szyi człowieka, obok którego usiadła, i na kształt rozpieszczonej kotki nie zwinęła się u jego piersi. Z rękami na kolana opuszczonymi siedziała milcząc i czekając. Choć łagodnie już do niej przemawiał, choć powiedział, że ona tu gospodynią jest tak, jak i wprzód, wcale jeszcze pewną nie była, co jej teraz powie i jak z nią postąpi.

— Nu — przemówił — dużo biedy i poniewierki nacierpiałas się? Kontenta teraz, że ode mnie w świat poszła i znów drogi do piekła spróbowała? Miła musi ta droga, kiedy przyszedłaś nazad jak ta szczepa wychudła, chora i tak jak goła? ha? Czemu szła i czemu powróciła? gadajże!

O, tylko tego i tak wymówionego wezwania trzeba było, aby otworzyły się wszystkie długo zamknięte upusty jej obfitej i burzliwej mowy, aby niepowstrzymanym strumieniem wylewać się z niej zaczął przez te nowe lata włóczęgi nakipiały w jej piersi war goryczy, zażaleń, gniewu. Jak błyskawica przemknęło jej przez głowę wspomnienie dalekiej chwili, w której na wyspie wśród śnieżnych gwoździków powiedziała temu człowiekowi wszystko, wszystko, a on wtedy obszedł się z nią jak ojciec! z dzieckiem, jak spowiednik z pokutnicą i nawet odtąd lubić ją zaczął. Wspomnienie to ośmieliło ją do reszty i nowy bodziec dało chęci wywnętrzania się, i bez tego już ją palącej. Ze zwykłą więc sobie, żadnymi względami nie powściąganą, ognistą i hardą szczerością opowiedziała mu naprzód, że w tym lokaju zakochała się jak szalona; sama nawet nie wie, jak i kiedy się to stało, ale ot, wprost przepadała za nim, żyć bez niego nie mogła. A on jej znów przysięgał, że wiecznie ją kochać będzie i że jej nigdy nie opuści. A tak słodko mówił, taki był delikatny i zawsze ładnie ubrany, jak pan. Bo też i z dobrej rodziny pochodził. Ojciec jego nawet szlachcicem był, a dzieci z biedy tylko w służbę poszły. Ona, gdy tylko go zobaczyła, poznała, że on z dobrej rodziny pochodzi, i to ją do niego od razu pociągnęło. Z początku było jej w mieście bardzo dobrze i wesoło. Służbę znalazła w takim domu, gdzie sług było dużo i roboty niewiele. Karol prawie co dzień do niej przychodził; w niedziele i święta na spacer i do teatru ją prowadził. Było tak miesiące kilka, aż tu bach! wziął i wyjechał. Z panem tym, u którego służył, do dalekiego, wielkiego miasta wyjechał. Żegnając się z nią jak bóbr płakał, ale mówił, że takiej służby, jak u tego pana, i takich korzyści, jak te, które z niej ma, na całym świecie nie znajdzie, więc wariatem byłby, gdyby się jej wyrzekał. Co wypłakała, co nabłagała się, aby ją z sobą wziął, a on tak samo płacząc nie zgadzał się i nie zgadzał. „Co ja tam z tobą będę robić? na co ty mnie tam potrzebna?” I pojechał, a ona za nim cościś we dwa tygodnie po jego wyjeździe, pojechała. Myślała, że do tego miasta, w którym on był, dojedzie i że on jej w tym wielkim nieszczęściu, które nadchodziło, z pomocą stanie. Ale już tylko niewiele drogi ujechała i w innym zupełnie mieście nieszczęście ją zaskoczyło. Urodziło się dziecko. Dała mu na chrzcie imię Oktawian, bo to bardzo piękne imię i między prostymi ludźmi nie używane. Do Karola pisać nawet nie mogła, bo nie wiedziała ani ulicy, ani domu, w którym ze swoim panem mieszkał. On albo nie wiedział sam o tym, kiedy się z nią żegnał, albo powiedzieć nie chciał. Zniosłaż ona wtedy nędzę taką, jakiej nigdy jeszcze nie znosiła! Wszystkie pieniądze, które miała, wydała na najęcie kąta w izbie ja kiejś praczki, a na jedzenie sprzedawała potem suknie i drobiazgi, jakie sobie w czasie ostatniej swej służby była kupiła. W nieznanym mieście niełatwo było o służbę. Przez kilka miesięcy najmowała się po domach do prania bielizny i nawet do mycia podłóg, a że dziecko przy tym karmiła i niewygody różne znosiła, sił jej często brakło i albo nic, albo bardzo mało zarobić mogła. Potem jednak służbę znalazła, dziecko u tej praczki za zapłatą zostawiła i przez czas jakiś nieźle by jej było, gdyby zgryzota, i żałość, i złość na tego niegodziwca, co ją stąd wyciągnął, a potem w najnieszczęśliwszym położeniu porzucił, nie piekły i nie męczyły tak, że suknię na sobie czasem w drobne kawałki darła, a w głowie jakby turkot dziesięciu wozów i szumienie dziesięciu

samowarów czuła. Bywała też czasem złą, wtedy szczególnie, kiedy o Pawle, o jego dobroci, o tej chacie cicheńskiej i mileńskiej, z której dobrowolnie uciekła, pomyślała; bywała tak złą, że, zdaje się, zabiłaby każdego, kto by jej w oczy wlaźł. Wlaźła jej raz w oczy kucharka, także złośnica wielka, pokłóciły się i ona tej kucharce garnek z gorącą wodą na głowę rzuciła. Gwałt w domu podniósł się wielki; przed sądem ją oskarżyli, sąd ją na trzy miesiące więzienia skazał albo na zapłacenie kucharce nie pamięta już wiele pieniędzy, a że tyle pieniędzy ona nie miała, więc do więzienia poszła. Ot, napatrzyła się tam różnych różności! ot, nasłuchiwała się! Jedna z tych kobiet, z którymi razem w więzieniu siedziała, męża swego otruła, druga dziecko zadusiła, kilka było takich, co domy podpalały albo całe życie kradły. Wstyd jej było z takimi zbrodniarkami siedzieć, a do tego, że i proste to były kobiety, same prawie chamki i po chamsku mówiące. Coraz to większy turkot, szum i ból w głowie czuła, aż gdy ją z więzienia wypuścili, tyle tylko, że do dziecka zawlekła się, wycalowała je, nad ciężką dolą jego zapłakała i do szpitala poszła. Tam przebyła miesiące kilka na dziwną jakąś słabość chorując. Gorączki prawie nie miała, a jednak często bywała nieprzytomną i śmiechów jakichś albo płaczów dostawała takich, że ledwie, ledwie wśród nich ducha nie wyziewała. Kiedy ją to napadało, kołdry szpitalne na kawałki darła i szklanki, w których jej lekarstwo dawano, tłukła. Na koniec ją jednak od nieprzytomności i od tych śmiechów i płaczów doktorowie wyleczyli, a nawet to zrobili, że turkot w głowie ustał i silniejszą niż przed chorobą się uczuła. Ze szpitala wyszła i taka ją chęć wrócenia do Pawła zdjęła, jakby temu, kto pić chce, trzy dni wody nie dawali. „Pójdę i pójdę” — myślała sobie. Znowu do prania bielizny i mycia podłóg najmować się zaczęła, ale nie bardzo kto chciał ją do domu przyjmować, bo wszyscy wiedzieli, że z więzienia tylko co wyszła. A tu ta praczka ani jej, ani dziecka dłużej już u siebie trzymać nie chciała. Co tu począć? gdzie tu podziąć się — i jeszcze z dzieckiem! Uczuła, że znowu siły traci i szumieć jej w głowie zaczyna... Sprzedała tedy wszystko, co jeszcze miała, nawet jedną z dwóch koszul; praczka też ta, dość litościwa, u jakichś znajomych państwa kilka rubli dla niej uprosiła, zabrała więc dziecko i pojechała. Wprzód koleją jechała, a od najbliższego miasta jednokonną furmanką chłop jakiś za złotówkę ją tu przywiózł, bo mu po drodze było, i zaraz też, jak tylko przed wrotami Pawła z wozu wysiadła, dalej sobie pojechał... Ot, i wszystko!

Nie było to mało. Z oczu opowiadającej łzy ciekły cicho. Nie wybuchała tym razem głośnym i spazmatycznym płaczem, ale łzy cicho, ciągle ciekły po jej zapadłych policzkach i gęstym deszczem na ręce chude i na plamy kaftana spadały. Paweł zaś z głową zwieszoną słuchał i milczał; dopiero gdy mówić przestała, a rękami oczy i twarz z łez ocierać zaczęła, ze wzrokiem w ziemię utkwionym z cicha wymówił:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

I wyglądał przy tym tak, jakby go znowu i odwaga, i spokój, i wszelkie powzięte postanowienia opuszczały.

Ona pierwszych słów jego teraz, gdy już o wszystkim wiedział, jak wyroku śmierci lub życia oczekiwała, oddech nawet w sobie tłumiąc, u ściany skurczona i drżąca. Po prędkiej, czasem ostrej i gniewnej a czasem płaczelivej jej mowie zapanowało w izbie głuche milczenie, przerywane tylko ciężkim oddechem Pawła i z dala dochodzącym głuchym szmerem rzeki. Trwało tak dość długo, gdy u przeciwległej ściany dało się słyszeć naprzód ciche i niewyraźne skwierczenie, a potem cienki, żalony głosik zawołał:

— Ma-mo! ma-mo!

Ona niepewnością tego, co spotkać ją miało, zdjęta żadnego poruszenia nie uczyniła; Paweł zaś podniósł zwieszoną dotąd głowę.

— Chtawian obudził się; idź, zobacz go...

Poszła i dziecko na ręce wzięść chciała, ale ono kapryśnym ruchem objąć jej unknąwszy zsunęło się z pościeli i do Pawła, który teraz u okna stał, pobiegło. Od kąta do kąta izby zadzwonił cienki głosik:

— Chli-chli-chli-chlip-ka!

Paweł tę przybiegającą mu do stóp „bożą krówkę” w ramionach z ziemi podniósł.

— Chlebka chcesz? ha? chlebka chcesz? — zapytał i w mizerną, niewinną twarz dziecka długo patrzył.

Można by mniemać, że oczy od jakiegoś jaskrawego, ohydneho widoku rozbolałe widokiem tej dziecięcej nędzy i niewinności poił i goił.

— Chlebka chcesz? — powtórzył — chcesz chlebka? Ale Chtawian o chlebku nie myślał wcale, syty był i czarne oczy szeroko rozwarte utkwiał w szybie, przez którą znowu widać było poważnie tym razem siedzącego u wrót Kurtę. Mały palec ku szybie wyciągał i zaszczebotał:

— Ciu-cia! ciu-cia!

— Sobaczka! — rzekł Paweł.

— Sio-bać-ka! — powtórzył Chtawian.

I zaraz potem ku człowiekowi, który na ręku swym go trzymał, zwracając się poważnie zapytał:

— A ti kto?

I kilka jeszcze razy z rana już zadawane przez się pytanie ze śmiechem, z natarczywością, z rękami w zarost Pawła zatopionymi powtórzył:

— Kto ti? kto ti? kto ti?

Paweł nie spuszczać z niego oczu uśmiechał się coraz wyraźniej i weselej.

— Tato! — odpowiedział.

— Ta-to? — ze zdziwieniem jakby przechylając na bok główkę zapytało dziecko.

— A tato! — powtórzył Paweł i w tejże chwili uczuł, że niby węże cienkie i gibkie ramiona kolana mu obejmują.

Franka klęcząc do kolan jego głowę tuliła i dziękowała mu, dziękowała, bo teraz dopiero uwierzyła, że jej z chaty swej nie wypędzi i dla dziecka jej ojcem będzie. Jak wzburzony kipiątek wylewały się z niej słowa wdzięczności, radości, podziwienia dla jego dobroci. Potem zaczęła przysięgać, że teraz już zawsze, zawsze poczciwą i posłuszną będzie, a jego kochać i szanować nie przestanie do śmierci; jeźliby zaś kiedy przestała, sama sobie pętlę na szyi zawiąże lub otruje się, aby ziemia takiego potwora już nie nosiła, jakim by ona była wtedy. Paweł dziecko na ziemi postawił, a rozplakaną, u kolan jego po ziemi pełzającą kobietę na ławie posadził, a kiedy szlochać, dziękować, przysięgać nie przestawała, sam przy niej usiadł i z cicha, łagodnie przemówił:

— Cicho! no, cichoż już, moja ty biedna! moja ty nieszczęśliwa! cicho! cicho!

W ręce go całowała, ale przybliżyć się do niego, objąć go nie śmiała jeszcze. Uspakajając się powoli, prędkim, gorączkowym szeptem mówiła:

— Od śmierci ty mnie, Pawełku, oj, drogieńki ty mój, złoty, brylantowy, od śmierci ty mnie wyratował, bo już ja takie postanowienie miałam, że jeżeli ty mnie nie przyjmiesz, wypędzisz to dziecko pod jakim progiem zostawię, a sama otruję się...

Do kieszeni sukni sięgnęła i wyjęty z niej papierek rozwinąwszy ukazała w nim trochę białego proszku.

— Widzisz? trucizna...

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się Paweł. — I do tego jeszcze czort ciebie kusił? Skądże ty wzięła tę truciznę?

Oho! ona, kiedy czego bardzo chce, zawsze na swoim postawić musi. Ta kobieta, która razem z

nią w więzieniu za otrucie męża siedziała, rozpowiedziała jej, gdzie i jak trucizny dostać można. A ona jadąc tu myślała sobie: „Jeżeli Paweł mnie wypędzi, to albo powieszę się, albo otruję.” Ale wieszac się brzydko. Tylko prości ludzie wieszają się. Dostała więc sobie trucizny, ale teraz już jej nie potrzebuje, bo Pawełek jej wszystko darował i ona znowu będzie jego kochać, szanować i w tej mileńkiej chateczce spokojnie sobie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem, siedzieć. Przy ostatnich słowach papierek z białym proszkiem na powrót do kieszeni wsunęła i z ławy zerwawszy się, w dłonie klaszcząc, chichocząc, parę razy jak wiewiórka podskoczyła. Ale Pawła jakby strach nagły i dziwny ogarnął.

— Aaa! jak tu ciemno zrobiło się — zauważył i prędko izbę przeszedłszy lampkę zapalił.

Chtawian u stóp wielkiego pieca na ziemi siedząc węgle w garnku przesypanywał i padaniu ich w głąb garnka głośnymi wykrzykami wtórzył:

— Ba-ba-ba-bach!

Franka do dziecka przyskoczyła i tak gwałtownie całować je zaczęła, że aż krzyknęło z bólu.

— Oddaj węgle — mówiła — oddaj, samowarek nastawię i herbatka będzie... herbatka... batka!

A gdy dziecko upierało się przy zostawieniu mu garnka, po plecach je dłonią uderzyła. Chtawian głośno zapłakał. Paweł surowo ozwał się:

— Za co bijesz? Daj jego tu!

Po sposobie, w jaki zawijała się około nastawiania samowara i przyrządzania herbaty, widać było, że teraz dopiero, ale już zupełnie, uczyła się tu taką samą jak dawniej gospodynią. We troje potem herbatę z chlebem razowym pili; dziecko było wesołe, Franka gadatliwie i zupełnie już śmiało o znajomych we wsi wypytywała się; Paweł coraz łagodniejszym i pogodniejszym się stawał. Kiedy na koniec Chtawian na pościeli złożony usnął, a Franka przycichła i poziewać zaczęła, Paweł wstał z ławy i rzekł: — Nu, Franka, teraz razem pacierze odmówim...

Ze zdziwieniem na niego patrzyła, on zaś rzekł jeszcze:

— A toż! Bez Boga ty do tego czasu żyła i c z o r t przystęp do ciebie miał. I ja kiepsko postąpił, że od razu do Pana Boga i do świętej modlitwy ciebie nie namawiał. Teraz ty znów z drogi do piekła uciekła i może już nie powrócisz, może upamiętasz się i wszystko dobrze będzie... W świętej książce pisze, że Syon rozmiłował się w Przenajświętszej Pannie Marii... Może i ty rozmiłujesz się, i Ona ciebie od złego obroni... Klękaj i głośno powtarzaj za mną...

Ukląkł i obejrzał się, a widząc, że ona także uklękła, zaczął:

— W imię Ojca i Syna...

Głośno, powoli odmówił Ojcze nasz, Zdrowaś Maria i Wierzę w Boga, a ciągle przysłuchiwał się, czy ona każde słowo za nim wymawia, gdy zaś którego nie wymówiła, oglądał się na nią i mówił:

— Powtarzaj...

Po skończeniu Wierzę w Boga, nie wstając z klęczek, „Służbę bożą” ze stołu wziął i otworzył ją w miejscu, w którym założona była największym biletem dnia imienin France winszującym. Powoli, zgłoskę od zgłoski oddzielając czytać zaczął:

— Modlitwa o zwy-cię-stwo w-s-z-e —wszel, k-i-e — kie, wszel-kie-go na-ło-gu g-r-z-e — grze-cho-we-go.

I całą, niedługą zresztą modlitwę, jedne wyrazy z łatwością, inne z trudnością wy czytując, a niektóre sylabizując, przeczytał. Przeczytawszy, Kupidyna unoszącego na bilecie wieniec różany pobożnie pocałował, w tym samym miejscu książkę nim założył i przeżegnawszy się jeszcze, głośno z klęczek powstał. Pogodę wielką i znowu jakby łagodną jasność księżycy na twarzy miał. Wzrokiem szczęśliwym objął głowę Franki. Jak wprzód widok niewinności dziecięcej przebłągał go i ukoił,

tak teraz zdawało się, że wspólnie odmówiona z tą kobietą modlitwa zupełnie ją w oczach jego oczyściła. Po raz pierwszy, odkąd na nowo ją zobaczył, za szyję ją objął, głowę jej ku piersiom przyciągnął i twarz tak długo, gorąco całował, jak długo i chciwie człowiek spragniony pije źródlaną wodę.

— Oj, Franka! — szepnął — jak ja ciebie lubię, strach, jak ja ciebie lubię! Pan Bóg dopomoże, że ty już teraz dobra i pocziwa będziesz... już ja widzę, że ty sama tego prawdziwie żądasz... Pan Bóg dopomoże... oj! jakże ja ciebie lubię! mojaż ty miła! mojaż ty biedna, jak ja ciebie lubię!

Nazajutrz, prędko po wschodzie słońca, Chtawiana podartą chustką Franki owinał, na ręce wziął i do sieni wyszedł. Nim drzwi od podwórza otworzył, stał przed nimi chwilę w postaci człowieka wahającego się i z czymś wewnątrz walczącego. Trudno mu widać było z dzieckiem tym na rękę pokazać się przed ludźmi. Lakajskie dziecko! z końca świata przyniesione! Wstyd! Miał jednak przyczynę, dla której wszystkim pokazać chciał, że i z żoną pogodził się, i jej dziecko za swoje przyjął. Gęby im przez to pozamyka i do wiadomości da, że ani jej, ani dziecka krzywdzić nie pozwoli. W ostatniej przeciw chwili odwagi mu zabrakło, u samych drzwi zawahał się, parę minut postął, aż zaszeptał:

— Bogu przenajświętszemu na ofiarę... za jej nawrócenie... za zbawienie duszy grzesznej...

I wyszedł, chwilę przed progiem postął, a potem podwórko przeszedłszy we wrotach stanął. Dzień był od poprzedzających cieplejszy, słoneczny; z dachów padały brylantowe krople, w drzewach na zabój świegotały wróble, po szerokim polu biegły szlaki zielonych runi. Droga, przed wrotami, ten i ów z wiosłem, siekierą, łopatą przechodził i Pawła z dzieckiem na rękę we wrotach stojącego ujrzawszy, głową kiwał i „niech będzie pochwalony" albo „jak się macie?" mówił. Ale na dziecko z mężczyzn nikt uwagi nie zwracał. Niektórzy myśleli pewno, że jest to jedno z dzieci Ulany, a inni do pracy śpieszyli, swoje kłopoty i potrzeby mieli. Ale dwie kobiety też drogą przeszły; jedna z nich szeroko tylko oczy i usta otworzyła, na Pawła popatrzała i dalej poszła; druga zaś również z otworzonymi ustami stanęła, patrzyła, głową kiwała, aż przemówiła:

— A czyjeż to?

— Moje — uśmiechając się odpowiedział Paweł. Kobieta trochę wstydliwie a trochę złośliwie zachichotała:

— A kiedyż to Pan Bóg dał?

— A kiedy dał, to dał; dość że dał.

Chtawiana, który wszystkim, co otaczało go, zadziwiony spokojnie na rękach siedział, w głowę pocałował. Kobieta żwawo odeszła i na sąsiednie podwórko zawróciwszy w drzwiach Koźlukowej chaty zniknęła. We wnętrzu tej chaty rozległy się i aż do Pawła doszły odgłosy żywych rozmów, a po chwili Ulana, z niemowlęciem swym na rękę i trojgiem starszych dzieci otoczona, na podwórko wyszła. Wyszła, stanęła i dzieci stanęły zza spódnicy jej wychylając pyzate, rumiane twarze i jasnowłose głowy. Na wilgotnej trawie dziedzińca, w świetle słońca, bosa, w spódnicy kostek nie sięgającej i grubej, białej koszuli, dziećmi otoczona, wyglądała jak wcielenie zdrowia, płodności i z hożą młodością złączoną powagi. Poważnie, milcząc, choć i z ciekawością w oczach, na stojącego w oddali brata patrzyła. W progu ukazał się wysoki, przystojny Filip, zza którego ramienia wychyliła się bezwłosa jeszcze, ściągła, filuterna twarz Daniłka.

Paweł siostrę ujrzawszy powoli ku niej iść zaczął, a gdy już o krok jeden znalazł się przed nią, stanął i powolnym też głosem rzekł:

— Franka powróciła...

Ułana kiwnęła głową. Od wczoraj już wiedziała o tym od Daniłka, który zawsze wszystko wiedział, ale że Franka i dziecko z sobą przywiozła, nie dowiedział się, więc nikomu oznajmić nie

mógł. Teraz domyśliła się wszystkiego i na Chtawiana milcząc, ale z wyraźną niechęcią i wzgardą w oczach patrzyła. Filip nie mówił też nic, ale nagle, jakby przewyciężyć się nie mogąc, głośno splunął: Daniłko w ramieniu brata swawolny śmiech tłumić usiłował. Czoło Pawła zbiegło się znowu w dwie grube fałdy. Wzrok ku dziecku spuścił i rzekł:

— Niczemu ono nie winne... boskie stworzenie!

— Ale! — odpowiedziała Ulana.

Chtawian zaś do przelatującego wróbla palec wyciągnął i rzekł:

— Chli-chli-chli-li-li!

Wzrok Ulany trochę złagodniał, a Paweł po chwili milczenia ozwał się znowu:

— Ot, zwyczajnie... sierota!

— A toż...

Zawahala się trochę, palcami ramienia i piersi dziecka dotknęła.

— Ależ malenieczkie to i mizernieńkie; same kosteczki taj skóra... Weleż jemu?

— Rok i osiem miesięcy — odpowiedział Paweł. — Aaa! — zadziwiła się kobieta i na jedno z dzieci swoich popatrzyła. — Toż memu rok i dwanaście niedziel, a jakie!

Zadowolenie i duma rozlały się po rumianej, pełnej jej twarzy. Ale na sierotę z litością spojrziała.

Za to Filip ozwał się z proga:

— Dziewier, ej, dziewier, naszto tabiehetyj benkart? Czy tobie nie wstyd będzie w oczy ludziom patrzeć?

Pawła oczy zaświeciły

— Czego wstyd? Grzechu wstyd, a nad sierotą nieszczęśliwą zlitować się nijakiego wstydu nie ma. Ja Panu Bogu najwyższemu za niego dziękuję... Przy dziecku i jej milej w chacie będzie, łatwiej grzech od duszy odpędzi i dobrą s t a n i e...

— Oj! — pogardliwie i szydersko zaśmiał się Filip — k a b złym ludziom tak dobrze na świecie było, jak ona dobrą stanie. Tego nigdy nie będzie.

W tej samej chwili przez niski płot dwa podwórka roz-dzielający przeskoczyła Franka i ku rozmawiającym szybko, z głośnym śmiechem biegła. Twarz miała bardzo chudą, żółtą, ale uczesała się dziś gładko, krucze jej włosy pod blaskiem słońca lśniły jak jedwab i mieniły się ciemnym szafirem. Poplamiony swój kaftan kolorowym paskiem, zwanym d z i a h ą, przepasała i w tym nawet ubraniu zgrabna, obu ramionami uwisała od razu na szyi Ulany, w policzki, czoło i usta ją całując. Filipowi podała rękę, Daniłka dłonią po plecach i twarzy uderzyła.

— Jak się macie? — mówiła — jak się macie, moje mileńkie, złocieńkie, brylantowe! Dawnoż ja was nie widziała! A tobie, Ulanko, aż dwoje dzieci przez ten czas urodziło się! Ależ Daniłko wyrósł! Już teraz i mężczyzna z niego! Ot, widzicie, powróciłam, a Pawełek taki dobry, że mnie nawet złego słowa nie powiedział! Oj! jaki on dobry! takiego dobrego na całym świecie nie ma. Chatę wyprzątnęłam, ogień roznieciłam i do was, moje drogieńkie, przybiegłam, żeby z wami przywitać się!

Witała się; Ulanę i dzieci znów całowała, kręciła się, śmiała; zdawało się, jakby tym ludziom duszę swoją oddać by rada, jakby ich wszystkich z całego serca kochała. I w tej chwili kochała ich istotnie; uspokojoną się czuła, w Pawle znów rozkochaną, szczęśliwą. Przy tym ani cienia wstydu. Przed Pawłem wstydziła się była, gdy po wszystkim, co zaszło, do chaty jego, i jeszcze z dzieckiem, wracała. Ale tylko przed nim wstyd ten była uczuła i już zniknął on z niej bez śladu. Ulana ze zdziwienia w niemy słup się zmieniała; Filip wzgardliwie uśmiechał się pod wąsem, a Paweł poważnie ku niej podszedł.

— Weźmij dziecko — rzekł — i do chaty idź. Krowę wydój i obiad zgotuj, a c h u t k o, bo mnie



do miasteczka pojechać trzeba.

Posłuszna, Chtawiana na ręce wzięła i zaraz odeszła. Paweł poprosił szwagra, aby mu konia na godzin kilka pożyczył i ku stajence po niego poszedł. Ulana wchodząc z dziećmi do izby, w której Filip coś już młotkiem i heblem około nowych desek robił, z gniewem rzekła:

— Żeby ona była wprzód skręciła się, nim tu powróciła. Znowu dnia spokojnego przez nią nie będzie i jeszcze kiedykolwiek dzieciom co zrobi...

— Niechaj spróbuje! — wpółgroźnie, wpółzartobliwie odezwał się Filip.

Było to przypomnienie kilku gwałtownych kłótni, które przed ucieczką swą Franka, nowymi požądaniami swymi i niechęcią do Pawła uczuwaną rozjątrzona, z siostrą męża stoczyła i z których ostatnią zakończyła pogrózkami, że dzieciom karki poskręca i całe jej chamskie plemię wydusi. Filip śmiał się z tych pogrózek, ale w macierzyńskie serce Ulany głęboko one zapadły.

Paweł dnia tego do miasteczka po odzież dla Franki i dziecka pojechał.

W parę miesięcy potem Awdocia w niedzielę, niedaleko swojej chaty na bujnej już trawie siedząc i stare kości na słońcu wygrzewając, idącego brzegiem rzeki Pawła ku sobie przywoływała:

— Kumie! a! Kumie! Pauluk czujesz? chadzi tutki, Pauluk!

Wołanie jej usłyszawszy z ochotą na górę wszedł. Idąc trzymał się znowu prosto; ruchy jego dawną rzeźkość odzyskały. Gdy stanął już przed nią, baba głowę w czerwonej i na słońcu iskrzącej się chustce ku niemu podniosła.

— A co? — zapytała.

Bez dalszych objaśnień pytanie jej zrozumiał i z uśmiechem odpowiedział:

— A nic, dobrze. Wszystko, chwała Bogu, dobrze! Żeby tak dobrze do końca życia było.

Jakby do dłuższej pogawędki, ramieniem oparł się o drzewo, pod którym siedziała Awdocia. Ona zaś z twarzą ciągle ku niemu podniesioną szeptała:

— A ja wczoraj w twojej chacie była, na was i na wasze życie popatrzeć chciała. Ciebie nie widziałam, bo jeszcze z rzeki nie powrócił, a ją widziałam... Nie taka jak wprzód była, troszkę insza...

— A Chtawiana widziała? — zapytał Paweł.

— Żeby nie! I na ręce wzięłam... taki leciusieńki jak te piórko...

— Mileńki — zauważył Paweł.

— Ale! biednieńki, taki chudzieńki...

— Już teraz nie taki... troszkę poprawił się.

— Ale! nad sirotoju Boh z kaletuju! — przysłowiem tę część rozmowy swojej z Pawłem zakończyła Awdocia, ale widocznym było, że o czymś jeszcze, daleko ważniejszym, pomówić z nim chciała. Od blasku powietrza mrużącymi się oczami na niego patrząc, z brodą na obu dłoniach opartą, ciszej jeszcze zauważyła:

— A Franka ogród kopie...

— Kopie! — z głębokim zadowoleniem odpowiedział Paweł — cały ogród skopała. I wszystko robi: gotuje, krowę doi, szmaty pierze... chleb piecze... już tak jej jest przykazane...

— Ty przykazujesz?

— A ja. Co dzień ranieńko ją obudzę, pacierze z sobą odmówić każę, a potem do wszelakiej roboty gnam... Tylko po wodę do rzeki chodzić nie przykazuję, bo do tego już ona niesilna... ale do czego tylko silna, to i musi robić...

— A słuchaż ona ciebie?

Głową potwierdzająco skinął.

— Słucha. Choć czasem i zagniewa się, a posłuchać musi. Już teraz nic nie pomoże: nijakie jej

gniewanie się i nijakie całowanie nie pomoże... ona swoje, a ja swoje. „Pracuj, mówię, Pan Bóg każdemu człowiekowi na świecie pracować przykazał... Święta modlitwa, mówię, c z o r t u do ciebie przystępu nie da, a przy robocie różne paskudztwa do głowy tobie przychodzić nie będą.” Ot, jak ja z nią teraz postępuję.

— Dobrze, Pauluk, ot, tak to dobrze! — energicznie potwierdziła Awdocia — ja tobie i wprzódy mówiła, że tak trzeba robić, panowania jej nijakiego nie dawać...

— Wprzódy mnie zdawało się — z rozwągą mówił Paweł — że jak ja jej po tej niewoli, co ona przez całe życie znosiła, wolę dam i jak jej dobrze na świecie będzie, to i ona do złego ochoty nie poczuje. Ale potem i poznałem, że ze wszystkim inaczej trzeba mnie było robić. Teraz już ją przez świętą modlitwę do Pana Boga prowadzę, a przez napominanie i robotę od czorta odprowadzam. Już teraz ona u mnie żadnego pobłażania nie ma. Kiedy co złego zrobi, to napomnę i wykrzyczę...

Od ciekawości wielkiej powieki Awdoci nad biegającymi źrenicami zamrugały.

— A co ona takiego zrobiła? Jakie ona złe zrobiła? — zaszeptała śpiesznie.

Ale Paweł niedbały gest ręką uczynił; uśmiech z ust, a pogoda z czoła mu nie znikają.

— Głupstwo! — odpowiedział — kiedy ogród kopała, z Ulaną klócić się zaczęła, a dwa dni temu, jak rano wstawać bardzo już nie chciała, nadaremnie dziecko wybiła. Taki już w niej charakter, nadto prędko... Ja ją i za klócenie się, i za bicie niewinnego dziecka wykrzyczałem... Tak płakała, że niech Pan Bóg broni, a mnie najgorzej, jak ona płacze. Zdaje się, że i życie zaraz oddałbym, żeby tylko nie płakała. Ale już i to nie pomoże... już żeby nie wiem jak płakała, taki napomnę i wykrzyczę... Niedługoż już tego będzie... prędko już i nie będzie za co krzyżeć...

— Czemu? — zapytała Awdocia.

— Ot, i rozumna baba, a jeszcze pyta się: czemu? — zaśmiał się Paweł. — A toż modlitwa święta, a toż napominanie, robota! Żebyż już i modlitwa święta, i napominanie, i robota złego nie przemogły, chybaży koniec świata nastąpił. Przemogą, jak Pan Bóg wszechmogący na niebie jest, tak przemogą. Może i nie zaraz, może i czasu troszkę na to trzeba, ale przemogą.

W uśmiechu jego naprzód, a potem w spokojnej, prawie uroczystej powadze czuć było przekonanie silne i głębokie. Jak przedtem mocno i niezachwianie wierzył w opokową moc przysięgi i w to także, że człowiek, któremu dobrze jest na świecie, do złego pociągu mieć nie może, tak teraz o konieczności zbawczego działania modlitwy, upomnień i pracy przekonany był głęboko i silnie. Awdocia tę jego nową filozofię daleko lepiej rozumiała niż uprzednią, a nawet zgadzała się ona zupełnie z jej własnym zdaniem. Głową też potakująco trzęsła.

— Dobrze — mówiła — dobre, twa ja prauka, Pauluczku! Modlitwa święta wszystko może i rozumne napominanie może, i robota może... Żeby nie! Pan Bóg łaskawy zrobi, że wszystko dobrze będzie! Oj! k a b dobrze było i wam, i nam! A u nas bieda!

Ze swoich z kolei bied przed przyjacielem zwierzać się zaczęła. Trzy dni temu byczek u nich zdechł, a taki był piękny, silny; Maksym go na kiermasz prowadzić miał i pewno by z pięć rubli za niego wziął. Pięć rubli! Nie żarty, jaka to strata! A znów przeszłej niedzieli z włościańskiej poczty list od Chwedorka przywieźli... Píše, że nijak do wojska przyzwyczać się nie może, że ptakiem by, zdaje się, do chaty rodzonej powrócił, że choć zdrów, ale mu ciągle cośiś we środku boli i że wszystkim pięknie kłania się.

— I tobie, Pauluczku, kłania się, i Ulanie, i Pilipu i Daniłku... i wszystkim!

Już gdy o zdechłym byczku mówiła, łzy miała w oczach a teraz zachlipała i zalała się łzami.

W tejże chwili na progu chaty ukazała się kobieta młoda, wysoka, z dość ładną, ale bladą i schorowaną twarzą, ze sporym korytem pełnym posiekanego zielska w obu rękach. Była to synowa Awdoci, która przed paru laty ciężko chorowała i nigdy już potem pomimo dawanego jej przez

Awdocię podhrudniku, hromotniku, suchotniku i różnych gatunków poruszeniku do dawnych sił wrócić nie mogła. Pod ciężarem koryta silne znać niegdyś, ale zwątlące jej ciało boleśnie wyginało się to w tył, to naprzód.

— Mamo! — wołała — oj, mamo! zmiłujcie się, świniom jedzenie zanieście, bo mnie dziecko nakarmić trzeba, krzyczy i krzyczy!

Z chaty dochodził istotnie przeraźliwy krzyk paromiesięcznego dziecka. Awdocia na równe nogi skoczyła, palcami nos, a fartuchem zapłakaną twarz otarła i z rąk synowej koryto wzięwszy mężnie i raźnie, choć z niejaką trudnością, do bliskiego chlewka, w którym odbywało się rzeźenie świń, je poniosła. Chuda i blada Maksymowa zniknęła w sieniach chaty, w zamian wybiegło z niej dwoje małych dzieci i bosymi stopkami za babką ku chlewkowi podreptało. Najstarszy, Tadeuszek, przed paru laty zmarł, ale Hanulka i Stepanczyk żyli, a teraz w głębi chlewka taki radosny krzyk i śmiech podnieśli, że Awdocia także śmiała się na całe gardło. Na świnię chciwie jadło pożerające patrząc i z wnukami swawoląc zupełnie — choć może na chwilę tylko — zapomniała o zdechłym byczku i smutnym liście Chwedorka-soldata.

Paweł zaś na brzeg rzeki ku swemu czółnu powrócił. Nie było ono tym razem puste, lecz znajdowały się w nim różne narzędzia rybackie i spory worek chlebem, serem i słoniną napełniony. Na niedalekim punkcie rzeki Paweł spotkać się miał z rybakiem, który często spółnikiem jego w pracy i zyskach bywał, i razem z nim popłynąć dość daleko, do takiego miejsca, w którym właśnie w tej porze roku najobfitsze zdarzały się połowy. Za trzy dni dopiero, albo i później, wrócić zamierzał, ale był tak spokojny, tak szczęśliwej przyszłości i dopięcia zamierzonego celu pewny, że przed wejściem do czółna, z cichą, ale promieniejącą wesołością w oczach, rozejrzał się po błękitnym niebie i zielonej ziemi, po całej ślicznej, złotej pogodzie dnia majowego i na wiośle oparty, wygwizdywał przez chwilę nutę chłopskiej pieśni:

*Oj, u łuzi, pri darozi,  
Razćwiela kalina;  
Paradziła biedna udowa  
Sałdackoho syna...*

Przestał gwizdać, ale w jednym z ogrodów wsi, od dwóch jabłoni i kilku wiśni gęstym i cienistym, kobiecy głos jakiś nutę spod stóp góry przybyłą podchwycił i cienko, donośnie, na świat cały, zda się, dalej zawodzić zaczął:

*Paradziła jena joho,  
Da ciomnoi noczy;  
Dała jomu bieło liczko,  
Da czornyje oczy...*

Tego samego dnia, niewiele przed wieczorem, Franka z małym Chtawianem na kolanach na progu chaty siedziała. Ubrana była znowu po chłopsku, ale już żadnych świecideł u szyi i uszu nie miała; wszystkie je w ostatniej swej wędrowce zostawiła. W ogóle też więcej niż wprzód wyglądała na chłopkę; uwiędła i znużona cera jej twarzy okryła się śniadą ogorzelizną, ręce pociemniały i zgrubiały. Chudość jej tylko nie znikła wcale, owszem, zwiększyła się jeszcze, a światło zachodzącego słońca ukazywało mnóstwo drobnych zmarszczek nagromadzonych dokoła jej ust i oczu. Dziecko na kolanach jej podskakiwało i szczebiotało, na psa, ptaki, drzewa małymi rękami

ukazując; ona także szczebiotliwie do niego przemawiała, mocno ramieniem obejmowała często i głośno całując w głowę i szyję; ale oczy jej zapadłe ' ciemnymi kołami podkrążone miały przy tym wyraz dojmującego smutku, a drobne usta były blade.

Za płotem wzdłuż podwórka biegnącym słabo na ciemnym tle zagonów zieleniał ogród jej rękoma skopany, siany i zasadzony. Bardzo mizernie wyglądał on obok drugiej połowy ogrodu, do Koźluków należącej i przez Ulaną uprawionej. Tam wszystko świeże, gęste rosło dobrze i silną woń rozlewało; tu z rzadka rozsiane roślinki nikle były i przywiędłe. Obok tych ogrodów pracując dwie kobiety widywały się były codziennie i Ulana od drwiących uwag nad nieumiejętną i leniwą robotą Franki powstrzymać się nie mogła, a może i nie chciała. Nazwała ją raz „panią”, na co Franka podnosząc się znad ziemi zawołała:

— A pewno, że nie taka chamka jak ty!

Wtedy Ulana ze swojej połowy ogrodu kazała iść precz Chtawianowi, który pomiędzy zagonami z jej trzyletnią Maryską piasek przesypywał. Po prostu, schwyciła go na ręce i przez niski płot do tej połowy ogrodu, w którym znajdowała się jego matka, przerzuciła. Oczy jej pałały więcej jeszcze wzdrgnąciem niż gniewem, ale zęby zacisnęła i nic już nie mówiła, choć Franka, rękami wymachując i to płacząc, to drwiąco śmiejąc się, rzucała jej różne obelżywe wyrazy, aż dopóki Paweł nie przyszedł i żony za rękę do chaty nie wprowadził.

Teraz podwórko Koźluków było puste i milczące. Ulana po krowę swoją na pastwisko poszła i dzieci z sobą zabrała; Filip i Daniłko najęli się dnia tego do koszenia we dworze dziedzińca i ogrodu. Wróble tylko pod dachami obu chat i w starej gruszy przeraźliwie ćwierkały, głuchy gwar ludzkich i zwierzęcych głosów toczył się po wsi, bocian kędyś daleko klekotał i Franka na progu chaty siedząc swymi smutnymi oczami w twarz dziecka patrzyła i świegotowała do niego bladymi ustami.

Wtem za węglem chaty ozwało się chrypliwe, lecz dość głośne mruczenie, westchnieniami i uderzeniami kija o ziemię przerywane.

— Kirie a e j s o n, Chryste a e j s o n, Ojczy niebieski, zmiłuj się nad nami, Synu Adkupicielu, zmiłuj się nad nami...

Franka szybko twarz podniosła i oko w oko spotkała się z wyglądającą zza węgła wielką, w grube fałdy pomiętą twarzą, wśród której kredowej prawie bladości czerwieniły się opuchłe i mrugające powieki.

— Marcelka! — z radością wykrzyknęła.

— A Pawła nie ma w chacie? — grubym szeptem zapytała żebraczka głowę tylko w brudną szmatę owiniętą zza węgła wychylając.

— Nie ma! nie ma! trzy dni nie będzie! — śpiesznie odpowiedziała Franka i dziecko z kolan spuściwszy na spotkanie przybyłej poskoczyła.

— A mojaż ty drogieńka, złota, brylantowa! — śmiejąc się i rękami machając trzepała — a jaż tak ciebie czekała, tak o ciebie wypytywała się... Wszyscy mówią: „Nie ma Marceli! jak przed Wielkanocą do miasta poszła, tak i nie powróciła.” Już my myśleli, że ty może gdzie i umarła...

Kupa łachmanów, w dwie wielkie stopy honuczami owinięte i w dwie bezkształtne ręce kij trzymające zaopatrzona, głową trzęsła i zwolna posuwała się ku chacie, do której też Franka ją wprowadziła i witając, szczebiocząc, ciesząc się na ławie posadziła. Potem do czerwonej szafki przypadła, kawał chleba, zimne kartofle w misce i trochę soli przyniosła.

— Jedz, mileńka, jedz — prosiła. — Oj, jak to dobrze, że przyszła, bo tu słowa do kogo przemówić nie ma!...

Żebraczka do jedzenia nie brała się; sytą widać była. Spod czerwonych powiek przebiegłym i ciekawym wzrokiem ściagała ruchy Franki.

— Aaa! — zadziwiła się — to ty tu taka sama gospodyni, jak i pierwej była!

— A taka sama! — tryumfująco zawołała Franka. — Już i ślad tego, co było, przepadł... już tak, jakby nic nie było!

— Nu, powiedz, kiedy Boga kochasz, powiedz, co z tobą działo się, gdzie była, co robiła, jak tutaj powróciła i z Pawłem pogodziła się? — prosiła żebraczka.

France nie trzeba było dwa razy prośby tej powtarzać.

Siadła i wszystko, wszystko rozpowiadać zaczęła, a gdy opowiadała o tym, jak Paweł jej wszystko darował i dziecko za swoje przyjął, łzy jej w oczach świeciły i wargi drżały. Marcela też spoważniała, skupiła się jakoś w sobie, od czego kwadratowa jej postać wydawała się jeszcze grubszą i cięższą.

— Ot, dobry! — z cicha i z podziwieniem przemówiła.

— Dobry! — potwierdziła Franka — już takiego dobrego pewno na całym świecie nie ma!

Nagle zamyśliła się, oczy jej znieruchomiały, westchnęła.

— Choć, wiesz co, Marcelka? — dodała — że jednakowoż nie taki już dobry jak był...

— Nie może być? — wykrzyknęła żebraczka.

— Aha! Dawniej, bywało, co chciałam, robiłam; dopóki chciałam, spałam; kiedy cokolwiek w chacie zrobię, to dobrze, a kiedy nie zrobię, to tak samo żadnej wymówki od niego nie posłyszę. Jeszcze i cukierki przywoził, i na ręce jak małe dziecko brał... Pod koniec, kiedy już jego znieubiłam, kłóciłam się, krzyczałam... a on nic! Milczy jak ściana albo obejmie i prosić zaczyna: „Cichoż już, dzieciątko! cicho! uspokój się!” Teraz, gdzie! Raniusieńko jak ten tyran nad pościelą staje i wstawać każe. Co wyproszę co dzień, co wysprzeczam się, nic! ja swoje, a on swoje: wstawaj i wstawaj! Czasem za ręce weźmie i z pościeli ściągnie, a potem znów klękać każe i pacierze za nim głośno odmawiać. I z książki modlitwy czyta... a jakie to czytanie? Oj, Boże święty, zwyczajnie chamskie! Nim jedną modlitwę przeczyta, mnie od klęczenia w głowie kręcić się zaczyna. Po pacierzach znów do roboty gna: a to ogień rozpal, a to krowę wydój... a to ogród kop albo chleb piecz... Nawet kiedy z chaty wychodzi jeszcze przykazuje:

„Patrzaj, Franka, żebyś zrobiła, co ja powiedział!” Jak powróci i zobaczy, że nie zrobione, kazanie zaczyna mówić albo i wykrzyczy. Jaż wszystko i robię, choć przed samą sobą wstydzę się, że do takich prostych robót zaprzągnięta, choć czasem ze słabości, ot, zdaje się, że zaraz i upadnę. Ale wolę już to, jak te jego kazania o Panu Bogu, o czarcie, o wiecznym potępieniu i o różnych takich głupstwach... Przy tym niewolnica już ja teraz, z ciałem i duszą jemu zaprzędana. Zdrowie straciłam, dziecko na karku mam i nie ma już dla mnie innej ucieczki i innego ratunku, jak w tej chacie i z tym człowiekiem żyć. Na taką już dolę ja skazana... w taką czarną godzinę na ten świat narodzona...

Gdy tak wyrzekała, coraz głębszy smutek napelniał i wprzód już smutne jej oczy, aż nagłym strumieniem łzy z nich pociekły i nagle też ciec przestały. Za głowę się schwyła.

— Aj, Marcelko — jęknęła — żebyście wiedzieli, jaką ja biedę z tą głową mam! Boli i boli! Jak tu powróciłam, cośiś z tygodni kilka nie bolała, a teraz znów boli i ten szum powrócił... nie taki wielki, jak był, ale powrócił...

Perkalową, kwiecistą chustkę z głowy zdjęła i płócienną szmatę w wiadrze wody umoczywszy czoło i całą czaszkę nią obwiązała.

— Ot, jedyny ratunek mój! — mówiła. — Jak już bardzo rozboli się i szumieć zacznie, zimną wodą zmoczyć...

Usiadła znowu naprzeciw żebraczki, która z rękami na kiju splecionymi tak pilnie za nią wzrokiem wodziła i tak zamyśliła się, skupiła się jakoś w sobie, że na chwil kilka odstąpiła ją zwyczajna gadatliwość. Potem zwolna chrypliwym swym głosem zaczęła:

— Patrzajcie, państwo! to on taki srogi zrobił się! Aaa! Jednakowoż, moja mileńka, szczęśliwa ty, oj, jaka szczęśliwa, że takiego człowieka dostała! Co to! tyle żonce wybaczyć i cudze dziecko jak swoje hodować i jeszcze do roboty zapraszać, jak tę panią do stołu! Nie żart, mileńka, jaki on dobry!

— A dobry! — obu rękami za głowę trzymając się odrzuciła Franka. — Już ja i sama wiem, że za tę dobroć w niewolę jemu zaprzedałam się!

Marcela głową kiwała, w ziemię patrzała; po starej i brzydkiej jej twarzy jakieś ciemne i żalodne zadumy płynęły.

Po chwili, jakby do tej ziemi, w którą wlepiła wzrok, zachrypiła i zajęczała:

— Oj, doloż moja, dolo! czemu ty mnie w młodych moich latach takiego człowieka i takiego zbawiciela nie zesłała? Czemu ty mnie, jak tę trawkę w polu, samą na świecie zostawiła? Wiedziałabym ja, oj, wiedziałabym, jak takiego człowieka i takiego zbawiciela szanować, i tyle bym trudności wszelakich z dziećmi-sierotami nie poniosła, na starość bym na taką biedę i poniewierkę nie zesła!

Bezkształtną od owijających ją łachmanów głową kołysała, a w piersi jej ni to płacz, ni to śpiew wzbierał, aż wezbrał dygotliwą, chrapliwą, jednak żalonną nutą:

*Powiej, wietre, powiej, wietre, z zielonoho haju,  
Powiernisia nasz panoczek z dalekoho kraju!*

— Aha! — cienkim i ostrym głosem wykrzyknęła Franka — dobrze tobie, Marcelko, tak mówić, kiedy już jak spróchniały grzyb zestarzałaś! W młodym wieku człowiek świata, wesołości i różnych przyjemności pożąda...

Teraz Marcelka oczy mętną wilgocią spod opuchłych powiek świecące od ziemi oderwała i we Frankę wlepiła:

— A wieleż, moja mileńka, tobie lat będzie?

— A trzydziesty ósmy na Gromniczną zaczął się! — z widocznym tryumfem odpowiedziała Franka.

Marcela głową kołysała.

— Oj, to już i nie dziecina ty, i do sorokouki (czterdziestki) tobie niedaleko. Sorok liet, babskij wiek, moja ty mileńka!

— Ot, chamskie przysłowie! Albo to prawda? Ajej, jakby jeszcze za mną chłopcy latali, żebym tylko zdrową była i w takiej jamie nie mieszkała!...

Czy w tej chwili wzrok Marceli na połyskujący w kącie samowarek upadł, czy spotkał się z wiszącym na ścianie workiem z mąką lub z krupami, ale śpiesznie, niby popełnioną omyłkę naprawiając, potakiwać France zaczęła:

— Ale! Pewno! Czemu nie! Szczupleńka ty taka i delikatna, jak ta panienka, co w gorsecie chodzi, a rączki twoje jak u dziecka malenienkie i oczy takie...

Wtem na podwórku Koźluków ozwały się głosy. Franka na ławie u okna przyklękała i do małej szyby twarz przyłożyła. Zobaczyła Ulanę do obórki krowę zapędzającą, czworo dzieci po trawie rozsypanych, Filipa z kosą na ramieniu wchodzącego do chaty i Daniłka, który także z kosą na ramieniu ze stojącym we wrotach równego mu wieku chłopakiem rozmawiał:

— Popatrzajcie, Marcelko — śpiesznie zaszepotała Franka — popatrzajcie, złocienka... jaki przystojny chłopiec zrobił się z tego Daniłka...

Chłopak istotnie był ładnym. W płóciennej krótkiej kapocie, wysokich butach, z połyskującą w ostatnich światłach dnia kosą na ramieniu, wyglądał zgrabnie i wesoło.

Dziewiętnasty rok zaczynał, twarz miał jak u dziewczyny gładką i złotorude włosy  
Sfałdowane policzki Marceli zatrzęsły się od cichego, filuternego śmiechu.

— At, dzieciuk! — wymówiła — młody, to i gładki...

— To nic, że młody — cicho trzepała Franka — ale taki cienki sobie i zgrabny jak panicz.

Patrzajcie, państwo! a ja do tego czasu i nie zauważyłam, że on taki przystojny!

Coraz wyraźniejszy i złośliwszy uśmiech trząsł fałdami policzków Marceli; zarazem przyciszonym i przypochlebiającym się głosem zapytała:

— To może temu dzieciuku powiedzieć, co ty o nim mówiła? A? Ot, uraduje się! A Jezus mój, Najświętsza Mario Panno, czysta pociecha! Jemu i w głowie nie powstało, żeby jego kto chwalił, że ładny!

— Powiedźcie, moja złocienka, brylantowa, koniecznie powiedźcie! Ot, ciekawość, czy on uraduje się i co o mnie powie?

Ułana w tej chwili z obórki wyszła, a dzieci jak ptaki ku niej poleciały. Z szerokim uśmiechem coś do nich mówiąc w mały garnuszek z dojnicy mleka zaczerpnęła i brzeg jego, schyłona, po kolei do czworga wyciągających się ku niej dziecinnych ust przykładła. Troje tych małych stworzeń do niej należało; czwartym był Chtawian. Dała napić się mleka swoim, dała i jemu, na ostatku wprawdzie, może najmniej, ale dała. Potem wszystkie czworo za nią do chaty pobiegły.

Franka, choć przez szybę ciągle patrzyła, drobnej sceny na przyległym podwórku zaszłej nie spostrzegła.

Myślami swoimi zajęta była, milczała dość długo, aż w zmroku zaczynającym już izbę napełniać wyprostowała się, ruchem zmęczenia ramiona w górę podniosła; oczy jej, zapadłe, wielkie, czarne, pod czołem wilgotną szmatą oblepionym napełniły się czarnym smutkiem.

— Oj, Marcelko, ty moja mileńka! — z cicha i przewlekłe przemówiła — tak mnie cościś we środku je... tak mnie na świecie niedobrze!

— Czemu tobie niedobrze? — zapytała żebraczka.

— A czemuż ma być dobrze? — odpowiedziała i z dłońmi nad głową załamany mówiąc dalej: — On, widzisz, choć dobry, ale delikatności mojej szanować nie umie, ani gadać tak, jak lubię, nie umie, i w takim odzieniu grubym chodzi, i taki jakiś... ja i sama nie wiem jaki...

Po chwilowym zaś namyśle dokończyła: — Ot, zwyczajnie cham... żeby nie wiem jaki dobry był, zawsze cham!

A ciszej jeszcze dodała:

— I taki już teraz stary... stary!

Pora kośby i żniw minęła; wiele rzeczy przez ten czas ubiegły działo się i stało w dwóch sąsiadujących z sobą chatach. Raz, w czasie koszenia łączki, którą Filip w pobliżu wsi posiadał, Paweł z rana przed chatę wyszedłszy i po niebie okiem powiódłszy do szwagra słomę ku oborze niosącego rzekł:

— A żywo, Pilipie, siano z łąki zabieraj, bo jutro, pojutrze Pan Bóg deszcz przyśle i cościś ja z wiatru czuję, że na długo.

W tyczące się zmian pogody przepowiednie szwagra Filip wierzył; śpiesznie więc konia do wozu zaprzęgać zaczął, a Daniłkowi grabie i widły przygotować rozkazywał. Ulana w domu zostać i jeżeliby ktokolwiek promu zażądał, sama podróżnego przez rzekę przewozić miała. Wąską teraz ta rzeka była i bardzo powolną. Z wiosny dwom mężczyznom trudno bywało przebyć ją z promem; teraz i jedna baba podoła, a gdyby aż dwa konie albo ciężka jaka fura do przewiezienia były, Paweł dziś niedaleko u brzegu ryby łowić będzie, przyskoczy więc prędko i siostrze pomoże. Gdy tak umawiali się, a Filip konia zaprzęgać kończył, zza pleców Pawła wypadła Franka i wołać zaczęła, że i ona pojedzie na łąkę siano grabić. Już wszystko, co trzeba było, w chacie zrobiła: jedzenie na cały dzień zgotowała, krowę podoła i chce Filipowi do zebrania siana dopomóc.

Ubrana była w białą jak śnieg koszulę, błękitną perkalową spódnicę i różowy fartuch; czarne włosy spod kwiecistej chustki wyływały jej na czoło, ramiona i plecy. Ruchy miała ożywione; wesołymi oczami i białymi zębami błyskała. Filip drwiącym śmiechem zrazu ofiarę jej przyjął.

— Oj! z takiego grabienia, jak twoje, czort u chyba pociecha będzie!

Ale Daniłko odezwał się:

— Niechaj jedzie. Zawsze we troje łatwiej i prędzej...

— Niechaj jedzie. Pokażecie jej raz i drugi, jak grabiami robić, to i potrafi! A zawsze choć troszkę pomoże — zadecydował Paweł.

Z Filipem na wóz siadła i pojechała; Daniłko zaś pieszo krótszą drogą poszedł, ale zaledwie wóz trochę drogi ujechał, Franka na ziemię zeskoczyła i ku idącemu miedzą chłopcu pobiegła.

— Ej! — odbiegając do Filipa zawołała — my tamtą drogą prędzej dojdziem, jak ty tą dojedziesz!

Po powrocie z łąki Filip ze zdziwieniem żonie opowiadał, że ta chfiksotka Franka doprawdy nieźle siano grabiła i doprawdy troszkę do zebrania go dopomogła.

— Żeby leniwa nie była, wszystko by potrafiła — dokończył.

— Jak tylko chce, wszystko pewno potrafi, taka zgrabna — z ustami wypchanymi chlebem zauważył Daniłko i przez okno na Frankę po podwórku swoim zwijającą się zerkał, a oczy mu jak u kota zielonawo pobłyskiwały.

I tak już potem bywało często. W żniwa z sierpem na pole Koźluków chodziła i choć nie mogła ani tak wytrwale, ani tak dobrze żąć, jak Ulana, bo sił i wprawy jej niedostawało, zawsze jednak właścicielom pola sporo dopomagała. Filip tedy na innej części swego małego gruntu orał albo przy domu i promie zostawał, a Daniłko z dwoma kobietami żął i snopy do stodoły woził. Franka też często razem z nim na furą zboża włąziła i do domu jechała, po czym razem powracali i brali się do roboty. Choć na gorąco i bóle w krzyżu wyrzekała nieraz, wesołą była, ruchliwą, gadatliwą i nigdy przedtem niewidzianą u niej gorliwość w pracy okazywała. Do Ulany przymilała się, złocieńką i brylantową ją nazywała, dzieci jej wyczałowywała i na ręku nosiła, do Daniłka zaś przyklejała się jak mucha do miodu. Na to ostatnie przecież długo nikt żadnej uwagi nie zwracał. Ze zdzieleniem



swawoli i dowodzi, a w niedzielę gdzieś z nim na kilka czasem godzin przepada, nic dziwnego. Choć upamiętała się, do roboty ochotę poczuła i ludziom w oczy, jak ta osa, rzucać się przestała, wszystkie głupstwa z głowy wylecieć jej nie mogły. Stara, a taka czasem d u r n a jak dziecko; że zaś i Daniłko jeszcze dzieciukiem jest, to im razem do pary. Zawsze jednak dobrze, że upamiętała się, pracuje, ludziom pomaga, grzeczna. W sąsiedztwie takim bliskim jędzę mieć, nie żart, jaka przykrość. Więc już niechaj sobie odmienna będzie i troszkę chfiksotka, byle jędzą nie była. Toteż Ulana uprzejmie znowu obchodziła się z bratową, Chtawiana coraz częściej do siebie przygarniała i wywdzięczając się za pomoc w polu różne przysługi w gospodarstwie France oddawać zaczęła: to chleb za nią wymiesiła i upiekła, to bieliznę w rzece wypłukała i pralnikiem wybiła, to po wodę poszedłszy jedno wiadro dla siebie, a drugie dla niej przyniosła. Tak przez długie trzy miesiące ludzie ci wśród ciężkiej pracy kryształowy żywot wiodący nic nie spostrzegli i żadnego podejrzenia nie powzięli. Żaden cień występku nie przesunął się pomiędzy ich oczami a pięknym słońcem letnim, w którego blaskach nurzali się po dniach całych; żadna kropla brudu nie ciążyła ich piersiom, gdy zmęczeni zasypiali i twardo, głęboko spali przez całe noce. Paweł przez ten czas długie wycieczki po rzece odbywał, a do domu wracając znajdował Frankę pracującą, wesołą, w śnieżną koszulę i różowy fartuch ustrojoną. Choć często opryskliwie mu odpowiadała, a czasem i odpychała go z nietajonym wcale wstrętem, przypisywał to resztkom pokus diabelskich, których jeszcze modlitwa i napomnienia przemóc nie zdołały. „Niech już sobie jaka chce będzie, byle poczciwą była!” — myślał, Chtawiana na ręce brał, obwarzanki mu z miasteczka przywiezione dawał, coraz więcej, coraz czulej dziecko to lubił i pieścił. Pieszcząc je, bawiąc się z nim, na gniewne warczenie Franki i złe słowa, które mu czasem rzucała, nie zważał, tym więcej że wkrótce ona znowu w dobry humor wpadłszy przyjacielsko z nim rozmawiała, izbę gadaniem swym i śmiechem, za którym on szczególnie przepadał, napełniając. Żaden więc cień przez te długie trzy miesiące nie stawał pomiędzy pogodnymi jego oczami a światłem letniego słońca i nic wcale nie ciążyło jego szeroko oddychającej piersi, gdy w nocy twardo, spokojnie usypiał.

Nagle, przy końcu jednego z dni sierpniowych, w chacie Koźluków zakipiło jak w garnku. Podniósł się tam piekielny wrzask ludzi dorosłych i dzieci. Filip brata bił.

Było to o zmroku. Nie wiadomo, gdzie i jakim wypadkiem dowiedział się o tym, za co teraz brata bił, ale dowiedział się w sposób tak nagły i brutalny, że ta brutalność wstrząsnęła całą istotą tego nawet silnego, prostego chłopca. Nigdy przedtem dużo młodszego od siebie brata nie krzywdził; ale teraz zdawać się mogło, że oszalał, tak rozszrony miał wyraz twarzy i tak mocno, jedną ręką brata za odzież trzymając, drugą po plecach uderzał.

— Sadoma i Hamora! — bijąc krzyczał — a toż nam za ciebie boski piorun chatą spali! A toż on tobie jak rodzonym dziadźkiem był, na rękach ciebie nosił, dobra, rozumu uczył! A ty jemu taki wdzięczny! A ty z jego żonką... A do pługa, a do cepa, a do roboty tobie, nie do łajdaczek! Karę boską na nas i na dzieci nasze sprowadzać będziesz? Won z chaty! czujesz? żeby tutaj noga twoja nie powstała! słyszysz? Na włóczęgę po świecie idź! w najmy idź! Choć i na wieczne zatracenie idź! A z mojej chaty won! won! won!

Krzyzcząc tak, bijąc, z chłopcem od niego mniej silnym, jednak silnym także mocując się, ku drzwiom go popychał; Ulana z głośnym lamentem ręce łamała; dzieci krzyczały. Daniłko przecież u samego już progu z rąk brata wyrwać się potrafił i czerwony jak piwonia, z oczami pałającymi, z rozdartą na plecach odzieżą, hardo krzyzczeć zaczął:

— A ty nijakiego prawa nie masz z chaty mnie wypędzać! Taka ona twoja jak i moja. Jednych my b a ć k ó w dzieci!

— A kto tobie b a ć k i e m był? — znowu rzucając się ku niemu huknął Filip — ja tobie b a ć k i

e m był, kiedy ty mały sierota na rękach moich zostałeś! Czy na to ja ciebie hodowałem i karmiłem i dobra, rozumu nauczałem, żeby ty Sadowi i Hamoru robiłeś! Nu, nauczysz ja ciebie! nu! popamiętasz ty! Nu, będziesz ty...

I z gradem słów grubych, nagich, ohydnych na plecy i głowę Daniłka znowu posypał się grad razów. Szamotali się z sobą u drzwi zapamiętałe, Ulana, z twarzą łzami zalaną, krzycząc, ręce łamiąc, rozdzielić ich usiłowała, dzieci już teraz rozkrzyczały się wniebogłose, kury w podpiecku obudzone przeraźliwie gdakały, nawet Kurta pod ławą wył przeciągle i bury kot, nadeptany czy przestraszony, nie mając kędy uciec, ze wściekłym miauczeniem po izbie się miotał. Wtem do izby wszedł Paweł. Z rzeki wracał, u połowy góry wrzask z chaty Koźluków wychodzący usłyszał i niespokojny, zdziwiony, spieszenie ku niej podążył. Na widok wchodzącego Ulana, może żalem nad nieszczęściem brata albo obawą o utratę jego przyjaźni popchnięta, zanosząc się od płaczu, jak długa runęła mu do nóg; Daniłko wyrwawszy się z rąk Filipa wypadł z izby, a Filip, ze zburzonymi na głowie włosami, z twarzą od wściekłości pijaną, ku Pawłowi się zwrócił i tymi samymi grubymi, nagimi wyrazami, jakimi chłopca ciężko w oczach jego występnego łajał, wszystko opowiedział. Opowiadanie to nie trwało dłużej nad trzy minuty i zaledwie Ulana, podniósłszy się znad ziemi, na klęczkach jeszcze, do męża wołać zaczęła: „Cicho! milcz Pilip, oj, Pilip, co ty robisz? Milcz!” — Filip powiedział już wszystko, a Paweł z izby wyszedł.

Nie poszedł naokoło, aby przez własne podwórko do chaty swojej wejść, ale niskie płotki ogrodu przestępując po zagonach pełnych warzywa deptał. Błady był jak płótno, drżał jak w febrze, z oczu wyrzucał złotawe połyski. Wszystko, co w człowieku jest gwałtem gniewu i miłosnej zazdrości, podniosło się w jego mózgu, nerwach, w tym kawałku ciała, który na dnie piersi osadzony nazywa się sercem, i targało nimi, rozdzierało je, prawie przytomności go pozbawiało. Jak pijany zataczając się sień przeszedł i drzwi izby ze stukiem otworzył. W izbie, przed piecem, w którego ciemnej głębi krwisto i ognisto żarzyły się rozpalone węgle, stała Franka. Stała w skurczonej, zmalalej postawie, ramiona mocno u piersi zaciskając, a w krwistym świetle żaru twarz jej świeciła śród zmroku krwistą także czerwonością. Wiedziała dobrze, co zaszło w chacie Koźluków; przez okno widziała, kiedy Paweł do tej chaty wchodził, kiedy i jak z niej wyszedł. Była więc przestraszona, ale daleko więcej zawstydzona. Ten wstyd, którego doświadczyła, gdy po trzyletniej prawie włóczędce tu powracała, niczym był w porównaniu z tym, który teraz spadł na nią, piekący i ciężki. Dlatego to skurczyła się, zmalęła i twarz miała tak prawie czerwoną jak płonący w piecu żar, a gdy tylko Paweł w progu stanął, z wyciągniętymi rękami do niego zawołała:

— Nie wierz ty im, Pawełku, nie wierz, to nieprawda... oni umyślnie...

Pierwszy raz w życiu kłamała, i nie ze strachu, ale ze wstydu; połowę życia oddałaby za to, aby on w kłamstwo jej uwierzył. Ale Paweł dwoma szerokimi krokami obok niej się znalazł i nic nie mówiąc, bez oddechu nawet, w żelazną obręcz swoich palców ramię jej ujął. Krzyknęła przeraźliwie i do ziemi przypadła pod razami opadającej na plecy jej pięści. W ten sposób krzyknęła kilka razy, aż nagle uczuła, że ramię jej z żelaznej obręczy uwolnionym zostało i że jest w izbie samą. Takim samym szerokim i chwiejnym krokiem, jakim wszedł, Paweł z izby wyszedł, ze strugami potu na czole chatę okrążył i do tylnej jej ściany na samej krawędzi góry stojącej czoło przycisnąwszy płaczem ryknął. Gwałt gniewu i miłosnej zazdrości, który tam, w mrocznej izbie, nad skurczoną u ziemi kobietą ramieniem jego miotał, opadł teraz i stajał w wielkiej, pierś mu rozrywającej żalości, żalości nad sobą, nad nią, nad tym ludzkim, dobrym, świętym zadaniem ratowania i zbawiania, które dwa razy już, ukazało mu było swe niebieskie oblicze i dwa razy w nicość zapadło.

Z załamanymi rękoma, z czołem do chropowatej ściany przyciśniętym, rycząc z płaczu, urywanymi słowami wymawiał:

— Nie ma już widać dla niej ratunku ni wybawienia żadnego! nie ma już dla mnie szczęśliwej doli na świecie! Co mnie tu robić? Boże mój wszechmogący! Boże mój miłosierny, co mnie tu teraz robić?

W godzinę potem czółnem na rzekę wypłynął, jak błędny, drobny punkt czarny po stalowej jej powierzchni pod występujące na niebo złote gwiazdy pomknął, a za czółnem jego biegła srebrna ścieżka wodna i perlistą, monotonną, wieczną pieśń swoją szemrała. Całą noc na rzece, a może i na samotnym wybrzeżu jakim, pod jaką wierzwą starą albo drżącą osiką przepędził.

W izbie zaś, w której po jego wyjściu Franka na ziemi leżąca została, w parę godzin później, szeptem i w ciemności toczyła się rozmowa, jękami i westchnieniami przeplatana.

— Aaa! wybił! Patrzajcie, państwo, wybił! Musi bardzo już zazdrosny, kiedy aż wybił! Jeszcze on nigdy nikogo nie bił! taki spokojny, taki dobry... a wybił!

W grubym mroku leżąca na pościeli postać zaszamotała się i zajęczała.

— Żeby jemu Pan Bóg nigdy tego nie darował, jak ja nie daruję! — wykrzyknął cienki i ostry głos kobiecy. — Nie daruję... nie daruję... do śmierci pamiętać będę, taką obrazę, taką hańbę... oj, hańbę! hańbę! hańbę! Oj, Boże mój, czego ja dożyłam, czego się doczekałam! Czy mnie na to matka rodziła, żebym chamskie kułaki na swoich plecach czuła! Z dobrej rodziny pochodzę, dziadunio swoje domy miał, matka edukowaną była, cioteczny brat bogaty, jak pan sobie żyje, a ot, na co mnie teraz przyszło! Żeby

jego Pan Bóg za moją krzywdę skarał! Żeby on dobra na tym i na tamym świecie nie doczekał!

Kłęta, wyrzekała, czasem jak dziecko kwiliła, a czasem zrywała się jak furia i na pościeli wyprostowana za włosy targała się, pięścią o pięść biła.

— Dość już ja jemu za jego dobroć wywdzięczyła się, dość plecami swymi i hańbą swoją zapłaciłam! Pamiętałam ja o tej jego dobroci, kiedy taki mnie wstyd ogarnął, że, zdaje się, gdybym mogła, żywcem zagrzebałabym się pod ziemię, byle tylko jego już nie widzieć i jemu w oczy nie patrzeć! Ale teraz niczego już przed nim nie wstydzę się! niczego! niczego! Kiedy jemu wolno mnie bić, to mnie wolno wszystko robić! Żebym Daniłka nie żałowała, to bym znów uciekła! Ale może i ucieknę! Ot, wezmę i ucieknę!

— A Chtawian? — ozwał się gruby, ochryply szept z siedzącej na ziemi kupy łachmanów wychodzący.

— Niechaj i jego diabli wezmą! Niechaj wszystko diabli wezmą! — rzucała się leżąca na łóżku kobieta, jednak nagle umilkła i po chwili dopiero wahającym się głosem rzekła:

— To co? Zostawię...

U bosych stóp swych czuła ciepło uspiętego dziecięcego ciała i zawahała się znowu

— Otóż to! — zaszepotała — ni to mnie jego tu zostawiać... ni to z sobą zabierać! Do tego i Daniłka szkoda... aj! żeby ty, Marcelko, wiedziała, jak ja jego lubię... jaki on miły! A nie widziała ty jego teraz, kiedy tu szła? a?

— Czemu nie widziała? widziała. Umyślnie zaszłam tam do nich, żeby zobaczyć, co z nim biednieńkim dzieje się, co on teraz nieszczęśliwy robi!

— A cóż? cóż? cóż? — zaszepotała Franka — może co mówił? może kazał mnie co powiedzieć?

— Nic on nie mówił i nic powiedzieć nie kazał! — odpowiedziała Marcela. — Zwyczajnie d z i e c i u k! Brat wybił, to siedzi i płacze... co ma robić?

Franka gwałtownie westchnęła.

— Ot — zauważyła — cham także, a nie taki, jak wszystkie chamy... młodzieńki, zgrabnieńki i jeszcze grubiaństwa nie nauczył się..

— A tyż kiedyśiś i o Pawle tak samo mówiła, że on, choć cham, ale nie taki jak wszyscy...

— Niech jemu Pan Bóg nie daruje, że on mnie tak zwiódł i oszukał! Dobrego i delikatnego udawał, a teraz pokazał, kto i jaki! Ot, żebym ja była nie zwariowała i za niego nie wyszła, teraz bym za Daniłką wyszła...

Marcela przeciągły krzyk zdziwienia wydała.

— A mojaż ty mileńka, co ty wygadujesz! toż to dzieciatko w porównaniu z tobą! toż by ty jemu matką mogła być! o bodaj ciebie! ot, wymyśliła! A Jezu mój najśłodszy, z sorokoukuza takiego smerduna wychodzić!

Pusty, do wytrzymania niepodobny śmiech porwał babę; wstrzymywała go jednak i w dłoniach tłumiała z obawy obrażenia nim Franki. Ta zaś ręce nad głową wyciągając z niejaką obrazą w głosie zaczęła

— To i co, że ja od niego starsza? Jedna moja pani jeszcze starsza ode mnie była, a młodzieńkiego męża miała i jeszcze on przed nią skakał d wszyściutko, co tylko kazała, robił. Ojej! co to na świecie nie zdarza się! A może ty sobie myślisz, że on by nie chciał ożenić się ze mną? Otóż chciałby! chciałby! i jak chciałby!

— Mówił, że chciałby? — zapytała Marcela.

— Mówić nie mówił, ale ja wiem.. — odpowiedziała Franka.

U łóżka siedząca kupa łachmanów trzęsła się ciągle od tłumionego śmiechu, a po chwili wyszedł z niej głos przymilający się i zawodzący:

— Oj, pewno, że chciałby, czemu by nie chciał? Jeszcze nie było na świecie takiego mężczyzny, co by takiej śliczności nie chciał! Taka ty delikatna, taka ty ładna i weselenka i żwawienka, jak ta biała koza na łące albo jak ta królewna w pałacu...

— Ot, widzisz! — ozwała się znowu Franka — ale cóż z tego, kiedy mnie ten cham, grubianin, niedźwiedź, rozbójnik, krwiożerca ręce i nogi związali

Porwała się znowu na łóżku, usiadła, ręce we włosach zatopiła. Kiedy zaczęła mówić, syk jej gwałtownej, namiętnej mowy rozchodził się po wszystkich kątach ciemnej izby.

— Nie lubiłam już ja jego i wprzód... bo wół, niedźwiedź, nudny, stary... ale teraz, kiedy śmiał rękę na mnie podnieść, sto razy więcej nie lubię... nie cierpię, nienawidzę, tak nienawidzę, że zdaje się, zabiłabym, zadusiłabym...

— Cicho! — z przerażeniem syknęła Marcela — jeszcze nadejdzie i posłyszysz!

— Nie nadejdzie, nie przyjdzie! Diabli go przez całą noc po rzece nosić będą! Już ja jego zwyczaję znam! A żeby i posłyszal? Ja jemu sama to powiem! Niech wie, co to kobietę z dobrej rodziny pochodzącą krzywdzić.

Zaniosła się spazmatycznym płaczem i poprosiła Marceli, aby płachtę w zimnej wodzie umoczyła i jej podała, bo takie ją bóle głowy chwyciły i tak jej w uszach turkotać zaczęło, że chyba zaraz umrze.

Przez kilkanaście dni potem Franka miała już ciągle głową mokrą chustą obwiązaną, a widać było po niej, że cierpienia, przeciw którym środka tego używała, istotnymi były i dotkliwymi. Ciało jej coraz więcej nabierało suchości i żółtości trzaski, a na woskowo żółtych, bezkrwistych policzkach płonęły czasem czerwone rumieńce. Wstając z pościeli drżała jak w febrze i chwiała się na nogach, a w napadach gniewu okazywała zadziwiającą sprężystość i siłę. Choroba, której silne już zadatki z niezdrowo spędzonego dzieciństwa, z młodości tułaczkiej i burzliwej tu z sobą przyniosła, którą w czasie ostatniej włóczęgi wzmogła nędza, poniewierka, hańba więzienia i trwoga o przyszłość, rozwinęła się teraz i szybko wzrastała. Była to jedna z tych dziwnych, tajemniczych chorób, których nasiona przynoszą już z sobą na świat pewne ustroje ludzkie, które zanikając w atmosferze spokojnej i czystej, wśród burz tragicznych albo błotnistych wyziewów życia wydają

owoc zatruwający mózg i wolę. Mózg i wola Franki działały świadomie, przytomnie i z energią namiętnie wyprężoną, ale zwracały się w jednym wyłącznie kierunku. Myślała, że jest strasznie, okrutnie skrzywdzoną i poniżoną; pragnęła za tę krzywdę i poniżenie gryźć, dokuczać, szkodzić, mścić się. Daleko więcej jeszcze niż gryzienia i mszczenia się pragnęła zupełnej, nieograniczonej, dzikiej swobody. Przymus i zależność jątrzyły ją zawsze, były dla niej nienawistnymi, ale znosiła je z potrzeby, z musu, niecierpliwiąc się i warcząc; teraz zupełnie już znosić ich nie mogła. Dawna jej niecierpliwłość, głucha i kiedy niekiedy tylko wybuchająca, zmieniła się w rozmiotany i ustawiczny niepokój, warczenie przeszło w krzyk. Przeszkody, które spotykała w widywaniu się z Daniłkiem, do szału doprowadzały jej nie znające nigdy przeszkód ani skrupułów miłosne instynkty, a wspomnienie razów od Pawła otrzymanych wprawiało jej dumę w obłądne prawie wyobrażenia o własnej wyższości i wielkości. Cechy temperamentu, charakteru, procesów myślenia, rozwinięte w niej a w części zapewne i wytworzone przez całokształt jej życia, wzmagaly chorobę nerwów istotną i dotkliwą, która znowu potęgowała je i do stanu ostatecznego naprężenia doprowadzała. Toteż na ciasnej przestrzeni podwórek i ogrodu dwie chaty rozdzielającej działały się teraz co dzień rzeczy nigdy przedtem w tym stopniu przez mieszkańców tej wsi nie widywane; wrzało istne piekło kłótni, pogroźek, krzyków i płaczów. Spokojna i poważna Ulana ze swej strony rozjadła się teraz przeciw bratowej, której ani krzywdy brata, ani plamy jej chacie sprawionej, ani obelżywych wyrazów ciągle od niej otrzymywanych przebaczyć nie mogła. Cała istota Franki wydawała się jej garścią błota, zmieszaną z jakimiś mętnymi pobłyskami ognia czy krwi, które ją przerażały. Bezwzględna i bezwarunkowa w swoich pojęciach o cnocie niewieściej, z nauk b a c k ó w i z otaczających widoków zaczerpniętych, dla erotycznych szałów Franki miała dwie tylko nazwy: rozpusta i Sadoma i Hamora, które wymawiała czerwieniąc się ze wstydu jak dziewczyna i spluwając z obrzydzeniem, koralowe jej usta tak wykrzywiającym, jak gdyby brzydki owad przełknęła albo cuchnącej wody napiła się z kałuży. Z innej znowu strony, przez całe życie z jednym tylko gatunkiem ludzi przebywając i o żadnym innym nie mając wyobrażenia najlżejszego, lękała się tej odmiennej, tej przybłądy, tej chfiksatki, do wszystkiego, zdaje się, choćby do podpalenia chaty albo do skręcenia szyi niewinnemu dziecku gotowej. Alboż o tym wszystkim nie mówiła? albo — nazajutrz po owym pamiętnym zajściu —

— Co mnie tu robić? Boże mój miłosierny! Boże wszechmogący, co mnie z nią robić?

Awdocia, niska, szczupła, bosa, nad wiadrem pełnym wody stała wyprostowana jak świeczka, z podniesioną ku niemu rumianą, pomarszczoną twarzą, na której malowało się zmartwienie i podziwienie. Usta miała otwarte, ale nic nie mówiła; nie wiedziała, co mówić i jak radzić przeciw tej biedzie, o której jak o cudowisku cała wieś od końca do końca gwarzyła. I Paweł już poznał, że nie ma po co z tej biedy sekretu robić, bo o niej wszyscy wiedzą. Tak stali oboje naprzeciw siebie, nieruchomi i milczący; on z wybladłym policzkiem na dłoń opuszczonym, ona prosta jak świeczka, z rękami pod fartuchem splecionymi, z podniesioną ku niemu głową w czerwonej chustce i z otwartymi ustami. Dokoła nich nikogo nie było; u pustego piaszczystego brzegu pozłożona od świateł zachodnich woda płynęła spokojnie, jednostajnie, nieustannie; nad przeciwległym borem siał się długi, seledynowy obłok; na górze, we wsi, ryczało bydło. Świat był cichy, ciepły, pogodny.

Awdocia palce jednej ręki do policzka przyłożyła i jeszcze chwilę milczała, myślała, aż nagle, z wybuchem, z energią, z silnie jakby powziętym postanowieniem, zawołała:

— B i e j !

Z nogi na nogę przestępując, prędko i z błyszczącymi oczami mówiła dalej:

— Bij ją, Pauluk! bij i duchu słuchaj! Za wszystko bij! i za rozpustę, i za złość, i za hultajstwo bij! Nie żałuj, a bij! Łaskawość nie pomogła, a modlitwa święta nie pomogła, i gonienie do roboty

nie pomogło; może jeszcze bicie pomoże.

Może będzie bać się, może na nią groźby po-trzeba, może groźbę przed sobą widząc upamięta się! Już widać innej rady dla niej nie ma! bij!

— Już widać rady i innego ratunku dla niej nie ma! — machinalnie powtórzył i nagle rękoma splasnął.

— Co mnie tu robić? — zaczął znowu — żeby mnie jednemu nieszczęście robiła, niechajby już... ale tamtych szkoda! Za co oni od niej łajania i szkody znoszą? Może pieniędzy jej dać, wszystko oddać i z chaty wyprawić? Już bym, zdaje się, teraz tak i zrobił, już zdaje się i nie lubię ja jej teraz... a jednakowoż żal mnie ją na ostatnie zatracenie w świat wypędzać. I grzech na duszę wezmę, kiedy wypędzę. Przed świętym ołtarzem przysięgłem, że nie opuszczę aż do śmierci! ha? I tak źle, i tak jeszcze gorzej! co mnie tu robić?

— Bij! — powtórzyła Awdocia.

— Oj, kiedyż mnie te bicie... ja i psa nigdy nie bił!

— A ją bij! dla jej własnego ratunku bij! może przelęknie się i ze strachu upamiętanie na nią przyjdzie...

— Dla jej własnego ratunku... może jeszcze i upamięta się... — wzroku od ziemi nie odrywając powtórzył Paweł.

W godzinę potem do chaty swojej wszedł, omackiem lampkę znalazł i zapalił, po izbie rozejrzał się.

— Franka, jeść dawaj! czujesz? chutko!

Głos jego brzmiał surowo i szorstko. Ona z kąta izby wyskoczyła i z gwałtownym ruchem ramion krzyknęła:

— A ty do mnie swoim chamskim językiem mówić nie śmieję! I rozkazywać mnie nie śmieję! Ja nie twoja służka! Ja choć zwariowawszy i wyszłam za ciebie, w porównaniu z tobą panią jestem! księżną, królową! Ty mnie służyć powinien i pył przed moimi nogami zmiatać, nie żebym ja tobie służyć miała!

Długo jeszcze w ten sam sposób mówiła, tym, że ją był na kilka godzin w ciemnej izbie zamknął, do ostatka rozwścieczona. Paweł nie odpowiadał nic; jak kamienny na ławie siedział, kiedy zaś wreszcie umilkła, powtórzył:

— Daj jeść!

— Nie ma u mnie dla ciebie żadnego jedzenia! — krzyknęła.

— Zgotuj, a zaraz! — podniesionym głosem zawołał. Czy sama przez cały dzień nic w ustach nie mając głodną się czuła, lub też, drząc na całym ciele, przy ogniu ogrzać się zapragnęła, ale z sieni wiązki drewek przyniosła i w milczeniu ponurym warczeniem tylko przerywanym ogień w piecu roznieciła. Wody potem do garnka nalawszy kilka garści krup w nią wsypała. Paweł przez chwilę wodził za nią błędnymi i niekiedy ostre błyski rzucającymi oczami, aż przysunął się do stołu, leżącą na nim „Służbę bożą” otworzył i w karty jej wzrok wlepił. Chciał może nie patrzeć na nią albo odpędzić od siebie myśli, które kręciły się mu po głowie. Dlatego zapewne, aby łatwiej drugi z tych celów osiągnąć, półgłosem bąkać zaczął:

— Niech o-pła-ki-wam wi-ny mo-je, niech -od-od-od-r-z-u-rzu-odrzu-cam po-ku-sy...

Przed piecem, w którym płonął już ogień, rozległ się ostry, zjadliwy śmiech.

— Ot czytanie! Ot śliczne czytanie! Ot widać zaraz, że edukowany! Ot! gnój tobie wozic, ale nie książki czytać... chamisko!

Paweł z głową w dłoniach, półgłosem czytał dalej:

— Niech po-pra-wiam złe s-k-ł-o-n-skłon-n-o-ś-mos-skłon-noś-c-i-skłonności m-o-je.

— Nu, czy przestaniesz? — krzyknęła Franka — wolałabym skrzeczenia żab słuchać niż tego

chamskiego czytania! Czytać zachciało się! pan! hrabia! rabin żydowski! Paweł czytał, a raczej bąkał:

— Niech się sta-ram o cno-ty p-r-z-y z-przyz-w-o-wo-przyzwo...

Wtem mała, zgrabna, drżąca ręka spod samej twarzy jego książkę porwała. Jednocześnie zerwał się i on z ławy, prosty jak struna, z rozblęskanymi źrenicami.

— Oddaj książkę! — krzyknął.

— Nie twoja książka, moja! do mojej własności prawa nie masz! Kiedy zechcę, to spalę i a d i e! Na tamtym świecie chyba diabli ci książki do czytania dawać będą!

— Franka! oddaj! słyszysz? bić będę! — przez zaciśnięte zęby przemówił i widać było, że z wysiłeniem nadzwyczajnym tłumił w sobie gniew, straszny gniew cichego i łagodnego, w głębi zaś namiętnego człowieka.

— Bij! — krzyknęła — a ja książkę spalę! Ramieniem zamachnęła tak, jakby „Służbę bożą” w ogień cisnąć miała, ale powstrzymała ją ta sama twarda, żelazna obręcz, która już raz przed kilkunastu dniami objęła była jej ramię. Książkę z ręki jej wyrwał i ramię z uścisku palców swych uwolniwszy na ławę ciężko upadł. Poblądł jak płótno, ciężko i głośno oddychał, parę razy z cicha powtórzył:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

Jeszcze pohamował się, jeszcze nie wybił jej, a nawet po paru minutach zniżonym i przez śpieszny oddech przerywanym głosem mówić zaczął:

— Franka! upamiętaj się! Na Pana Boga wspomnij, duszy swojej własnej pożałuj... toż ty mnie wtenczas na mogiłkach przed krzyżem świętym przysięgała... i drugi raz w kościele przysięgała... toż ja tobie nic złego nie zrobił... za co ty mnie męczysz? za co ty sama siebie gubisz?...

Ona przed ogniem stojąc milczała i drżącą ręką mieszała w garnku wodę i krupy. Po twarzy jej, czerwonym blaskiem ognia oblanej, błędziły jakieś wahające się wątpliwości i namysły. Szarpiące nią furie uspakajac się zdawały; gdy Paweł wymawiał: „Toż ja tobie nic złego nie zrobił, za co ty mnie męczysz?”, policzki jej boleśnie zadrgały i powieki opadły na źrenice mniej niż wprzód rozgorzałe. Znowu tak wyglądała, jak gdyby wstyd przejmować ją zaczynał. Wtem drzwi otworzyły się ze stukiem, ale wąsko, i przez ten wąski otwór ukazał się mały Chtawian, w dwóch wielkich czerwonych rękach trzymany. Zarazem głos niewidzialnej za uchylonymi drzwiami Ulany, popędliwy, wzgardliwy, grubszy niż zwykle, zawołał:

— Masz swego bękarta... czemu jego sama nie pilnujesz! żeby nie ja, już by z niego tylko garść kosteczek została. Po drodze łąził... spod woza go wyrwałam... spod samiotkiego woza! Czemu nie pilnujesz! Kiedy urodziłaś, to i pilnuj! Ale taka ty matka jak i żonka! Szelma, nie matka! Sadoma i Hamora, nie żonka!

Ze stukiem znowu drzwi zamknęła, a Chtawian przez próg do izby wrzucony ręce ku głowie podniósł i płaczem wrzasnął.

Na głos Ulany, tej nienawistnej dla niej kobiety, przez którą i przez której męża obita została i Daniłka utraciła, Franka z zaciśniętymi pięściami i groźbą w oczach porwała się ku drzwiom.

— Zabiję! — krzyknęła — dalszóg zabiję... za gardło schwycę i jak sukę zaduszę...

Łatwo było uwierzyć, że gdyby dopędziła teraz Ulanę, spróbowałaby przynajmniej groźbę swą skutecznie. Ale znowu uczuła na ramieniu swym tę samą co wprzód obręcz i znowu z przeraźliwym krzykiem ku ziemi przypadła. W izbie zaś razem z jej krzykiem i chlupaniem przełkniętego dziecka słyhać było głuchy stuk zadawanych razów i śpiesznym, urywanym, zdławionym szeptem wymawiane wyrazy:

— Nie zabijesz! Nie zabijesz! Wprzód ja ciebie... Cierp! pokutuj! upamiętaj się! Za grzechy cierp! O zabijaniu nie myśl! Pokutuj!

Na koniec ucichło wszystko i mężczyzna wysoki, z nisko schyłym karkiem, z twarzą bladą i potem oblaną, z gwałtownie podnoszącą się i opadającą pierśią, przed chatę wyszedł. Silnym był, a jednak nogi pod nim drżały. Na progu usiadł, głowę w obie ręce wziął i całą postacią zakołysał się w obie strony.

— Jezu mój! Jezu! Jezu najmiłosierniejszy! — głośno i rozpacznie wzdychał.

Wybił więc ją znowu i srożej niż przedtem. Z pół godziny kołysząc się, miłosierdzia boskiego wzywając, z głową w dłoniach siedział, aż nagle o czymś sobie przypomniawszy wstał i do chaty wszedł. Co się dzieje z dzieckiem? Rozejrzał się po izbie, Franki nigdzie nie zobaczył. Tak schowała się w jakimś kącie, że wcale jej widać nie było, ale Chtawian przed piecem na ziemi siedział, z trzasek dom budować czy płot stawiać próbował, a mrużącymi się od senności oczyma czasem na garnek przed dogorywającym ogniem stojący spoglądał. Pawła ujrzawszy trzaski z rąk wypuścił i żałośnie zawołał:

— Tatku! jeść!

Krupnik zgotowanym nie był, więc Paweł z szafki kawał chleba wyjął, cienki płatek słoniny na nim położył i dziecku dał. Potem schyliwszy się wziął je na ręce i przez izbę przeniósłszy na łóżku posadził.

— Jak zjesz, połóż się i śpij! — nauczył.

Z najciemniejszego kąta izby, tego, w którym wśród rybackich i gospodarskich narzędzi najczęściej i najgłośniej zwykle były łomotać myszy, ozwało się gniewne, z jękami zmieszane warczenie:

— Nie rusz mego dziecka! słyszysz? to moje dziecko... pańskie... a ty rozbójnik, krwiożerca, cham! cham podły! słyszysz?

Paweł nie odpowiedział nic. Lampkę zgasił, z chaty znów wyszedł i przez całą noc nie powracał.

Ale niebawem, bo może w trzy dni po tym ponurym, strasznym wieczorze, przyszedł dzień, dla wszystkich mieszkańców obu chat najstraszniejszy, w którym Franka całkiem już prawie od przytomności odchodzić się zdawała. Tym większym zaś przerażeniem i obrzydzeniem przejmowało to Koźluków, że o przyczynie tego najsroźszego napadu jej szaleństwa dobrze już wiedzieli. Dowiedzieli się zaś o niej od Daniłka, który wczoraj o zmroku do izby wpadł z takim impetem, jakby kto go był z procy wyrzucił, i prawie z płaczem zawołał:

— To cóż ja zrobię? Potem znów cała bieda na mnie spadnie! Czepia się jak ta smoła... I teraz do gumna przyleciała... obejmuje... kusi... prosi...

— A ty co zrobił? — głowę znad brony, którą naprawiał, podnosząc srogo zapytał Filip.

— W kark dał i uciekł... — cieniem głosem odpowiedział Daniłko.

— Nie łzesz?

— Jak Boga kochani, prawda! — zaprzysiągł chłopiec.

— Nu, patrzaj, bo jeżeli co... kijem skórę z pleców zedrą!

Ulana nad dzieżą, w której chleb miesiła, kilka przekleństw wymruczała i z wykrzywionymi ustami na stronę splunęła.

Daniłko mówił prawdę. Myśl o widzeniu się z nim sam na sam gwoździem w mózgu siedziała i warem toczyła się w żyłach Franki. Nie tylko już rozszalały instynkt miłosny ku niemu ją pociągał, ale żądza postawienia na swoim pomimo wszystko i wszystkich, dziki bunt przeciw więzom, które nałożono na nią, i przeciw tej nienawistnej pięści, która ją karciała. Im większą nienawiść uczuwała względem Pawła i jego krewnych, tym szaleniej pragnęła jakimkolwiek kosztem swoją wolę im pokazać, z ładnym chłopcem choć na chwilę o tym, co ją wewnątrz bolało, paliło, targało, zapomnieć. Była zresztą najpewniejszą, że Daniłko przepada za nią, że gotów by nawet ożenić się z nią, gdyby wolną była, że tylko ze strachu przed gniewem Filipa i Pawła jej unika. Unikał jej istotnie.



Choć zrazu olśniony i upojony pierwszą w życiu miłosną przygodą, z łatwością dał się szeptom Marceli i Franki zalotom pociągnąć, teraz zląkł się nie tylko gniewu brata, ale także grzechu, więcej jeszcze zawstydził się, ochłonął i ręką machnąwszy stanowczo sobie powiedział:

— I znać jej nie chcę!

Toteż, gdy upatrzysz na koniec sposobną chwilę do gumna za nim wbiegła i do rąk, do szyi jego szepcząc coś, mizdrząc się czepiać zaczęła, odepchnął ją z gniewnymi słowy:

— Odczep się! czego przylepiła się jak ta smoła! Czego chcesz!

A gdy natarczywiej jeszcze ku niemu wróciła, pięścią nieco powyżej pleców ją uderzył i sam uciekł.

To przechodziło już wszystko, co znieść mogła. Jak to! więc po to urodziła się, aby każde chamisko śmiało na jej plecy pięści swe opuszczać! A któż to ona jest, aby w takiej poniewierce móc zostawać? Pokaże im, poznają oni, kto ona taka! Dobrze ją popamiętają! Wszystko to, nazajutrz po niefortunnym widzeniu się swoim z Daniłkiem, wypowiadała i wykrzykiwała, pomiędzy płótkami podwórko otaczającymi chodząc i pięściami ku sąsiedniemu podwórzku wygrażając. Ranek był jeszcze wczesny, ale Paweł o świcie już nad rzekę poszedł, a Filip i Ulana przed drzwiami swojej chaty stali, co mówić i poczynać już nie wiedząc. Na twarzach ich, nieco pobladłych, malowała się trwoga. Gromadka ludzi krzykami i ciekawością tu przywiedziona, we wrotach stała, temu, co działo się na przeciwległym podwórku, przypatrując się z otwartymi ustami. Była tam i Awdocia, która ze wsi pobliskiej od chorej kobiety powracając tędy przechodziła i także u wrót stanęła.

— Ja wam, chamy, pokażę, kto ja taka! — krzyczała Franka — ja was nauczę wyższych szanować! Ja pani z panów! Ojciec mój w kancelarii służył, dziadunio swoje domy miał, matka na fortepianie grała... Słyszycie? Ot, kto ja taka! Do Kluczkiewicza napiszę! A wiecie wy, kto on taki? Adwokat, mój brat cioteczny! Wszystko jemu opiszę, a on was wszystkich za moje krzywdy na Sybir pozasyła! Słyszycie? Wszystkich na Sybir pozasyła! On pan, z panią żonaty, bogaty, wszyscy panowie przed nim czapki zdejmują i wszystkie sądy w garści trzyma, i wszystko może! On brat, on za mną ujmie się... wszystkich was na Sybir ześle... wszystkich... wszystkich... do katorgi... na całe życie... żeby tu i nogi waszej nie było...

Tak wykrzykiwała, przechwałki i pogróżki grubymi wyrazami łajań i przekleństw przeplatając, pięściami wygrażała, a potem przyciszała się na chwilę i z głuchym tylko warczeniem po żółkłej trawie podwórka pomiędzy niskimi płótkami chodziła w kółko, w kółko, nieustannie. I wtedy właśnie najstraszniejszy miała pozór. W brudnej koszuli, na plecach tylko przykrytej dziurawą chustką, w różowym fartuchu, z nagimi nogami, a stopami w płytkie trzewiki obutymi, z czołem oblepionym mokrą płachtą, skurczona, naprzód podana, gdy tak w kółko pod płótem chodziła i głucho warczała, podobną była do dzikiego zwierzęcia, które wściekłym gniewem i żądzą wolności opanowane krąży dokoła prętów swojej klatki. Wyraźnie przy tym rozróżnić było można wymawiane przez nią słowa:

— Kara boska! kara boska! kara boska na mnie spadła za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlałam! Ojciec i matka przewracają się w trumnach na moją hańbę patrząc! Kara boska! kara boska! kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam!

A potem znowu prostując się i do płota z podwórkiem Koźluków graniczącego przyskakując ściśnięte pięści wyciągała i krzyczała:

— Chatę podpale! dzieci poduszę! prom porąbię! Do Kluczkiewicza napiszę, do jednego mego pana napiszę, żeby na was krzywdy mojej poszukiwali, do turmy posadzili, na Sybir posyłali... Ja pani z panów, z panami znam się, wszystko mogę... i chatę wam z dymem puszcę... moja matka na fortepianie grała... ja ją z grobu wyciągnę... ja na was policję i sędziów posprawadzam... ja pani z panów... Wszystkich was chamów zgubię...

Teraz znowu, gdy suchą kibić swą prostowała, ramiona ze ściśniętymi pięściami w górę wyprężała, a piękne jej

włosy jak czarne, połyskujące węże wiły się po jej plecach i piersiach, oczy zaś wielkie, zapadłe, spod oblepiającej czoło mokrej szmaty płomienie i błyskawice ciskały, wydawać się mogła bezprzytomną i rozszalałą wariatką. Ale ludziom, którzy patrzyli na nią, wydawała się piekielnym, nadprzyrodzonym zjawiskiem. Toteż coraz większe osłupienie ich ogarniało i coraz większy lęk występował na ich twarze, szczególnie na twarze Ulany i Filipa, do których bezpośrednio zwracały się groźby jej i przekleństwa. A nuż sprawdzi się którekolwiek? A nuż ten jej Kluczkiewicz doprawdy wielkim jakim adwokatem jest i biedę na nich sprowadzić może! Nuż cokolwiek z tego, co wygaduje, w zły moment wygada? Że sama zdolną była do podpalenia chaty albo zaduszenia dziecka, o tym Koźlukowie w najmniejszej mierze nie wątpili. Stali tedy przerażeni, ogłupiali, niemi, a w gromadce kobiet i mężczyzn u wrót stojących rozlegały się czasem stłumione chichoty, lecz daleko częściej zadziwione i przerażone szeptu.

— K a m e d i a !

— W i e d ź m a !

— C h f i k s a t k a !

— K a b j ą d o m i a s t a z a w i e ś ć i d o s z p i t a l a c h w a r i a t ó w p o s a d z i ć !

— C z y t e n P a u l u k B o g a n i e b o i s i ę , ż e b y t a k ą w c h a c i e t r z y m a ć !

Nikt przecież i nie chciał, i nie śmiał zbliżyć się do niej z napomnieniem lub pogróżką. Nikt prócz Awdoci, która długo i prędko powiekami mrugała, głową kiwała, ciche wykrzyki zgrozy wydawała, aż szybkim ruchem przeżegnała się i jak świeczka wyprostowana, z rękami pod fartuchem schowanymi, drobnym kroczkiem małą przestrzeń przebyła i na podwórko Pawła wszedłszy drogę France zaszła.

— Franka — łagodnym i poważnym głosem zaczęła — słuchaj, Franka! Tobie ktoś ci coś zrobił, ty oczarowana. Już teraz ja wiem, dlaczego ty taka, i takiego ziółka tobie przyniosę, że jak napijesz się, od razu siebie złe odstąpi. Już ja takie ziółko od zrobienoho mam i tobie dam. Pomogę! wyratuję! Tylko teraz przeżegnaj się, moja mileńka, przeżegnaj się... raz tylko przeżegnaj się... a zobaczysz, że lżej stanie... To tobie zrobiono... to na ciebie ktoś nieczystą siłę nasłał... Przeżegnaj się!...

Franka łagodnej i proszącej mowy starej kobiety zrazu z gorączkową ciekawością zdawała się słuchać, ale wkrótce z przyspieszonym oddechem i ściśniętymi pięściami do niej poskoczyła.

— Ty sama w i e d ź m a ! — krzyknęła — c o t y m n i e c z a r a m i s t r a s z y ć p r z y s z ł a . .

— J a w i e d ź m a ! — o d k r z y k n ę ł a A w d o c i a , d l a k t ó r e j s r o z s z e j n a d t ę o b e l g i b y ć n i e m o g ł o .

Lekarką była, ale nie wiedźmą, dobrze ludziom robić lubiła, ale robieniem złego brzydziła się jak śmiertelnym grzechem. Pierwszy raz w życiu wiedźmą nazwana została i schwyciwszy się za głowę wielkim gniewem wybuchnęła:

— T y s a m a z c z a r t o w s k i e g o p l e m i e n i a ! . . — z a k r z y c z a ł a .

— J a p a n i z p a n ó w , a t y c z a r t o w s k a s ł u g a . . p r e c z , c z e g o m n i e w o c z y w l a z ł a . . c z a r o w n i c a , c h a m k a . . p r e c z ! p r e c z !

Dwie postacie niewieście zaszamotały się teraz u płota, dwa piskliwe głosy krzyczały tak, że już i słów rozróżnić nie było można; Aleksy Mikuła z gromadki u płota stojącej wyskoczył i na ratunek Awdoci pobiegł; za jego przykładem, choć nieco powolniej, posunęli się i inni.

— Z w i ą z a ć j ą i d o s z p i t a l a c h w a r i a t ó w o d w i e ź ć ! — k r z y c z a ł A l e k s y .

— Z w i ą z a ć ! z b i ć ! w c h a c i e z a m k n ą ć ! p o P a u l u k a p o s ł a ć ! — r o z l e g a ł y s i ę w o ł a n i a i n n y c h .

Ułana przed chatą swoją wciąż stojąc drżąca jedną ręką u czoła i piersi znaki krzyża czyniła, drugą przygarniała cisnące się ku niej przerażone dzieci, pośród których znajdował się i Chtawian.

Wtem zza węgła chaty ukazał się Paweł. Ktoś go już nad rzeką był wynalazł i o tym, co działo się, zawiadomił. Szedł prędko, z czapką nisko na oczy zsuniętą, z policzkami jak ogień czerwonymi. Na spotkanie mu poskoczyła Awdocia ręce łamiąc i głośne skargi zawodząc, że Franka ją wiedźmą nazwała i wybiła, a pewno by i zabiła, gdyby Aleksy i inni ludzie jej nie obronili. Paweł przyjaciółkę swoją porywczym gestem usunął, dwóch mężczyzn, którzy na drodze mu stali, odepchnął i Frankę za ramię pochwywszy ku chacie pociągnął. Wszystko to uczynił bez słowa, bez tchu prawie, z oczami daszkiem czapki zasłoniętymi i czerwonymi jak ogień policzkami. Gdy razem z Franką we wnętrzu chaty zniknął, obecni w części rozeszli się, w części na Koźlukowym podwórku pozostali i niby czegoś jeszcze oczekując, milczeli. Wśród tego milczenia rozległ się z chaty Pawła wychodzący krzyk kobiecy i powtórzył się już nie kilka, jak przedtem, ale kilkanaście razy. Potem wszystko zupełnie ucichło, ludzie rozeszli się do reszty, Koźlukowie nawet do codziennych swych robót poszli, czworo dzieci tylko swawolą i śmiechem dzwoniło u stóp cmentarnego borku i żółty Kurta, wygrzewając się na bladym słońcu wrześnieowym, od czasu do czasu poszczeniwał.

W bladym słońcu wrześnieowym chata Pawła stała cicha jak grób, z drzwiami z zewnątrz zamkniętymi, z oknem zawieszonym słomianą matą i drewnianym drągiem podpartym. Wewnątrz, w ciemnej izbie, Franka ogień w piecu rozniecała. Przed kilku minutami Paweł wychodząc stąd surowym i ciężko z piersi wychodzącym głosem przemówił:

— Ogień rozpal i strawę zgotuj, żeby mnie, jak z rzeki wrócę, zgotowana była. Kiedy nie będzie, znów wybiję!

Zaraz potem ciemność otoczyła Frankę, ale skurczona, oniemiała, siedziała ona wśród niej na ziemi tylko minut kilka. Potem zerwała się i prędko, spieszenie ogień rozniecać zaczęła. Trzęsącymi się rękami wrzucając do pieca polana i suche trzaski, urywanym, chrypliwym, świszczącym szeptem mówiła:

— Zgotuję ja tobie strawę, zobaczysz, jaka będzie smaczna! Wywdzięczę się ja tobie... Pokażę ja wam wszystkim... będziesz ty kontent z tej strawy, którą ja dziś zgotuję... będzie tobie dobrze po niej! Poczekaj! poczekaj! na tamym już świecie chyba spróbujesz swoje chamskie kułaki na takie, jak ja, spuszczać!

Można byłoby mniemać, że po wszystkim, co dziś zaszło, czuć się musi zmęczoną i osłabioną. Bynajmniej. Dziwnie żwawo i sprężyste krzątała się około rozpalania ognia, nalewania wody do garnka, wydobywania krup z worka. Nóż z szafki pochwyciła, trochę kartofli z łupin okroiła i do gotującej się wody wrzuciła; z zapaloną trzaską do sieni poszła i stamtąd garnek z mlekiem przyniosła. Jakaś myśl, jakieś uczucie rękoma jej przysparzały siły, ciała giętkości, ruchom pośpiechu. Zdawać się też mogło, że opanowała ją niezmierna gorliwość i troskliwość o to, aby jadło, które sporządzała, jak najsmaczniejszym być mogło. Toteż sól do garnka z wodą i krupami sypiąc, kartofle wkładając, mleka wlewając ciągle ze świstem w ustach i chrypką w gardle szeptała:

— Ot, najesz się, ot, syty już będziesz... taki syty, że już nigdy jeść się tobie nie zechce! I bić mnie już nigdy się tobie nie zechce! Podziękujesz mnie! W godzinę śmierci poznasz, co to znaczy na taką, jak ja, rękę podnosić!

Czasem jednak po tym zjadliwym i tryumfującym szepcie następował ponury i rozpaczny.

— Kara boska! kara boska! kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlałam! Ot, do czego przyszłam. Ot, co mnie teraz robić przyszło! Kara boska, kara boska, kara boska!

Wtedy blask ognia na twarz jej padający ukazywał w jej oczach przepaścisty, czarny, osłupiały smutek.

Kiedy już krupnik zupełnie był zgotowanym, do skrzynki swojej stojącej w kącie poszła,

otworzyła ją, ze spodu podartą i obłoconą spódnicę wywlekła i przez chwilę kieszeni jej ręką szukała. Kieszeń znalazłszy, rękę w niej pograżyła i coś w papierek owiniętego z niej wyjęła. Potem niedbale spódnicę na ziemię upuściła, skrzynki nie zamknęła i z papierkiem w ręku przed piec wróciwszy to, co się w nim zawierało, do garnka wsypała. Wszystkiego tego dokonała z prędkimi, ale spokojniejszymi niż wprzód ruchami, w zupełnym milczeniu. Do zgotowanego i mlekiem zaprawionego krupniku biały proszek wsypawszy, dużą, drewnianą łyżką w garnku mieszać zaczęła. Mieszała zwolna, pilnie, regularnie, sine usta jej były mocno zwarte, w oczach świeciło nieruchome płomień, na policzkach płonęły czerwone rumieńce.

Najmniej wątpliwiej czyniła to wszystko z zupełną świadomością swego celu, nawet z namysłem, bardzo jednak biegle chyba psychiatra udzielić by mógł wiadomości, czy jej psyche całkowicie w niej była przytomną. Co pewna, to że w tej chwili żyła jedynie i wyłącznie tą chwilą i ani wspomnień, ani przewidywań nie miała. Nie było też w niej ani skrupułów, ani walki. Pierwszych przez całe życie swe nie doświadczała nigdy; przez całe życie ta składowa część uspołecznionej istoty ludzkiej, która budzi skrupuły i walki, była w niej nieobecna. Teraz, pod wpływem jednej, do ostatecznego natężenia doszłej myśli i namiętności, mniej niż kiedykolwiek powstać w niej ona mogła. W plecach, ramionach, szyi czuła ból od popychań i uderzeń tych, którzy stawali w obronie Awdoci, i od razów, które jej zadał Paweł. Myślała, że jest sponiewieraną, skrzywdzoną, spętaną, nienawidzila i nienawiścią tą w najpotężniejszy możliwy sobie sposób uderzyć w kogoś pragnęła. Więcej nic. Najmniej wątpliwiej psyche jej całkiem jej nie opuściła, ale na tej wąziutkiej linijce, która przytomność z obłędem rozgranicza, chwiała się kaleka, pijana, bezpamiętna, rozwścieczona i — rozboleła.

Paweł po zamknięciu drzwi i okna swojej chaty szerokimi krokami, z czapką ciągle na oczy nasuniętą, zmierzał do tej, w której mieszkała Awdocia. Zobaczył ją, wieszającą upraną bieliznę na płotku przedzielającym dziedziniec z ulicą wiejską. Na dziedziniec nie wchodząc z przeciwnej strony płotu przed nią stanął i czapki nie podnosząc głuchym głosem zaczął:

— Wybaczcie, kumo, że taką nieprzyjemność przeze mnie mieliście... Wybiłem...

Spłakana jeszcze, zaraz jednak wyprostowała się i ręce pod fartuch chowając, powiekami mrugając zaszepotała:

— Nic jej i bicie nie pomoże. Jej to zrobione i póki odrobione nie będzie, nic nie pomoże.

Już ja dziś poznałam, że to nie boska wola, tylko ludzka robota... Dziś wieczorkiem kopytniku nagotuję i jej do picia przyniosę... kopytnik od zrobionego najlepszy, ale biedy nie pomoże, to co innego pomoże...

Paweł milczał długo, aż ramionami wzruszając odpowiedział:

— Czy ja wiem? może i twoja prawda... może to i zrobione... Ani przysięga i łaskawość nie pomogły, ani święta modlitwa i robota nie pomogły, ani bicie nie pomaga... Czyż to boska wola taka może być? Chyba to i już czartowska wola i siła... chyba może... chyba kto jej tak zrobił...

Wahał się, nie dowierzał, jednak nieszczęściem swym zgnębiony, zawodami, które wiarę jego, tak zawsze silną, po kolei niszczyły, do osłupiałości zadziwiony, nadprzyrodzone wpływy na Frankę działające przypuszczać zaczął. Awdocia zaś szeptała:

— Wieczorkiem pod ogród podejdę i ciebie zawołam. Jak wyjdiesz, garnuszek z kopytnikiem tobie dam, a ty go jej wypić każesz... żeby nie wiem jak nie chciała, każ... z ł y w niej krzyczeń będzie i rzucać nią będzie, ale ty nie uważaj i wypić każ... Ojcie nasz przy tym mów i żegnaj się, ciągle żegnaj się, i ją żegnaj... Wieczorkiem już ja tobie wszystko powiem, jak robić...

— Dobrze — odpowiedział Paweł — przynieście, nauczcie, poratujcie i niech wam Pan Bóg wynagrodzi za to, że mnie w biedzie nie opuszczacie.

Prędko odwrócił się i ku rzece szedł. Nie do pracy mu jednak było dnia tego. Wyglądał tak, jakby sam ciężko był zbitym; ciężkie cierpienie zagłębiło mu policzki i w grube fałdy ściągnęło czoło. Na parę godzin przed wczesnym wrześnieowym zmrokiem matę z okna chaty swojej zdjął, drzwi otworzył i do izby wszedł. Otwór pieca był drewnianą deską zasunięty, Franka na łóżku skurczona i z głową w dłoniach ściśniętą siedziała. Gdy tylko jasno zrobiło się w izbie, skoczyła, leżący na ławie kawał płótna z wetkniętą igłą schwyciła i na uprzednie miejsce swe wróciwszy szyć zaczęła. Widok pieca i deski, za którą gospodynie zazwyczaj stawiają ugotowaną strawę, przypomniawszy Pawłowi, że od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miał.

— Czy jest co jeść? — zapytał, a głos jego brzmiał już daleko spokojniej i łagodniej niż przed kilku godzinami; był to głos człowieka, który po wybuchu wielkiego gniewu uczuwać zaczyna wielką litość, po burzy i kłótni — niby właściwej dla siebie atmosfery — pragnie pogody i zgody.

— Jest co jeść, Franka? — zapytał po raz drugi. Głowy ani oczu nie podnosząc mruknęła:

— Jest.

— Nalej na miskę i daj — łagodniej jeszcze niż przedtem wyrzekł.

— Weź sam — odpowiedziała.

Odjął deskę, z głębi pieca wysunął garnek i ukroiwszy kawał chleba przed piecem, który mu za stół służył, w stojącej postawie jeść zaczął. Jadł bardzo powoli. Przed chwilą czuł się głodnym, teraz jednak strawa z trudnością przez gardło mu przechodziła. Czuł w niej smak nieco gorzkawy. Myślał, że to zgryzota goryczą mu usta i gardło zalała. Ona też to istotnie, ale nie smak gorzkawy, bardzo lekki, głód w nim tłumiała. I połowy więc zawartości garnka nie zjadłszy łyżkę w krupniku zatopioną z ręki wypuścił, siermięgę zdjął i pod głowę ją sobie podłożywszy z głośnym odetchnięciem ciężko zmordowanego człowieka na ławie się wyciągnął.

Franka z głową nisko schyloną ciągle i pręd-ko szyła. Gdy Paweł jadł, wcale oczu od płótna nie odrywała; teraz rzucić zaczęła na niego spojrzenia ukośne i szybkie, nie trwożne wcale, nawet nie zaniepokojone, raczej gniewne i urągliwe. Kiedy zobaczyła, że powieki zamknął i usnął, płótno odrzuciła, łokcie na kolanach oparła i twarz w dłoniach zanurzyła. Cisza zupełna, przerywana tylko oddechem śpiącego człowieka, długo panowała w izbie. Z zewnątrz też dochodził do niej gwar wzniecany przez bawiące się dzieci, pomiędzy którymi znajdował się i Chtawian. Ułana go dziś nakarmić musiała, co zresztą zdarzało się dość często; z dziećmi jej na ciepłym słońcu dokazywał, do chaty nie przychodził. W powietrzu trochę już szarzyć zaczęło; jeszcze dzień był, ale już kłonił się ku wieczorowi. Paweł we śnie poruszył się parę razy niespokojnie i z cicha zajęczał. Błady był i usta skurczyły mu się jakby od bólu. Nie obudził się jednak. Franka głowę podniosła, na z cicha jęczącego popatrzała, z siedzenia zerwała się i z chaty wypadła. Ściany chaty okrążywszy, skrajem góry, za stodółkami, których tam kilka rzędem i blisko siebie stało, prędko iść zaczęła. Widać było po niej, że sama nie wiedziała, po co i dokąd idzie; nie wiedzieć też dopóki i gdzie by szła, gdyby nie zobaczyła na spotkanie jej także skrajem góry i za stodółkami posuwającej się kwadratowej, ciężkiej, łachmanami okrytej, kijem podpierającej się postaci.

— Marcelka! — krzyknęła takim głosem, jakim ktoś długo wśród wrogów przebywający i przez nich dręczony wita jedyną na świecie przyjazną mu istotę.

Dawno już starej żebraczki nie widziała; Marcela bowiem, jak przedtem w sprawie z lokajem Karolem, tak teraz w zajściu z Daniłkiem niewinną się nie czuła, Pawła i Koźluków lękała się jak ognia, a w oddalonej chacie na kącie teraz przesiadując wołała wcale nie nawijać się im na oczy. Ciekawą jednak była, bardzo ciekawą dowiedzieć się, co po dzisiejszej hawanturze, o której od ludzi słyszała, dzieje się z Pawłem i Franką; więc za stodołami ku ich chacie szła w nadziei, że po kryjomu coś może zobaczy, posłysz, Frankę samą gdzie spotka i u niej rozpyta się. Spotkała i kroku

przyśpieszyła. Franka zaś ku niej nie szła, ale biegła; blisko niej znalazłszy się ramiona wyciągnęła, na szyję żebraczki je zarzuciła i całym swym wyschlłym, giętkim ciałem do niej przyłgnąwszy gwałtownym płaczem wybuchnęła. Zdawało się, że radość, której doznała przyjazną sobie istotę ujrawszy, serce jej, stwardniałe i ciężkie jak kamień, zmiękczyła nagle i w łzy roztopiła. Marcela przyciszonym głosem zawodziła:

— Bije! a co? bije bije? Taki, zdaje się, dobry był, a teraz zrobił się taki zły! biedna ty, rybeńko moja, biedna! Nie do tego ty stworzona, nie do tego urodzona... Królować tobie i panować na tym świecie, a nie poniewierkę taką znosić... oj, Boże mój, Boże! a ja i przyjść do ciebie lękałam się... jeszcze by i mnie wybił... Moja ty złocieńka, może ty mnie wieczorkiem ze dwa kawałeczki cukru przyniesiesz... ja tu na ciebie czekać będę... okropnie cościś brzuch rozboleł się, stanouniku sobie nagotowałam, ale nadto gorzki, osłodzić trzeba...

Franka nagle płakać przestała i ciągle ramieniem szyję żebraczki otaczając podniosła na nią oczy, w których zza nieoschlłych jeszcze łez palił się smutny, ponury a jednak zarazem i tryumfujący ogień.

— Już on mnie nigdy bić nie będzie — zaszepiała.

— Czemu? — zapytała żebraczka.

— Już ja jemu tak zrobiła... że nie będzie...

— Mojaż ty mileńka, a cóż ty jemu takiego zrobiła?...

Z cicha, grubo, porywczo Franka rzuciła wyraz:

— Otrułam!

— W imię Ojca i Syna!... czy ty zwariowała, Franka, żeby takie rzeczy gadać? — krzyknęła Marcela.

— Może i zwariowałam, ale już on żyć na tym świecie nie będzie...

Stojącą przed nią kupę łachmanów porywało drżenie.

— Jezu najśłodszy!... Franka! nie łżesz? Uderzyła się pięścią w pierś.

— Jak Boga kocham! — odpowiedziała.

— Ratujcie ludzie! Jezus, Maria, Józefie święty... Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Święty Antoni Padewski, Najświętsza Mario Panno... W imię Ojca, i Syna, i Ducha... Kyrie... a e j s o n... — płaczącym się w ustach językiem, drżąc, żegnając się, w tył się cofając plotła Marcela, a siwe jej oczki pod czerwoną, opuchłą powieką słupem stawały.

— Ach, szelmaż z ciebie! ach, diabełże ciebie skusił! Oj, głowa moja nieszczęśliwa, czegoż ja tu przysła, na co ty mnie to powiedziała... jeszcze i na mnie bieda spadnie... ach, niegodziwa ty, czy w tobie duszy ludzkiej nie było...

Wtem od strony chaty Pawiowej, z podwórka, dało się słyszeć wołanie:

— Ulana! Ulana! Pilip! Ulana!

Był to głos donośny, silny, ale bardzo dziwny, jękiem nabrzmiały, bólem zdjęty, na pomoc wołający. Franka w kierunku tego głosu cała naprzód się podała, a potem sama jak strzała pobiegła. Do bocznej ściany chaty przypadłszy zza węgła jej na podwórko patrzeć zaczęła. Paweł stał przed drzwiami twarzą do podwórka Koźluków obrócony i coraz słabiej, ciszej Ulany i Filipa wołał. Dzieci bawiły się tuż za wrotami, ale na to wołanie uwagi żadnej nie zwracały; Ulana zaś z głębi obórki odezwała się na koniec:

— Czego?

— Chadzi! — zawołał jeszcze Paweł — jeżeli Boga kochasz, prędejj... ratuj!..

Z dłońmi do piersi przyciśniętymi, chwiejąc się, do chaty wszedł; Ulana, słowami i brzmieniem głosu jego przełęczniona, z obórki wypadła i prędko biegła. Filip ze swojej chaty wychylił się i za żoną zawołał:

— A czego ty tam lecis, Ulano?

— Chadzi! chutko! — odkrzyknęła i do chaty braterskiej wbiegła.

Przez dobrą godzinę potem przytłumione jęki cierpiącego człowieka z płaczącym zawodzeniem kobiet zmieszane rozlegały się w tej chacie i panowała w niej zawierucha krzątających się około chorego osób. Paweł, bez obuwia i siermięgi, w płóciennym odzieniu na pościeli leżał, czasem jęcząc i wijąc się od doświadczanych wewnątrz bólów i mdłości, czasem uspakajając się na chwilę i tylko nieustannie osłabłym głosem o wodę prosząc. Zamiast wody podawano mu ziółka, które Awdocia przed ogniem gotowała, przelewała, studziła chlipiąc i za głowę chwytając się, gdy Paweł więcej cierpiał i głośniej jęczał, gdy zaś ulgi doświadczwał i przycichał, z zapalem rękoma rozmachując i gadając

— Ot, co zgryzota może! Wszystko to ze zgryzoty! Zameczyła szelma ta biednieńkiego, przed czasem do mogiłki go wtrąciła! Może jeszcze Pan Bóg da, że odejdzie... Może jeszcze ziółka pomogą...

Gorący popiół z pieca wygarniała, w worki go wsypywała i Ulanę uczyła, jak ma nimi brata okładać.

Ulanie gęste łzy po czerwonych policzkach ciekły, gorliwie spełniała wszystkie zlecenia lekarki i czasem tylko przed chatą wybiegała, aby na dzieci najrzeć. Filip na ławie siedział nieruchomy, zmartwiony, nic do roboty nie mając, tylko gdy raz Awdocia do chorego, który gwałtownie zajęczał, przyskoczyła i przeraźliwie krzyknęła: „Umiera, ot, już i umiera! h r o m n i c y, ludzie, zmiłujcie się, prędzej h r o m n i c ę dawajcie!”, poskoczył i z chaty swojej kawał grubej woskowej świecy przyniósł. Obie kobiety śpiesznie i z głośnym płaczem ją zapaliły i w rękę chorego ją włożyły. Odtąd zaczęło się ciągle gaszenie i zapalanie, podawanie choremu a odbieranie mu gromnicy. Ile razy cierpienia jego zwiększały się, zapalały ją i podawały; ile razy zdawały się zmniejszać, z rąk mu ją wyjmowały i gasiły. Wtedy też do izby wsunęła się Franka i jak widmo cicha, przesunawszy się pod ścianą, w kącie na ziemi usiadła. Nikt na nią żadnej uwagi nie zwrócił. Raz tylko Ułana wody z wiadra zaczerpnąć potrzebując, bo Awdocia nowe jakieś zioła gotować zamierzała, kobietę przy wiadrze siedzącą popędliwie z drogi usunęła. Franka głębiej jeszcze w kąt zasunęła się i łokcie na kolanach oparłszy twarz w dłoniach zanurzyła. Nie podnosiła jej ani wtedy, kiedy Paweł głośniej jęczeć zaczynał, a kobiety z wielkim szamotaniem się i szlochaniem zapaloną gromnicę mu podawały, ani wtedy, gdy Daniłko do izby wszedł i półgłosem z bratem porozmawiawszy, zmieszany, zawstydzony, z pochyloną twarzą wyszedł. Była to już druga i straszniejsza od pierwszej godzina tej zawieruchy w chacie Pawła panującej. W połowie trzeciej chory rzadziej jęczeć zaczął, uspokajał się; ciężkie jego ciało na pościeli wyciągnięte coraz większej nieruchomości nabierało; twarz, która ze zmroku słabo oświetlonego palącą się na stole lampką wynurzała się jak sinoblada, kurczami bólu ściągnięta i wykrzywiona maska, do zwykłych zarysów swych powracała.

— Lżej tobie? — pochylając się nad nim zapytała Awdocia.

— Lżej — słabym głosem odpowiedział.

Wtedy Ułana znowu sobie o dzieci ech przypomniała.

— Pilip! — śpiesznie zwróciła się do męża — i d z i zobaczyć, czy dzieci w chacie... ogień zgaś, bo jeszcze sobie co złego zrobią... może Łukasz obudził się i piersi chce... kiedy płacze, to przynieś jego tutaj.

Filip wstał i z chaty wyszedł; wieczór był już zupełny; chłodnawy, pogodny, gwiazdzisty. W zmroku przez światło gwiazd rozświetlonym Filip ku wrotom idący zobaczył stojącą za nimi grubą, kwadratową postać ludzką, a do uszu jego doszło półgłośnie, ochryple mruczenie:

— Jezu Nazareński! zmiłuj s i a nad nami! Jezu przedziwny, zmiłuj s i a nad nami! Jezu, ucieczko

nasza, zmiłuj s i a nad nami!

Nie było to zwyczajne modlitewne mruczenie żebraczki; odzywały się w nim przestraszona, groza, szczere i nawet gwałtowne wołanie do Boga o ratunek. Filip jednak nie zwrócił na nie uwagi, tym bardziej, że przy zbliżeniu się jego ciężka, mruczająca postać odstała i w inną stronę poszła. Zaledwie jednak Filip ku podwórku swemu zmierzając zwrócił się ku niej plecami, wróciła także i kilka spiesnych kroków za nim uczyniła. W ten to sposób chodziła ona od trzech już blisko godzin, idąc, wracając, na jednym miejscu drepcąc, przysiadając na ziemi, gdy stare nogi posłuszeństwa jej odmawiały, i znowu podnosząc się, aby iść, wracać, dreptać... Modliła się żarliwie, walczyła. I powiedziec lękała się o tym, co wiedziała, i zamilczenie zgrozą ją przejmowało. W pierwszym wypadku lękała się podejrzeń na nią także spaść mogących, kłopotów, sądów; w drugim przerażał ją straszny sąd boży. Litość przy tym czuła nad tym człowiekiem, którego jęki aż po podwórku rozlegały się czasem i uszu jej dochodziły, i ohyda ją zdejmowała dla tej kobiety, która chyba duszy ludzkiej w sobie nie miała, gdy t o robiła ...

— Filip! — odezwała się na koniec — a! Pilip! Filipowi wydało się, że tuż za jego plecami piła jakaś imię jego wygrzytała. Już do chaty swojej miał wchodzić, obejrzał się.

— Czego? — zapytał.

Ze stojącej przed nim na dwu wielkich stopach kupy łachmanów wynurzała się i pod światłem gwiazd kredowobiała, sfałdowana, wyrazem zgrozy wykrzywiona, ku niemu podnosiła się twarz Marceli.

— Wiedajesz, Pilip — zaczęła — wiedajesz s z t o?... on... znaczy Pauluk... twój d z i e w i e r... otruty!

— Co? — wykrzyknął Filip.

— Dalbóg! — zaszepotała znowu żebraczka — nie mów tylko nikomu, mój mileńki, nie mów, że to ja tobie mówiłam... bo jeszcze i mnie bieda będzie... ona mnie sama powiedziała, że jego otruła... trucizny jemu do jedzenia wsypała... nie mów tylko nikomu, że ode mnie dowiedział się, jeżeli Boga boisz się, nie mów...

Filipa nagłe światło w oczy uderzyło. Dawno już myślał, że ona kiedykolwiek jaką okropną rzecz zrobi, że wszystko zrobić gotowa. A toż! Skądże Pawłowi ta nagła choroba przyszła? Marcela prawdę mówi, jak Bóg na niebie, prawdę! Za głowę się schwycił. I zgroza go przejęła, i uczucie tryumfu: zgrozę w nim budziła dokonana zbrodnia, tryumf uczuwał na myśl, że Paweł przekona się sam na koniec, jaką biedę i jakie niebezpieczeństwo na siebie i na nich sprowadził. Przez głowę jak błyskawica przemknęły mu: turnia, sąd, Sybir! Do turni ją zabiorą, na Sybir wyślą i wszystkich ich od niej na zawsze wybawią. Z miejsca porwał się, Marcelę odepchnął, krótszą drogą przez płoty i ogród ku chacie Pawła pędem biegł i do izby, w której zapanowała była chwilowa cisza, z krzykiem wpadł:

— Ot co! ot jak! Wiedajesz, Pauluk! ty otruty... żonka tobie trucizny zadała! słyszysz?

Tak dobrze usłyszał, że jak sprężyną podjęty, całą górną połowę ciała z pośłania dźwignął, wyprostowany usiadł i z ust jeden tylko przeciągły, pytaniem nabrzmiały dźwięk wydał:

— Ha?

— Otruła — powtarzał Filip — do jedzenia trucizny wsypała...

Awdocia i Ulana ręce załamały, a potem schwyciły się za głowy. Pierwsza do chorego przyskoczyła:

— Jadł ty dziś co?

Paweł, jak był nagle i sztywnie podniósł się, tak nagle sztywnie i ciężko na pośłanie opadł.

— Jadłem — z cicha odpowiedział.



— A co ty jadł?

— Krupnik — wyszeptał.

— A gdzie ten krupnik? — zaszamotała się po izbie Awdocia.

Ulana głośno dysząc, z przerażeniem na twarzy, garnek z utopioną w nim łyżką z ziemi podjęła.

— Ot, ja tu postawiłam, bo ogień rozpalać przeszkadzał...

Zdawało się, że kasztanowate jej włosy, dwoma pasmami ukazujące się spod chustki, od zgrozy powstały jej nad czołem, tak stała się nagle rozczochraną. Filip ze wzburzonymi także na głowie włosami, z latającą żrenicą u otwartych drzwi stał; za otwartymi drzwiami widać było w ciemnej sieni pobladałą twarz Daniłka i czworo drobnych dzieci w ścisłą gromadkę zbitych, krzykami i niezwykłym ruchem zadziwionych... Awdocia garnek z krupnikiem pod samą prawie twarz chorego podsuwała:

— Ten krupnik jadł?

Ale on już nie odpowiadał; osłupiałym, błędnym, strasznym od malującej się w nim boleści wzrokiem po izbie wodził. Na skrzynkę Franki w kącie otwartą i na leżącą obok niej spódnice spojrzął; papierek zmięty nieduży, stopami krzątających się po izbie osób na środek jej wyciągnięty zobaczył; coś sobie przypomniał i powieki zamknął. Piers jego podnosiła się wysoko, ciężko, ale ze ściętych ust nie wydobył się dźwięk najłżejszy. Daremnie Awdocia i Ulana zapytania swe i badania w samo ucho mu wykrzykiwały, daremnie go za koszulę i ręce targały; z czołem spotniałym, z zaciśniętymi ustami, ze szczelnie zamkniętymi powiekami leżał jak martwa i ciężka kłoda, zdając się nie czuć i nie słyszeć nic. Tylko szybki i ciężki oddech upewniał o tym, że żyje, ale kobietom znowu przez głowy przemknęła myśl, że już kona, a ponieważ tym razem nie od zwykłej choroby, lecz od trucizny w mniemaniu ich konał, więc zgrozą zdjęte umilkły, wyprostowały się, przeżegnały i pacierze ciche zaczynały. W tej to chwili ciszy, przerażonym szeptem kobiet i trzaskiem ognia w piecu tylko przerywanej, z dala, z przeciwległego brzegu rzeki doszło basowe, przeciągłe, w jednostajnych odstępach czasu po wiele razy rozlegające się wołanie:

— Procom! Po-o-o-o-rom! Po-o-o-o-rom!

Filip po raz pierwszy może, odkąd prom posiadał, na wołanie to żadnej uwagi nie zwracał, ale Daniłko natychmiast z sieni wyskoczył, a po minucie wrócił i głowę do izby wsuwając głośnym szeptem zawołał:

— Pilip! chodź prędzej! u r a d n i k!

Z dala znane mu dobrze konie policyjnego urzędnika i głos woźnicy jego poznał. Filipa jakby coś w górę podrzuciło, tak podskoczył i w mgnieniu oka z izby wypadł, a potem s z o s t spod ściany chaty swojej porwawszy, bez czapki, cały naprzód podany, z góry zbiegał.

— Ot, chwała Bogu! — wołał — ot, Pan Bóg miłosierny jego tu zesłał! Ot, w czas przyjechał.

Nic w tym dziwnego nie było, że teraz przyjechał, bo w tym miejscu przez Niemen przeprowadzał się bardzo często, robotę urzędową po obu stronach rzeki do spełnienia mając. Ale Filip rządzenie samego Boga w tym upatrywał i z szostem wysoko nad głową mu sterczącym ku rzece pędził; Daniłko z tym samym narzędziem za nim biegł. Wkrótce też na rzece stalowej w zmroku od światła gwiazd przezroczystym czarny prom z dwoma czarnymi postaciami ludzkimi, to pochylającymi się, to prostującymi i suche, czarne linie ukośnie w wodzie zanurzającymi, cicho, szybko, widmowo wszerek rzeki pomykał.

Izba Pawła zaś na krótką chwilę opustoszała. Ulana do chaty swojej pobiegła, aby starsze dzieci do snu ułożyć, a najmłodsze choćby zobaczyć i ogień zgasić; Awdocia w przeciwną stronę po ziółko od zadanego najprędzej, jak mogła, podreptała. Miała jedno, tak wyborne i doświadczone, że gdyby nie wiedzieć co komu zadanym było, zadane z ciała wyprowadzało. Gdyby była wprzódy wiedziała,

od czego Pauluk chory, byłaby je już dawno zgotowała; teraz za to po nie biegła. Gdy w izbie zrobiło się pusto i cicho, Paweł powieki podniósł.

— Franka! — słabym głosem wymówił.

W kącie pomiędzy wiadrem z wodą a stojącymi u ściany gospodarskimi i rybackimi narzędziami dał się słyszeć lekki szelest i cicha, skurczona, przygarbiona, z głową i czołem owiniętymi płócienną szmatą, jak ponure, zgnębione widmo, wychyliła się z niego Franka. Parę kroków naprzód postąpiła i rękami kurczowo u piersi koszulę ściskającymi, z twarzą schyloną i wzrokiem utkwionym w ziemię stanęła.

— Franka — słabym i powolnym głosem zaczął Paweł — czy to prawda?

Milczała.

— Franka — przemówił znowu — ty nigdy nie łgała... powiedz i teraz sprawiedliwie, czy to prawda?

— Prawda — odpowiedziała.

Paweł znowu zamknął powieki i obu dłońmi pochwycił się za piersi, jakby tam uczył odnawianie się tych piekących bólów i mdłości, które przedtem były już ustawały. Nie jęknął przecież, nic nie powiedział, tylko obfitszy pot czoło mu oblał i wargi zwarły się jeszcze silniej. Franka stała ciągle na jednym miejscu nieruchomo w ogień zapatrzona. W wyrazie jej oczu nie było ani obawy, ani żalu. Nie miały one w tej chwili żadnego pewnego wyrazu. Malowało się w nich jakby bezmyślne osłupienie, czasem tylko urągliwymi światełkami przerywane. Wtem w sieni ozwał się chód przyśpieszony; Filip, bez czapki, zdyszany, z roztarganymi włosami i uroczystym wyrazem twarzy, do chorego przystąpił.

— Nie gniewaj się, dziewier — uroczystym też, sta-nowczym głosem wymówił — zaraz uradnik tu przyjdzie szelmę tę zabierać...

Słowa te jakby z ciężkiego snu Frankę przebudziły; zatrzęsła się całym ciałem, przeraźliwie krzyknęła i rzuciła się ku drzwiom. Ale zastąpiła jej drogę Ulana z niemowlęcim swym na rękę powracająca, a po kilku sekundach wszedł do izby ten sam człowiek, w ubraniu z połyskującymi guzikami, który przed trzema laty, na bryczce siedząc, o zaginionej podówczas France z Pawłem rozmawiał. Przez kilka minut panowały tu gwar głosów i zawierucha stąpań ludzkich. Filip, Ulana, Awdocia, która z ziemi swym wróciła, razem mówili, opowiadali, świadczyli, garnek z krupnikiem pokazywali, Frankę, która na całym ciele drżąc kilka razy jeszcze rzucała się do drzwi, zatrzymywali i w głąb izby popychali. Policjant słuchał, dziwił się, oburzał, do Pawła podszedł i pytania zadawać mu począł. Ale Paweł, z zamkniętymi oczami, zaciśniętymi wargami, w całej długości swego ciężkiego ciała na pościeli wyciągnięty, jak kłoda nieruchomy był, jak grób milczał i wtedy dopiero podniósł powieki, kiedy uradnik rozkazującym głosem do Franki przemówił:

— No, odziewaj się, a prędko... razem pojedziem... I wychyliwszy kieliszek wódki przez Filipa tu przyniesionej, zażartował:

— Ot i nie spodziewałem się dziś nocny spacer z ładną kobieciną odbywać... a niczego by sobie była, tylko że wielka łotryca!

Potem Filipowi mówił jeszcze, że do wyższego urzędu dziś wieść już ją za późno, więc ten miły ptaszek u niego przenocuje. Do miejsca, w którym mieszka, niedaleko, cztery wiorsty, a on tyle dziś miał roboty, że chce choć kilka godzin spokojnie przespać. Jutro za to raniutko dalej ją powiezie.

Filip go wciąż wódką traktował i prosił:

— Już tylko ją stąd zabierzcie! Zmiłujcie się, zaraz zabierzcie!

Paweł najłżejszego poruszenia nie czyniąc rozmowy dwóch mężczyzn słuchał, a oczami za Franką wodził. Na całym ciele drżąca, cicha jak grób, spełniała rozkaz urzędnika i ubierała się. Czyniła to

nawet z rozmysłem i niejakim staraniem. Wcale na obecność w izbie kilku mężczyzn nie zważając zmieniła samodziałową spódnicę na tę miejską, z obłożonymi falbanami, którą podjęła z ziemi, włożyła pończochy, nowe buciki, kaftan, wатовaną algierkę i z głowy płócienną szmatę zdjawszy wełnianą chustkę na nią zarzuciła. Wtedy uradnik, raz jeszcze napiwszy się wódki, wziął ją za ramię i ku drzwiom poprowadził. Gdy oboje przez izbę przechodzili, Paweł mógł widzieć kierunek i wyraz jej spojrzenia. Szła cicho i bardzo posłuszenie. Na całym ciele drżała, a oczy jej, rozszerzone i nieruchome, wyrażały śmiertelny przestach.

Filip urzędnikowi aż do bryczki towarzyszył, kobiety zbliżyły się do chorego.

— Lepiej tobie, Pauluk? — pytały.

— Już i zupełnie dobrze — odpowiedział.

Kłamał. Za mało trucizny przełknął, aby od niej umrzeć, za wiele, aby tak rychło wyzdrowieć. Najdolegliwsze cierpienia już minęły, bo organizm jego, silny i zdrowy, z zabójczym pierwiastkiem skuteczną walkę toczył, a dopomogły mu w niej może trochę i leki Awdoci. Ale wewnątrz doświadczał jeszcze bólów, które jednak mógł już utaić.

— Napij się ziółek! — prosiła Awdocia.

— Dawaj! — odpowiedział i z podanego sobie garnka wypił tyle, ile kazała.

— Dobrze? — zapytała stara lekarka.

— Dobrze, tylko bardzo spać chce się...

— To i chwała Bogu, że spać chce... to i zdrow będzie — zdecydowały kobiety, on zaś odezwał się:

— Dziękuję ja wam, moje dziatki, i za pomoc, i za ratunek, i za dobre serce... Teraz już spać idźcie, odpocznijcie... bardzo przy mnie napracowali się...

Awdocia odezwała się, że nocować przy nim będzie.

— Nie trzeba mnie, kumo, ciebie — odpowiedział — nikogo mnie nie trzeba... Zgaście ogień i idźcie sobie... sen mnie nadto morzy...

Zupełnie uspokojone zgasiły w piecu ogień, na stole lampkę i wyszły. Kiedy kroki ich i przyciszone rozmowy w oddaleniu umilkły, Paweł z głośnym stęknieniem na posłaniu się dźwignął, nogi spuścił, usiadł i z twarzą nisko zwieszoną nieruchomo siedział. Dlaczego tak uporczywie wszystkich z chaty wyprawiał? Dlaczego pragnął pozostać sam? Dlatego, aby w samotności i ciszy zastanowić się nad tym, co mu w głowie zamajaczyło było już wtedy, gdy Franka przez urzędnika ku drzwiom prowadzona przechodziła tuż prawie obok posłania jego, drżąca, posłuszna, ze śmiertelnym przestachem w oczach. Zamajaczyła mu wtedy w głowie myśl: „Ot, już zgubiona ona i potępiona na wieki! Do turmy, na Sybir pójdzie i nijakiego wybawienia już dla niej ani na tym, ani na tamtym świecie nie będzie!” A potem jakby echo z dala, z dala dochodzące przyplłynęły doń wyrazy, które niegdyś sam przed ołtarzem w kościele wymawiał: „i że nie opuszczę ciebie aż do śmierci”.

Długo w ciemnościach napełniają-cych izbę panowało grobowe milczenie, aż po godzinie może rozległy się wśród niej półgłosem wymówione słowa:

— Nie opuszczę ciebie aż do śmierci!

Jednocześnie prawie błysnął siny płomyk roznieconej zapałki; Paweł chwiejąc się postąpił kilka kroków i lampkę zapalił.

W oknach Koźluków było już zupełnie ciemno, wszyscy tam i w całej wsi spali. Paweł ukląkł przed łóżkiem i aż do ziemi zgięty zaczął spod niego ciężki jakiś przedmiot wyciągać. Z trudnością mu to szło, kilka razy prostował t się i odpoczywał, stękał. Cierpiał jeszcze dotkliwie i osłabionym czuł się, ale tak samo, jak przed kilku godzinami działo się z Franką, jedno jakieś uczucie, jedna myśl podniecały mu nerwy, głuszyły bóle, wzmagaly siły. Po kilku minutach całkiem spod łóżka wysunął

spora skrzynkę żelazem okutą, na klucz zamkniętą. Kluczem, którego w kieszeni siermięgi swej wyszukał, otworzył ją i naprzód odzienie różne: letnie i świąteczne wyrzucać z niej zaczął. Ruchy jego stawały się coraz niecierpliwszymi i śpieszniejszymi. Czasu do stracenia nie miał. Tej nocy, jak najprędzej, albo już nigdy! U r a d n i k, prosty człowiek, z chłopów pochodzący i biedny. Wódkę przy tym bardzo lubi, żonę i kilkoro dzieci ma. Z nim więc pogadać można, kiedy zaś ją do wyższego urzędu już odwiezie — przepadło! Wszystko przepadło! Trzęsącymi się od osłabienia rękoma, ale śpiesznie, śpiesznie spod wyjętego ze skrzyni odzienia, wydobył spory worek z grubego płótna czymś twardym wypełniony, sznurkiem mocno związany. Ojcowski garnek ze srebrnymi rublami pod piecem niegdyś zakopany wykopał on był od dawna, zawartość jego w worek wsypał i na dno skrzynki okutej i zamkniętej schował. Myślał, że kiedykolwiek na zbudowanie nowej chaty jej użyje, albo też, że przyda się mu ona w jakiej czarnej godzinie choroby lub niedołęznej starości. Wiedział dobrze, ile okrągłych, błyszczących monet mieściło się w tym worku. Nie bardzo dużo. Trochę tylko więcej nad sto. Ale wiedział także, że uradnik był biedny, wódkę lubił, dzieci miał... Worek za koszulę u piersi schował, skrzynkę znowu odzieżą nappełnił i pod łóżko wsunął, buty wciągnął, siermięgę włożył i śpieszył, śpieszył. Noce były już wprawdzie dość długie, ale cztery wiorsty przed świtem ujechać musiał... Czym ujechać? Czy konia Filipa po cichu ze stajenki wyprowadzi i do woza zaprzęgnie? Mógłby to uczynić, bo stajenki, nie zamykanej nigdy, Kurta tylko strzegł, a Koźlukowie nie obudziliby się pewno i nie usłyszeli... Coś go jednak od tego powstrzymywało; nie zdawał sobie sprawy, co mianowicie, ale do używania w tym wypadku Koźlukowego konia wstręt czuł. „Jak Żydzi na Hamana, tak oni na nią zawzięli się — myślał — prawda, że i jest za co, ale kogo ona najwięcej skrzywdziła? Mnie. A toż mnie swoją krzywdę darować można. I co mnie takiego stało się? Nie umrę!” Czuł, że nie umrze. Pomimo nieustających jeszcze cierpień, wiedział, że nie takimi by one były, gdyby miał umrzeć. Jednak konia Koźluków brać nie chciał. Czółnem jeszcze prędzej tę krótką przestrzeń przepłynie, a od brzegu rzeki do mieszkania u r a d n i k a ćwierć wiorsty może. Czapką głowę okrył, lampkę zgasił, w sieniach omackiem wiosło o ścianę oparte znalazł, chatę z zewnątrz zamknął i z góry ku rzece zszedł

Kilka godzin minęło, późny świt jesienny na niebie pogasił już gwiazdy, a nad ziemią i wodą kłębił mgły wilgotne i chłodne, kiedy czółno z dwojgiem siedzących w nim ludzi do brzegu pod wsią przybiło. Czy siły zawiodły Pawła i wiosłując słabo płynął on powoli albo rozmowa z uradnikiem więcej, niż się spodziewał, czasu mu brała, że tak nieprędko powracał? Ale też nie powracał sam jeden. Powoli, choć szerokim krokiem na górę wchodził, głowę schyloną miał i policzki wkleśnięte, bardzo blade. Za nim, w znacznej od niego odległości, szła wątła, skurczona kobieta w watowanej algierce, z twarzą całkiem prawie nikoną w fałdach chustki. Kiedy on drzwi chaty swojej otworzył i do sieni wszedł, ona stanęła i za progiem pozostała. Zwrócił się ku niej twarzą i rzekł:

— Chodź!

Próg przestąpiła, przez sienie za nim przeszła, do izby weszła i u drzwi stanęła znowu, tak nieruchoma, jakby ślepą była albo też co począć i dokąd iść nie wiedziała. Paweł, ciężko na ławę opadając, znowu rzekł:

— Rozbierz się!

Chustkę tylko powolnym ruchem z głowy zdjęła odkrywając czarne, rozpuszczone, roztargane włosy i twarz woskowożółtą, ze zsiniałymi ustami i spuszczone powiekami. Ramiona jej wzdłuż ciała opadły; wyglądała zupełnie tak, jak winowajcy czasem przed obliczem sądu stojący wyglądają: wszystko w niej wyrażało straszny, druzgocący ciężar wstydu. Po chwili powieki jej drgnęły kilka razy i podniosły się, a oczy spotkawszy się z oczami Pawła zaczęły nabrzmiewać łzami. Bez słowa, cicho, z oczami po brzegi nabrzmiałymi łzami dwa kroki uczyniła i również o parę kroków od Pawła

oddalona zgięła się przed nim całym ciałem, szybko a tak nisko, że włosy jej końcami swymi ziemi dotknęły. Tak za doznane dobrodziejstwo dziękując lub o nie prosząc kłaniają się czasem chłopci lub chłopki. Widziała to pewno nieraz i teraz w ten sam sposób ukłoniwszy się przed Pawłem, szybko zwróciła się ku drzwiom i do sieni wyszła. On ręką po oczach powiódł i mokrą dłoń od nich odjawszy ciężką głowę na niej wsparł. Tak kilka minut przesiedział; Franka z sieni nie powracała. Wstał, drzwi otworzył i w ciemnym kącie ujrzał ją z czołem do ściany przyciśniętym stojącą.

— Chodź! — rzekł znowu.

Posłuszna, weszła i przed piecem twarzą do izby zwrócona stanęła. Paweł na ławie usiadłszy powoli, słabym głosem mówić zaczął:

— Jeszcze i ten raz wyratowałem ja ciebie, choć ty wielkiego grzechu dopuściłaś się... ale żebyś tam została, to byś już na wieki wieków zginęła, a tutaj może jeszcze i upamiętasz się, może choć teraz złości swojej przełękiesz się i do upamiętania przyjdiesz... Pożałował ja ciebie, oj, jak pożałował, a do tego i przysięgałem, że do śmierci ciebie nie opuszczę. Przysięga — nie żart. Kiedy przysięgałem, że nie opuszczę, to i nie opuściłem... i do śmierci, tak jak przysięgałem... nie opuszczę...

Trudno mu było mówić; jednak widząc, że nieruchoma, osłupiała, jakby przytomności pozbawiona stoi, dodał jeszcze:

— Nu, czegoż tak stoisz?... ogień rozpal, bo w chacie zimno i charbaty zgotuj dla siebie samej i dla mnie... Rób, co chcesz i co potrzeba. Taka sama ty tu gospodyni, jak a wprzódy była...

Jakiej natury siłę zawierały w sobie ostatnie słowa jego, że niby kula ognista, niby pocisk potężny, w samą, zda się, pierś tej kobiety ugodziły? Zachwiała się na nogach, kolana ugięły się pod nią i czerwonym rumieńcem naprzód a potem łzami oblana na ziemię upadła. Nie krzyczała, nie łkała, nie jęczała; przeciwnie, z czołem do ziemi przyciśniętym przez minut kilka leżała, jak grób cicha, i to, że żyła, zdradzały tylko rytmiczne ruchy jej pleców, wysoko podnoszących się i opadających w płaczu rześnym, ale tak cichym, że najłżejszego szmeru nawet z niej nie wydobywał. Po kilku minutach zerwała się i ogień rozpalać zaczęła. Czyniła to cicho, szybko, gorliwie. Paweł na pościeli z zamkniętymi oczami leżał, na ławie zaś niczym nie przykryty, w grubej koszuli, która mu pierś i nagie nogi odsłaniała, spał mały Chtawian. We wczorajszej zawierusze snem znużony wlaź tu, zasnął i spał dotąd od chłodu skurczony. Przechodząc Franka go spostrzegła i chustką, którą przedtem na głowie miała, okryła. W kwadrans potem zielonawą szklankę z herbatą ku Pawłowi niosła, ale zanim mu ją podała dziwnym wahaniem zdjęta na środku izby stanęła. Myślała, że może będzie lękał się pić to, co ona mu podawała. Ale on nie lękał się; rękę wyciągnął, szklankę wziął i z pożądlivością nawet, przez osłabienie i zmęczenie wywołaną, herbatę pić zaczął. Franka z dala na pijącego patrzyła, patrzyła, aż nagłym ruchem obie dłonie do twarzy przycisnęła tak mocno, jakby pragnęła, by one do niej przyrosły i na wieki już ją przed nim zasłoniły.

— Napij się herbaty, poduszkę weź i zaśnij — odezwał się Paweł i oczami na jedną z dwu leżących na łóżku poduszek wskazywał.

— Nie trzeba, i algierkę pod głowę podłożywszy wyśpię się — cicho odpowiedziała.

Paweł oczy zamknął. Śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy. Wkrótce głęboko zasnął.

Koźlukowie o powrocie Franki dowiedzieli się wtedy, gdy Ulana zaraz po obudzeniu się przypomniawszy sobie chorobę brata i chcąc dowiedzieć się, co się z nim dzieje, przez okno naprzód do izby jego zajrzała. Zajrzała, rękoma splasnęła i jak strzała puściła się do swojej chaty. Na posłaniu zobaczyła głęboko uśpionego brata, a na ławie, z głową na zwiniętej algierce złożoną, z oczami szeroko otwartymi, leżącą Frankę. Czary, czartowskie sprawy i różne inne straszne rzeczy do głowy jej przyszły, i z krzykiem śpiącego jeszcze męża obudziwszy o widzianym cudzie mu opowiedziała. Ale Filip chwilę tylko pomilczawszy domyślił się wybornie, jakie w tym

niespodziewanym powrocie Franki do domu męża czary i cuda działały.

— Twój brat sfichsował! — z gniewem zawołał, a gdy Ulanie domysł swój powtórzył, ona płaczem wybuchając powtarzała także:

— Sfichsował! ze wszystkim taki sfichsował! Czy ja kiedy spodziewała się, żeby on takim durniem i takim chfiksatem był?

Innych nazw dla postępku Pawła nie mieli; gniewali się na niego, sarkali, jak struci chodzili, Filip nawet układał projekt jechania do miasta i oskarżenia przed wyższym urzędem tak Franki, jak u r a d n i k a, który ją za pieniądze z aresztu wypuścił; chodził nawet do starszych gospodarzy i rady ich w tym celu zasięgał; ale gdy to jakoś zwlekało się na dni dwa, trzy, ostygła z wolna i Ulana też zastanawiać się nad tym zaczęła, że Pauluk ją, kiedy b a ć k i zmarli, na rękę swoim wyhodował, pół ogrodu swego w posagu jej dał, to i to dla niej zawsze robił, pożyczał, pomagał, radził... Nadal też nieraz potrzebnym być mógł, oj, i jak potrzebnym przy tylu dzieciach, a ziemi kawałku niewielkim! Nad tym wszystkim medytując płakała i mężowi mówiła:

— A może już, Pilip, wszystkiemu pokój dać! Może niech już i po jego woli będzie! Na co nam ją przesładować? Niech już ją sam Pan Bóg karze! Chaty i dzieci pilnować będziemy... a Paulukowi już lepiej nie sprzeciwiajmy się...

Filip sarkał, nie zgadzał się, co dzień pojechaniem do miasta wygrażał, ale nie jechał i żadnych innych kroków nie robił; wahał się także i namyślał. Dobroć szwagra pamiętał i zgody z nim żałował. W gniewie przeciw France, w nienawiści dla niej Koźlukowie ostygali tym łatwiej, że nie widywali jej zupełnie. Awdocia, która pomimo oburzenia i w niej przez postępek Pawła wznieconego, nie wytrzymała i poszła raz dowiedzieć się, co się z nim biednieńkim dzieje, opowiadała, że zdrow on jest, tylko jeszcze bardzo słaby, ciągle leży i z chaty nie wychodzi. Franka przed nią tak w kącie ciemnych sieni schowała się, że jej wcale widzieć nie mogła, ale Paweł zdrow i nawet wesoły. Powiedział jej, że jeszcze dni dwa, trzy odpocznie sobie, a potem na rzekę pójdzie. W okno też spoglądając mówił, że piękna pogoda niedługo potrwa i prędko, prędko już zaczną się wielkie wiatry i deszcze. Kiedy zaś mu o France wspomniała, wesoło głową pokiwał i rzekł:

— Już ona teraz nie taka, jak była! już upamiętała się i dobra będzie... jak Bóg jest na niebie... teraz już dobra będzie!

Tak myślał istotnie, takie stopniowo powstawało w nim przekonanie, gdy na posłaniu wyciągnięty, po wielkich jakby trudach odpoczywając, wzrokiem ścigał jej ciche teraz, nieśmiałe, prawie pokorne ruchy. Nigdy nie zbliżała się do niego, nawet ilekroć mu co podawała, aby nie zbliżyć się, w całej długości ramię wyciągała. Nigdy też pierwsza do niego nie przemówiła, a gdy on na rozmowę ją wyzywał, odpowiadała cicho, grzecznie, ale urywanymi słowy i ze spuszczonej powiekami. Pierwszego zaraz wieczora po powrocie swym od uradnika grube radno na ławie zasłała, algierkę swą pod głowę sobie położyła i wpół tylko rozebrana, kawałkiem starego kilimka okryta, do snu się ułożyła. Daremnie kilka razy jej powtórzył, aby jedną z poduszek pod głowę wzięła albo i na łóżko położyła się, a on będzie na ławie spał.

Na pierwszą propozycję krótko, ale stanowczo odpowiedziała:

— Nie chcę, nie trzeba!

Na drugą ze słabym odgłosem dawnej swej niecierpliwości sarknęła:

— Jeszcze czego!

Kiedy Chtawian naparł się raz, aby spać przy niej, naprzód perswadowała mu, aby na łóżko wlaź i przy „tatce” spał, a potem Pawła poprosiła, aby dziecko do siebie wzięło. W prośbie tej dźwięczała wyraźnie żalność i coś na kształt przerażenia. Zdawać się mogło, że myśl o przytuleniu się do niej tego dziecięcego ciała obawę w niej budziła. Obawa też, przestraszona nawet z grozą

graniczający malowały się często na jej twarzy, bez żadnego bezpośredniego powodu, pod wpływem jakby myśli powstających w jej głowie czy widm przed oczami majaczących. Robiła wszystko, co tylko w chacie do zrobienia było; zamiatała, gotowała, o świcie albo o zmroku, dlatego pewno, aby nie spotykać się z ludźmi, po wodę z dzbankiem chodziła, z dzbankiem, bo wiadra udźwignąć by nie mogła. Raz nawet chleb upiekła; od czasu do czasu też do szycia się brała. Wszystko to spełniała prędko, cicho, gorliwie; ale często wśród pracy ustawiała nagle, jakby zniemożona albo strasznymi myślami opanowana i przed ogniem albo pośrodku izby z garnkiem czy miotłą w rękę nieruchoma stawała, w przestrzeń wlepiając czasem ponure i rozżalone, częściej daleko przerażone oczy. Raz nawet wydała krzyk przestachu.

— A co? — twarz od ściany odwracając zapytał Paweł.

Opamiętała się jakby, oprzytomniała i niechętnie odrzekła:

— Nic. Bardzo przejęłam się...

— Czego? — zapytał jeszcze.

Nie odpowiedziała i dalej izbę zamiatać zaczęła.

Jemu od tej pokory jej i cichości serce w piersi tajało. Na koniec poprawiła się! Na koniec przewyciężył on tego diabła, który w niej siedział! Ale tym większy zdejmował go żal nad nią.

— Franka — odezwał się raz — czego ty jak ten zbity pies uszy tulisz i w oczy mnie nie patrzysz? Ja nie gniewam się na ciebie i bardzo kontent, że ty już zrobiłaś się dobra. Gadaj sobie jak dawniej, śmieję się, choć i dokazuj. Wesołość — nie grzech.

Ona słuchała zrazu z niepokojem, potem ze zdziwieniem, aż odwróciwszy się prędko, zwierchnię stroną ręki oczy sobie zakryła i krótko, głęboko załkała.

Innym razem leżąc zawołał jej do siebie, a gdy jak zwykle o dwa kroki od niego stanęła, przemówił:

— Czego ty boisz się, Franka? Czego ty czasem taka przestraszona, jakby umarłego przed sobą widziała? Może ty kary boskiej za wszystko, co złego zrobiłaś, boisz się? Nie bój się! Już ja tobie mówię, nie bój się! Wspowiadasz się! Pana Boga przeprosisz, to i daruje.

— Głupstwo Pan Bóg! — z cicha sarknęła, on zaś sprzeciwić się jej w tej chwili nie chcąc mówił dalej:

— Niestara jeszcze jesteś, dobrym życiem złe odpokutujesz i wynagrodzisz. Ot, i ja teraz zupełnie już wyzdrowieję, Koźluków za ciebie przeproszę... będziem sobie wszyscy żyć w zdrowiu, zgodzie i dobrym powodzeniu... a potem Chtawian podrośnie... ryby ze mną łapać zacznie...

Przy ostatnich wyrazach uśmiech rozszerzył mu usta, rozplynał się po całej bladej i chudej twarzy i znowu oblał czoło pogodnym, do księżycowego światła podobnym blaskiem.

Ona słuchała; czerwone jak krew rumieńce występowały na jej policzki, aż nagle, wtedy właśnie, gdy chcąc ją do siebie przycisnąć rękę ku niej wyciągał, ku drzwiom rzuciła się, do sieni wypadła i przez parę godzin stamtąd nie wracała.

W sieniach jednak nie siedziała. Zmrok już zapadał, więc z chaty się wyslizgnęła, boczną ścianę jej okrążyła i na skraju góry, pomiędzy uschłymi łądygami łopuchów i ostów usiadła. Siedziała tam od kwadransa może, kiedy usłyszała za sobą kroki, z szelestem suche łądygi i trawy łamiące. Zza jednej ze stodółek wyszła Marcela.

— Franka! — odezwała się z daleka i nieśmiało. Odwróciła głowę.

— Chodź! — odpowiedziała.

Zebaczka zbliżała się powoli. Nie była pewną, czy Franka wie o tym, że ona to ją przed Filipem wydała. Trochę lękała się jej gniewu, ale bardzo też pragnęła dowiedzieć się od niej o wszystkim, co zaszło, i stosunki swe z nią korzystne znowu nawiązać.

— Jakżeż ty, koteczko, masz się? — zaczęła — chwała Bogu, że tu siedzisz... a ludzie już Bóg wie co gadali...

— Ludzie nic nie wiedzą — porywczo sarknęła Franka — ja jedna wszystko wiem... ludzie głupi, źli, niegodziwi... on jeden dobry...

— Kto, serdeńko, kto taki dobry? — zapytywała do najwyższego stopnia rozciekawiona Marcela.

— Siadaj, to wszystko powiem.

Uszczęśliwiona zaproszeniem kupa łachmanów wnet obok niej w ostach usiadła; Franka zaś, jakby jej to, co w sobie miała, strasznie ciążyło, jakby ten ciężar wyrzucić z siebie pragnęła, dawną swą mową, prędką, ognistą, niepowstrzymaną mówić zaczęła. Opowiadała o tym, jak uradnik ją do swego mieszkania przywiózłszy w zimnej śpiżarni zamknął, i jakie ona tam męki przechodziła, strasznie, okrutnie, niewymownie bojąc się tego, o czym wiedziała, że spotkać ją teraz musi. Do turmy ją teraz zamkną, przed sądem postawią, na Sybir do katorgi wyślą... Męża przecież truła, a za to kara jest wielka, długa, wiedziała o tym dobrze. W śpiżarni było ciemno, ale omackiem szukała po podłodze i ścianach jakiego sznurka i gwoździa; wszystko, zdaje się, oddałaby za kawałek sznurka i gwóźdź, na którym powiesić by się mogła i od wszystkich, od wszystkiego uciec... na tamten świat, gdzie jej już nikt dopędzić nie może, uciec. Wtem, kiedy tak męczyła się, w zimnie i ciemności tarzała się po ziemi i o ścianę głową tłukła, głos Pawła posłyszała. Uszom swoim wierzyć nie chciała, a jednak był to głos jego. Do okna u r a d n i k a stukał i prosił, aby mu on drzwi otworzył. Uradnik wstał, Pawła wpuścił, świecę zapalił; ona zaś przez szczelinę drzwi światło zobaczywszy do tej szczeliny skoczyła i wszystko widziała, wszystko słyszała...

— Cóż ty widziała, moja mileńka, co ty słyszała? gadaj! gadaj! — od ciekawości a może i od wzruszenia trzęsąc się szeptała Marcela

Widziała ona i słyszała, jak naprzód Paweł uradnikowi mówić i przekładać zaczął, że ona, Franka, jest niewinną, że to tylko takie plotki i ludzkie gadania na nią padły, że on przecież nie otruty, żyje i nijakiej pretensji do niej nie ma. „Wypuście ją, panie, i mnie oddajcie”, prosił. Potem worek z zanadrza wyjął i kupę srebrnych rubli — może ich czterdzieści albo i pięćdziesiąt było — na stół przed uradnikiem wysypał, a kiedy ten odmawiał mówiąc, że odpowiedzialności lęka się, że go Koźlukowie przed wyższym urzędem oskarżyć gotowi, Paweł kłaniał się przed nim, do samych kolan mu się kłaniał i przyrzekał, że Koźluków uprosi, wszystkich uprosi, aby milczeli. Uradnik, chociaż chciwie na srebrne pieniądze spoglądał, odmawiał jeszcze. „A nuż doniosą i mnie bieda będzie! — mówił. — Ze służby za to wypędzić, pod sąd oddać mogą!” Wtedy Paweł resztę rubli z worka wysypał — było już ich wtedy na stole więcej może niż sto — i znowu uradnikowi pokłonił się prawie już do stóp. Aż uradnik tyle pieniędzy przed sobą zobaczywszy, a trochę może i z ukontentowania, że ktoś mu kłania się i prawie do nóg pada, nie wytrzymał dłużej i zgodził się ją wypuścić. Śmiał się przy tym tak, że aż za boki brał się. „Ot, dureń! — mówił — takiego durnia jeszcze chyba na świecie nie było!” A Paweł na śmiech jego wcale nie zważając o nią tylko się dopominał. „To i gdzież ona, panie? — zapytywał. — Wypuście ją i mnie oddajcie.” Uradnik śpiżarnię otworzył i ze świecą musiał jej szukać, bo ona Pawła idącego ku drzwiom zobaczywszy za beczkę jakąś schowała się i tego tylko pragnęła, aby pod ziemię zapaść i zniknąć. Ale Paweł ją z ziemi podniósł, za rękę wziął i do czółna swego poprowadził. Ot, jak to było! Ot, co ona widziała i słyszała!

Umilkła na koniec, a Marcela zrazu oniemiała, później szeptać zaczęła:

— Oj, dobryż on, dobry! Jak Pan Jezus dobry! A ty, Franka, szczęśliwa...

— Niech takie szczęście diabli wezmą! — sarknęła.

— Nie znasz ty swego szczęścia i nie rozumiesz... głupia!... — zaczęła Marcela, ale Franka



gwałtownie jej przerwała:

— Zabił on mnie tą swoją dobrocią, zamordował tak, że już żyć na świecie nie mogę... z samego strachu żyć nie mogę...

Wstrząsała się całym ciałem i zaszeptała:

— Jezus, Maria! Jezus, Maria, Jezus, Maria! żebym mogła, to, zdaje się, zabiłabym ją, jak tę wściekłą sukę!

— Kogo? — zapytała przestraszona żebraczka. Franka szeptała dalej

— Stoi mnie przed oczami i stoi... gdzie obróczę się, wszędzie ją widzę... a taka straszna!

— Któż to taki? moją ty mileńka! któż to tak ciągle przed oczami tobie stoi?

Franka spojrzała na nią zdziwionym wzrokiem.

— A jaż sama! — odpowiedziała.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha... — zaczęła Marcela. Franka za ramię ją pociągnęła.

— Nic ty nie wiesz i nic ty nie rozumiesz — zaszeptała — samej siebie ja boję się... tego, co zrobiłam, boję się... od tego momentu, kiedy przez szczelinę widziałam i słyszałam, jak on za mnie uradnika prosił, cośś mnie ta- ! kiego zrobiło się, że już żyć nie mogę... Gryzie mnie tak we środku, spać nie daje... straszy... Siebie samej ja boję się i jego boję się... gorzej teraz jego boję się jak wtedy, kiedy bił... oczów na niego podnieść nie mogę... wstyd taki.

— Porzuć! uspokój się! — perswadowała żebraczka — szanuj jego teraz, miłuj! jak u Pana Boga za piecem w chacie sobie siedź... i wszystko będzie dobrze.

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Już ja ją znam... ona jak ta pijaczka... kiedy trzeźwa, to i dobrze, a kiedy upije się, to znów jemu co takiego zrobi...

— Kto? co ty wygadujesz, Franka? kto taki?

— A jaż! — ze zdziwieniem znów odpowiedziała i po cichu, takim głosem, jakim bardzo słabi ludzie przemawiają, skarżyć się zaczęła:

— Niedobrze mnie... oj, moja Marcelko, tak mnie niedobrze, że już i żyć nie mogę... Jakie już moje życie na tym świecie! Ręce i nogi mam związane, boję się znowu licha jakiego narobić i tego życia boję się, co mnie przy nim czeka, i wszystkiego boję się... Nic mnie już niemiłe, niczego już nie chcę... Jak w grobie zakopana...

A po chwili milczenia poskarżyła się raz jeszcze:

— Tak mnie niedobrze, moja Marcelko, tak mnie źle... Tak mnie we środku coś je... smocze... ssie...

Z trudnością z ziemi wstała. Wiatr chłodny od rzeki powiał, wstrząsnęła się.

— Zimno!

— Ale — potwierdziła Marcela — jesień już... a ty, moja koteczko, moje złotko, kawałek słoniny mnie daj, bo nie mam czym ciepłej stawy okrasić...

— Ludzie gadają — gdzieś daleko za rzekę patrząc zaczęła Franka — że kiedy człowiek jaki wieza się, wtedy zawsze wielki wiatr powstaje...

— A gadają! — potwierdziła Marcela i mówiła dalej: — może jutro Paweł na rzekę już pójdzie, to ja do ciebie, moja mileńka, przyjdę..

— Aha! jutro!

— A słoninki dasz?

— Jutro! — powtórzyła Franka i nic już nie mówiąc, z rękami u piersi zaciśniętymi, skurczona, przez gęstwinę uschłego zielska do chaty odeszła.

Gdy do izby weszła, Paweł przy stole na ławie siedział, a mały Chtawian, u kolan jego

zwieszony, opowiadaniem jakimś z głośnym śmiechem zmieszonym na całą izbę dzwonił.

— A gdzie byłaś? — zapytał wchodząc Paweł. Powiedziała, że za chatą siedziała i że na dworze zrywa się wiatr.

— Jesień — odpowiedział — ale to nic. Jutro na rzekę pójde... choćby i fala była duża, teraz miętusów przepaść nałapać można.

Wieczere przy zapalanej lampce zjedli. Franka jadła także i dziecku jeść dawała. Gdyby biegły jaki psychiatra w tej chwili na nią patrzył i widział ten nieruchomy, przepaścisty, czarny smutek, który napełniał jej zapadłe oczy, zrozumiałby może, iż psyche jej jak motyl z pokaleczonymi skrzydłami trzepotała znowu nad samą wąską linią przytomność z obłędem, rozum z szalem rozgraniczającą. Ale Paweł widział tylko, że kobieta naprzeciw niego z dzieckiem na kolanach siedząca spokojną była, łagodną, zawstydzoną jeszcze i myślał, że nazajutrz, przed wypłynięciem na rzekę, z Koźlukami pogodzić się i o niej pomówić musi.

Wkrótce po wieczery Franka nad skrzynką swoją pochyliła się i twardą, kolorową taśmę, d z i a h ą zwaną, z niej wyjęła. Ubrana była w samodziałową spódnicę, różowy fartuch i miejski swój podarty kaftan. Teraz go wyjętą ze skrzynki taśmą przepasała. Paweł na to żadnej uwagi nie zwrócił.

Na posłaniu siedząc do snu rozbierać się zaczynał i właśnie buty zdejmował, kiedy Franka ze śpiącym Chtawianem na rękę do niego się zbliżyła. Głośno i krótko w policzek dziecko pocałowała i położyła je na łóżku, tuż przy nim.

— Bądź i dla niego łaskaw, tak jak dla mnie byłeś... on niczemu nie winien! — szepnęła.

Paweł zadziwił się.

— Czy ty z d u r e ł a, Franka? Alboż ja jego nie lubię i nie żałuję?

Ale ona o parę kroków przed nim stojąc pochyliła się aż prawie ku ziemi tym samym, co wówczas, gdy ją z aresztu uwolnił, szybkim, niskim, chłopskim ukłonem. Tak zupełnie kłaniał się Paweł uradnikowi, gdy go naprzód o jej wolność prosił, a potem mu za nią dziękował. Można by mniemać, że te jego pokłony naśladowała. Paweł jednak nic już nie powiedział. Głowę na poduszkę kładnąc myślał: „Wstydzi się jeszcze! Jeszcze zapomnieć o tym, co zrobiła, nie może! To i chwała Bogu! Widać, że upamiętała się już zupełnie.”

Tak myśląc usnął. Spał i nie słyszał wzmagających się na dworze szumów jesiennego wiatru. Nie usłyszał też, że wśród nocy drzwi izby lekko skrzypnęły. Z rana bardzo wcześnie obudził go rozlegający się w pobliżu chaty gwar ludzkich głosów, wśród którego powtarzano wciąż imiona jego i Franki. Zerwał się i w płóciennej tylko odzieży, bosi, przed chatę wybiegł. Tam, gdzie kończyła się zagroda Koźluków piaszczystą drogą z cmentarnym borkiem rozdzielona, stała gromadka mężczyzn i kobiet, rozgadana, rozkrzyczana, przerażona, ze wskazującymi palcami wyciągniętymi ku temu punktowi borku, w którym spomiędzy dwu starych sosen wystrzeliwał cienki, bardzo wysoki krzyż. Paweł z głośnych rozmów i krzyków kilka wyrazów dosłyszał i ku rozgadanej, rozkrzyczanej, przerażonej gromadce ludzi jak szalony biegł. Zanim jednak do niej dobiegł, wiatr silnie powiał, a spomiędzy sosen wyfrunął i o parę stóp nad ziemią gwałtownie zaszamotał się różowy fartuch Franki. Oprócz tego różowego łachmanka, w bladym świetle wychodzącego zza chmur słońca rozmiotanego, Paweł nie zobaczył nic, ale odgadł wszystko. Teraz już i on jej nie wyratuje. Ręką chwycił się płotu, a biegnące naprzeciw niemu Awdocia i Ulana coś strasznego na twarzy jego spostrzec musiały, bo rozłożywszy ramiona krzyknęły obie:

— Ratujcie, ludzie! trzymajcie! ratujcie! umrze! padnie i umrze!

# ZAKOŃCZENIE

Nie umarł. Nieprawdą jest, że organizmy zdrowe, silne, z natury nieułamne umierają z cierpień moralnych. Silny, zdrowy, chłopski organizm Pawła Kobycyckiego nie rozłożył się i nawet nie osłabł w tym kilkoletnim epizodzie życia, który ognistą błyskawicą czy burzliwą nawałnicą przerznął jego niską, równą, cichą drogę. Od nagłego zakończenia tego epizodu sporo lat już minęło, a dziś jeszcze widzieć można tego nadniemeńskiego rybaka rankami po srebrnej rzece mknącego naprzeciw różanej jutrzence lub wieczorami płynącego pod chmury i zmroki zachodu. Gdy pod sosnowym borem na piaszczysty brzeg z czołna wychodzi albo przybija do wyspy śnieżystą bielą gwoździków usłanej i lasem wysokiej dziewanny zarosłej, towarzyszy mu często dziecko, chłopak dziesięcioletni, o włosach jak len jasnych i wielkich, czarnych, długą rzęsą ocienionych oczach. Stary rybak trzyma się nieco pochyło, osiwiaty jest, zamyślony, milczący; dziecko żywe, śmiałe, policzki ma rumiane i nieustannie szczebiocze; ale od razu poznać można, że zgoda pomiędzy nimi panuje zupełna i że im z sobą dobrze. Czasem, gdy dziecko na długo przepadnie w dziewannach, po rzece rozlega się męskie wołanie:

— Chtawian! a! Chtawian!

A z gęstwiny łądyg wielkimi, kosmatymi liśćmi obwieszonych głos dziecinny jak donośny dzwonek odpowiada:

— Ku-ku, tatku! a ku-ku!

Wtedy po surowych ustach rybaka przesuwa się uśmiech i woła on na dziecko, aby mu garnek, w który złowione ryby rzuca, wodą nappełniło. Chtawian z pękiem białych gwoździków w rękach spomiędzy dziewann wybiega, u brzegu wyspy przysiada i na wodę do garnka napływającą patrząc dzwoni znowu:

— Gul-gul-gul-gul!

Widocznie dziecko to jest szczęśliwym.

Co zaś czuje, co w nieskończonych swych po wodzie wędrówkach myśli opiekujący się nim człowiek? Nikt nie wie, bo przed nikim nie zwierza się on ze swych uczuć i myśli. Ludzie opowiadają, że o swojej żonce-wisielicy od dnia jej pogrzebu ani razu przed nikim nie wspomniął, że towarzystwa ludzkiego, tak jak i dawniej, nie szuka, że tak jak i dawniej, przez wiosnę, lato i jesień niebo mu chatą, a rzeka żonką.

Ale w zimowe wieczory przez długie godziny okno nadniemeńskiego rybaka błyszczy bladym światłem lampy, a parobcy i dziewczęta, którzy tamtędy na wieczernice do Koźluków chodzą, słyszą za tym okienkiem monotonne, nieustanne, wpółgłośne bąkanie. „Służba boża” rozłożona na stole leży, a nad nią pochylony wysoki i silny człowiek, z pomarszczonym czołem i siwym dokoła ściągłych policzków zarostem, niektóre z wyrazów sylabizując z trudnością, powoli, czyta zawarte w tej książce modlitwy. Innej książki niż ta Paweł Kobycycki dotąd nie zna i zapewne nie pozna nigdy, bo w miasteczku, do którego uczęszcza, żadnych książek nie sprzedają, a u ludzi ich dostać albo wiadomości o nich zasięgnąć bardzo mu trudno. Tę za to od pierwszej stronicy do ostatniej przeczytał już trzy razy, a teraz czytać zaczął po raz czwarty. Zresztą, od lat paru na czytanie „Służby bożej” mniej już ma czasu, bo obok niej leży często rozwany elementarz, bardzo stary, żółkły, podarty, a nad nim na wysokim stołku siedzi Chtawian i z rękami zatopionymi w lnianej kądzieli włosów bąka:

— B-a — ba, b-e — be...

Zeszłej zimy doszedł już był do kombinacji z różnymi samogłoskami litery *K*, ale że przez lato wiele z tego, czego nauczył się, zapomniał, Paweł do *B* powrócić mu kazał.

Bąkanie Chtawiana trwa zwykle dość długo, potem dziecko usypia, a Paweł półgłosem „Służbę bożą” czyta. Potem okno rybaka zalega ciemność i cały ten szereg chat, u skraju nadrzecznej góry rozciągnięty, pod grubymi kołdrami śniegu usypia głęboko i spokojnie. Oprócz rzadkiego poszczekiwania psów lub stłumionego przez ściany piania kogutów żaden głos z żyjących stworzeń nie maści wtedy bezdennej ciszy wiejskiej, zimowej nocy; ale w zamian wyraźniej dają się słyszeć głosy natury.

Czasem lodowy olbrzym mrozu tuła się po wsi, gniewnie i z wielkim stukiem uderza to w jedną chatę, to w drugą, to daleko, to bliżej cichym łuskaniem odzywa się dokoła okien, po płotach z suchym trzeszczeniem chodzi. W inne znowu noce odwilże wiatru wzdychają, roztopiającymi się u okapów soplami lodu cicho i monotennie pluskają i płaczą, szeleszczą w drzewach i tajemniczymi szepty rozbiegają się szeroko po suchych badylach ogrodów.

Ale niekiedy bywa tam daleko huczniej i groźniej. W ciemnych przestworzach zrywają się szalone orgie wichrów; powietrze nabrzmiewa kotłowaniem i wrzaskiem wszystkich głosów świata; są to uganiające się z sobą olbrzymie kule, czyli kłęby, trzaski piorunów, huki armatnich wystrzałów, grzmoty z nieustannym turkotem od krańca do krańca ziemi lecące, wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe biadania... Wszystko to piekielnym hałasem i szałem napęlnia przestworza, lecz ludzi usypiających pod niskim szeregiem dachów śniegowymi kołdrami okrytych nie budzi wcale.

I tylko, kiedy mróz stuka, łuska i trzeszczy, odwilże wzdychają, szlochają i szepczą, wichry zaciekle w przestworzu szaleją, pod jednym z tych dachów jeden człowiek nie usypia długo.

Tuż przy nim na posłaniu szemrze oddech uspiętego, do boku jego przytulonego dziecka, a on bezsennie patrzy w nieprzeniknioną ciemność i wsłuchuje się w głosy natury. Podówczas często w nieprzeniknionej ciemności i bezdennej ciszy głosami natury napęlnionej dają się słyszeć głośnie, wielokrotnie powtarzane uderzenia pięści o pierś twardą i silną i głośny, błagamy, żarliwy szept wielokrotnie powtarzający:

— Boże! bądź miłościw jej grzesznej! Boże! bądź miłościw jej grzesznej i nieszczęśliwej!

Przygotowano na podstawie bookini.pl